Edward Bulwer Lytton

LEILA, ALBO OBLĘŻENIE GRANADY

(Leila, or the Siege of Granada)
[1838]

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

2026

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział 1

Czarownik i rycerz

Było lato roku 1491; armie Ferdynanda i Izabeli oblegały miasto Granadę.

Godzina nie była jeszcze bardzo późna; księżyc, który powoli przesuwał się po przezroczystym niebie Andaluzji, lśnił blado ponad ogromnym i gwarnym obozowiskiem hiszpańskich armii. Muskał swoim zamglonym obliczem śnieżnobiałe szczyty Sierra Nevada posrebrzając bujną zieleń, której niszcząca działalność człowieka nie zdążyła jeszcze całkowicie zmieść z pięknej doliny rozciągającej się u podnóża gór.

Ulicami pozostającego w rękach Maurów miasta wciąż przesuwały się tłumy ludzi. Niektórzy, jakby nieświadomi czyhającej za murami wojny, wsłuchiwali się, ze spokojną obojętnością, w rzewną melodię mauretańskiej lutni, albo śledzili wątki opowieści wygłaszanej przez arabskiego wędrownego improwizatora; inni z kolei rozmawiali, podekscytowani, gestykulując z zapałem i animuszem, jakich codzienny i zwykły bieg spraw nie mógłby sprowokować wśród tych ludzi wschodu, którzy w naturalny sposób skłanialiby się raczej ku biernej kontemplacji. Ale im więcej było takich publicznych miejsc, gdzie gromadziły się te różnorodne grupki, tym bardziej podkreślały one tylko wyludniony i uroczysty spokój, jaki panował nad resztą tego otoczonego murami miasta.

O takiej porze, pewien człowiek przemierzał ulicę. Szedł sam, z opuszczonym wzrokiem i rękami ukrytymi w powłóczystej to-

dze, która zwieszała się aż do jego stóp, a w jego postawie dominowała dystyngowana obojętność na wszystko, co działo się dookoła. Jednak jego obojętność nie była odwzajemniana przez rozdyskutowane grupy mieszkańców, które ten nie pasujący do otoczenia przechodzień omijał.

– Spójrzcie tam! – wykrzyknął jeden z mężczyzn, – czyż nie jest to słynny Almamen?

– To on. Ten, co jednym zaklęciem pozbawił męskości Boabdila el Chico, – odparł drugi, głaszcząc swoją brodę. – Przekląłbym go, gdybym znał jego magię. Ale to on, nie ja, ma konszachty z siłami nieczystymi.

– Ale mówią, że obiecał, że gdy mieszkańcy zostaną pokonani, duchy będą walczyć o Granadę, – zauważył trzeci z powątpiewaniem.

– Co jest, to jest! Co ma być, to będzie! – powiedział czwarty z pełną powagi roztropnością.

Cokolwiek dominowało w ich postawie, czy to irracjonalny strach powodowany głęboką wiarą w czary, czy zwykły, ludzki, naturalny lęk przed wpływowym człowiekiem, wszyscy usuwali się z drogi przed słynnym Almamenem, a tłumione pomruki niezadowolenia nie docierały do jego uszu.

Przekroczywszy Zacatin (ulicę, która przecinała Wielki Bazar), okryty sławą zaufany władcy skierował się w wąską i krętą uliczkę, aż dotarł do murów otaczających pałac i twierdzę Alhambra.

Wartownik przy bramie pozdrowił i przepuścił go w milczeniu; i po kilku chwilach sylwetka mężczyzny zniknęła w wyludnionych zaroślach, pomiędzy którymi, w równomiernych odstępach, tryskające arabskie fontanny pobłyskiwały w świetle księżyca; ponad nimi górowała fasada pałacu w Alhambrze; a po prawej Wieże Vermiliona, których fundamenty pamiętają najwcześniejsze wieki panowania Fenicjan.

Almamen zatrzymał się i przyjrzał widokowi. “Czy raj mógł być piękniejszy?” Wyszeptał; “i takie wspaniałe miejsce ma być

zdeptane przez zwycięskich niewiernych? Cóż za różnica? Wiara walczy z inną wiarą - walka, walka - aż czas zawróci do swojego początku i ujrzy władzę zwróconą najstarszej wierze i najstarszemu szczepowi. Cała nasza potęga musi być obudzona."

Po tej refleksji umilkł i patrzył długo i z przejęciem na gwiazdy, które w coraz większej liczbie, w miarę zapadania nocy, rzucały swoje lśniące promienie na wytryskującą z fontann wodę i posrebrzały różnobarwne, nieruchome listowie krzewów. Tak przenikliwe było jego spojrzenie, i tak głęboko pogrążony był w myślach, że nie spostrzegł nadchodzącego Maura, którego lśniąca broń i śnieżnobiały turban, ozdobiony szmaragdami, rozsiewały blask wśród gałęzi drzew.

Przybysz górował wzrostem nad innymi przedstawicielami swojej rasy, na ogół niskimi i szczupłymi ludźmi - chociaż nie był aż tak wysoki, silny i uzbrojony jak hiszpańscy rycerze. Ale w jego powierzchowności i postawie było coś, co nawet w najbardziej wyniosłym zgromadzeniu chrześcijańskiego rycerstwa, mogło robić ogromne wrażenie. Szedł krokiem początkowo lekkim i majestatycznym, jak gdyby gardząc całym światem; a w sposobie w jakim unosił swoją małą głowę i wyciągał długą szyję można było poznać tę trudną do opisania majestatyczną dumę, która tak dobrze odpowiada naszym wyobrażeniom wysokiego urodzenia i szlachetnego choć apodyktycznego ducha. Nieznajomy zbliżył się do Almamena i zatrzymał kilka kroków od niego. Przyglądał mu się w milczeniu przez dłuższą chwilę, a gdy w końcu przemówił, jego głos był zimny i pełen sarkazmu.

– Żądny mrocznych tajemnic, – powiedział, – czy to w gwiazdach czytasz przyszłe losy ludzi i narodów, które Prorok kształtował umysłem wodza i ramieniem wojownika?

– Książę, – odpowiedział Almamen, odwracając się powoli i rozpoznając tego, który przerwał jego rozmyślania, – rozważałem tylko jak wiele wojen, które wstrząsają całym światem, oglądały te gwiazdy, obojętne i niezmienne.

– Obojętne! – odpowiedział Maur, – czyżbyś nie wierzył w ich wpływ na losy świata?

– Mylisz się, – odparł Almamen z delikatnym uśmiechem, – poczytałeś twojego wiernego sługę za jednego z tych próżnych astrologów.

– Dla mnie astrologia to część nauki głoszonej przez dwóch Aniołów: Haruta i Maruta.

– Możliwe, że tak jest, ale ja nie znam tej nauki, chociaż wędrowałem po Babel na Północy.

– Czy zatem fama nas zwodzi? – zapytał Maur podejrzliwie.

– Fama nigdy nie rości sobie pretensji do prawdy, – powiedział Almamen spokojnie i ruszył w swoją stronę, – niech pokój będzie z tobą, książę! Szukam króla.

– Stój! Właśnie od niego wyszedłem i pozostawiłem go, jak mniemam, z myślami wartymi władcy Granady, których nie powinien zakłócać żaden obcy, zwłaszcza taki, którego ramię nie dźwiga ani włóczni ani tarczy.

– Szlachetny Muzo, – odpowiedział Almamen, – nie obawiaj się, że mój głos osłabi natchnienie, jakim twój napełnił piersi Boabdila. Nic z tego! Jeśli moje rady byłyby brane pod uwagę, słyszałbyś wojowników w Granadzie, którzy mówiliby mniej o Muzie a więcej o królu. Ale Wiara, jak król chce, dominuje nad tronem walącej się dynastii, tronem, który chociaż dzielny, jest słaby, chociaż mądry, błądzi w obłokach; a ty podejrzewasz wiernego doradcę, bo widzisz, że rozsądna rada znajduje posłuch. Czy nie nazywamy tego uczuciem zazdrości?

Muza spojrzał uważnie i srogo w twarz Almamena; potem łagodnie położył rękę na jego ramieniu i powiedział:

– Cudzoziemcze, jeśli kłamiesz, pamiętaj, że to ramię ścięło głowy wielu wrogów i nie zawaha się ściąć jeszcze jednej!

– I ty pamiętaj, dumny książę! – odparł Almamen spokojnie ale dobitnie, – że odpowiadam tylko przed samym Stwórcą, ale ja też potrafię bronić mieczem siebie i swojej sprawy przed tym, kto mieczem atakuje!

Powiedziawszy to, mężczyzna owinął połą swojej długiej szaty głowę razem z twarzą i zatopił się w liściastym gąszczu.

Rozdział 2

Król w swoim pałacu

W jednym z tych apartamentów, których luksus znany jest tylko mieszkańcom łagodnego klimatu (na pół pokój, na pół grota), spoczywał w pozycji leżącej i pogrążony w zamyśleniu, młody król Granady.

Strop z drewna cedrowego, promieniujący złotymi obiciami i lazurem, opierał się na smukłych kolumnach z najbielszego alabastru, pomiędzy którymi otwierały się arkady, jasne i wdzięczne, jak łukowate winnice w Italii, ozdobione tymi delikatnymi i tak typowymi dla arabskiej architektury filigranami; poprzez te arkady można było ujrzeć małe wodospady, oświetlone alabastrowymi lampami; a ich rozdzwoniona muzyka brzmiała w uszach świeżym i regularnym szumem. Cała jedna strona tego apartamentu była otwarta na szeroki i obszerny balkon, który był zawieszony nad brzegami wietrznej, oświetlonej światłem księżyca rzeki Darro; w przejrzystości powietrza tej spokojnej wieczornej pory, mogły być wyraźnie widoczne faliste wzgórza, lasy i sady pomarańczowe, które do dziś tworzą niezrównany krajobraz tego regionu.

Dywan zastawiony był otomanami i leżankami w kolorze najbardziej świetnego lazuru, rozrzutnie ozdobionymi osobliwymi wzorami i bordiurami ze złota i srebra; ponad otomaną, na której leżał Maur, naprzeciwko balkonu, stała oparta o filar okrągła tarcza, lekki sztylet i zakrzywiony kindżał – broń Maurów –

przywieszone na ścianie. Broń ta ozdobiona była drogimi klejnotami tak bogato, że mogłaby wystarczyć aby rozpoznać rangę jej właściciela, nawet gdyby jego okazała szata tego nie zdradzała. Otwarty rękopis leżał przed Maurem na srebrnym stole, ale on nie czytał; opierał tylko głowę na ręce i patrzył rozkojarzonymi oczami w kierunku górskich szczytów, ledwo dostrzegalnych na zachmurzonym i dalekim horyzoncie.

Oblicze właściciela tego przepełnionego zbytkiem salonu spowite było w aurę niepasującą do reszty otoczenia. Troska i melancholia wyzierały z jego smutnego spojrzenia.

Uroda tego oblicza była w niezwykły sposób napiętnowana powagą i majestatycznym zafrasowaniem, wrażenie spotęgowane młodością i niezwyczajną gładkością cery, rzadko spotykaną u tego narodu. Włosy i poskręcana broda były w kolorze ciemnego złota; a na szerokim czole i w dużych oczach gościła kontemplacyjna łagodność, która lekko rozjaśniała rysy opalonej twarzy. Majestat wymieszany z zatroskaniem i sentymentalną naturą to wrażenie, jakie robił Boabdil el Chico, ostatni władca z mauretańskiej dynastii w Hiszpanii.

– Te zwoje z arabskimi mądrościami, – rozważał Boabdil, – i czego one uczą? Pogardy dla bogactwa i władzy, ustanowienia w sercu prawdziwego imperium. A więc to jest mądrość. A jednak, gdy czytam te maksymy, czy to znaczy, że staję się mądrzejszy? Niestety! Cały świat nazywa mnie fantastą i szaleńcem. Zawsze tak było. Mądrość Rozumu wypełnia nas nakazami, które spychają nasze potrzeby na dno pogardy. O Święty Proroku! Jakimi głupcami okazują się ludzie, którzy łotrostwem próbują przykryć ich ignorancję!

Młody król bezszelestnie obrócił się na plecy na swojej kanapie. Słowa, które wypowiedział, zdawały się nazbyt filozoficzne jak na młodego władcę, który zaledwie zdążył założyć koronę na swoje skronie.

Jego filozoficzny spokój nie trwał jednak długo, zbyt intensywne myślenie najwyraźniej zniechęcało go i niepokoiło. Boabdil ponownie obrócił się na bok i powiedział:

– Moja dusza pragnie oczyszczenia w muzyce. Te wyprawy w niewidzialne krainy mądrości nużą mnie, a strumienie dźwięków wesprą i zrelaksują wędrującego pielgrzyma.

Klasnął rękami i, z jednej z arkad, wyłonił się, dotąd niewidoczny, młody służący; na nieznaczny i ledwo zauważalny znak króla zniknął ponownie, a kilka chwil później, błyszcząc między pięknymi kolumnami i na tle połyskujących wodospadów, pojawiły się zgrabne i energiczne nogi arabskich tancerek. Gdy zamigotały bezszelestnie swoimi przezroczystymi tunikami i białymi ramionami w tym chłodnym ale zmysłowym pokoju, zdawały się być wróżkami orientalnej magii, wezwanymi by wypełnić zabawą wolne chwile młodego Salomona. Razem z nimi przybyła artystka o wyróżniającej się urodzie, choć niższa wzrostem niż pozostałe. Miała ona ze sobą lekką mauretańską lutnię; na widok dziewczyny nieśmiały i tęskny uśmiech pojawił się na smukłej twarzy Boabdila. Jego wzrok spoczął na pełnych wdzięku kształtach i ciemnych, zdradzających skłonność do namiętności, wschodnich rysach twarzy. Artystka zbliżyła się do króla, bojaźliwie ucałowała jego dłoń, a potem, dołączając do pozostałych dziewcząt, zaczęła śpiewać. Nadawała każdej nucie i każdemu słowu emocji i energii zgodnej z rytmem wybijanym stopami tancerek, które w czasie refrenu uderzały w srebrne dzwonki muzycznych instrumentów, każda z dziewcząt trzymała w rękach jakiś rodzaj tamburynu.

PIOSENKA AMINY

I.
Miękko, och, miękko suń,
Łagodna Muzyko, twoje srebrne fale,
Niosące, spokojną melodię,

Ten płatek z Róży Pieśni!
Pozwól by zawinął do swojego portu w jego duszy,
Ta krucha, lecz pachnąca łódź,
Nieś go, miękka Melodio,ze sobą!

II.
Jesteśmy brzemienne dźwiękiem,
Jak dzwonki na rajskim drzewie,
Gdy drżą z rozdzwonionym brzmieniem
Na wietrze z Świętego Tronu,
Słuchaj, jak przechodzimy tędy,
Wstrząsamy pączki dźwięku;
Twa obecność, Ukochany, jest Rajem.

III.
Słodkim akordem, który słyszę i budzę
Pragnę być ze względu na ciebie,
Dźwiękiem, takim jak ten,
Który wpada do głębin twojego serca.
Gdyby mój oddech rozbudził jego zmysły;
Gdyby mój głos mógł przetrwać w jego sercu;
Jak rozkosznie byłoby tak zostać na zawsze!

Muzyka ucichła; tancerki pozostały przez pewien czas nieruchome w pełnej wdzięku postawie, jakby zamienione w pomniki z alabastru; a młoda śpiewaczka przysiadła na poduszce u stóp monarchy i spoglądała czule, ale bez słów, w jego nieobecne, rozmarzone oczy, gdy nagle jakiś człowiek, którego przybycia nikt nie zauważył, pojawił się na środku pokoju.

Średniego wzrostu, szczupły, muskularny i silnie choć drobno zbudowany. Zwykła szata, trochę na modłę armeńskiej sukni, zwieszała się długo i luźno na tunice koloru jasnego szkarłatu, przepasanej szerokim pasem, na środku którego przymocowany był mały złoty klucz. Po lewej stronie widać było, wysadzaną

klejnotami, rękojeść zakrzywionego sztyletu. Jego postawa należała do typu nieprzeciętnego i bardziej dostojnego, odróżniała go od typowego iberyjskiego Maura. Czoło miał szerokie, masywne i wyjątkowo wysokie, a ciemne oczy niezwykłej wielkości i bystrości; jego broda, krótka, czarna i lśniąca, zakręcała się ku górze i pokrywała całą dolną część twarzy, oprócz silnych, mocno zaciśniętych i stanowczych warg, które były duże i pełne; nos miał wysoki, orli i ostro zarysowany; cała sylwetka, razem z głową (która mogła wydawać się, z punktu widzenia symetrii, zbyt duża w porównaniu z resztą ciała) zdradzały człowieka o niepospolitej sile i charakterze. Na pierwszy rzut oka, obcy sięgał latami progów wieku średniego; ale, po dokładniejszym przyjrzeniu się, głębokie bruzdy i zmarszczki, odznaczające się na czole i wokół oczu, zdradzały dużo bardziej zaawansowany okres życia. Z ramionami pokornie złożonymi na piersi, stał przed królem, czekając w milczeniu na chwilę, kiedy jego obecność zostanie zauważona.

Nie czekał długo; oczy i gesty dziewczyny usadowionej u stóp Boabdila zwróciły uwagę króla w miejsce, gdzie stał przybysz. Oblicze władcy rozjaśniło się na jego widok.

– Almamen! – wykrzyknął Boabdil gorliwie, – niech cię powitam. – Ruchem ręki nakazał tancerkom opuścić pokój.

– Czy nie mogę pozostać? Och, duszo mego serca, twój ptaszek, chce pozostać w twojej klatce, – wymruczała artystka nie ruszając się z miejsca.

– Słodka Amino, – odpowiedział Boabdil gładząc czule jej loki. Pochylił się, aby ucałować jej skroń. – Możesz być świadkiem tylko tych chwil, kiedy zażywam rozrywki. Znoje i interesy nie powinny cię dotykać; spotkamy się znów, zanim słowik wyśpiewa do księżyca swoją ostatnią pieśń.

Amina skinęła potulnie głową, powstała i zniknęła za baletnicami.

– Przyjacielu, – powiedział król, gdy zostali sam na sam, –

twoje rady często przynoszą mi spokój, jednak o takiej godzinie spokój jest zbrodnią. Ale co robić? Jak się z tym zmagać? Jak działać? Niestety! W godzinie, gdy się narodził, do imienia Boabdila dodano przydomek El Zogoybi[1]. Niepowodzenia uciskają moje skronie, ich czarny i złowrogi znak pojawia się, zanim moje usta zdołają wymówić zaklęcie przeciw ich mocy. Mój gwałtowny ojciec, który w swoim rozczarowaniu równał mnie z Azraelem, znienawidził mnie już w kołysce; we wczesnej młodości, moje imię wymawiane było przez wichrzycieli wbrew mojej woli; więziony przez ojca, z czarą wypełnioną trucizną, albo sztyletem nieustannie przed moimi oczyma, uratowałem się tylko dzięki przebiegłości mojej matki. Gdy wiek i niemoc złamała żelazne berło króla, moje prawa do tronu zostały odrzucone i mój wuj, El Zagal, przywłaszczył sobie prawa syna pierworodnego. Rzucając się w otwartą wojnę albo sekretne knowania, walczyłem o moją koronę; a teraz, jedyny władca Granady, gdy, jak ufnie mniemam, mój wuj utracił wszystkie prawa do rządzenia moim ludem przez poddanie się królowi Chrześcijan i złożenie mu hołdu lennego, widzę, że niezadowoleni podwładni mi przypisują zdradę El Zagala – twierdzą oni, że wszystko, co złe zdarzyło się z winy mojej opieszałości. W chwili, gdy zdobyłem przewagę nad moim rywalem, jestem przyjmowany przez mych poddanych ze złorzeczeniem i że przybyłem ze swoimi oddziałami do Alhambry, ale nie mam odwagi stanąć na ich czele i powieźć ich do walki a nawet pokazać się swojemu ludowi; nazywają mnie słabym i niezdecydowanym, odżegnują mnie od siły i odwagi. I tak jak obserwując wody spadające na tamtych wzgórzach, nie posiadając mocy, żeby je zatrzymać, tak samo widzę, że sprawy mojego królestwa wymykają się z moich rąk.

Młody król przemawiał cicho ale nerwowo; niepokojony tymi rozważaniami, przechadzał się po pokoju, nie przerywając swojego monologu, szybkimi i chaotycznymi krokami.

[1] Pechowy.

Almamen zdradzał swoje uczucia jedynie okiem i wargami zaciśniętymi w wyrazie natężonej nieustępliwości.

– Światło prawdy, – odezwał się wreszcie, gdy Boabdil skończył. – Najwyższe moce nigdy nie skazują człowieka ani na wieczne cierpienie, ani wieczną radość: chmury i blask słońca są tak samo niezbędne dla nieba, jak i przeznaczonych nam losów; jeśli cierpiałeś w swojej młodości, wyczerpałeś nieszczęścia, które zgotował ci los, twój dojrzały wiek będzie pełen chwały, a starość bezchmurna.

– Mówisz tak, jakby wokół murów miasta nie było armii Ferdynanda, – powiedział gorączkowo Boabdil.

– Armie Sancheryba były nie mniej potężne, – odpowiedział Almamen.

– Mądry wieszczu, – odparł król głosem na pół sarkastycznym, na pół poważnym, – my, Muzułmanie w Hiszpanii, nie jesteśmy zaślepionymi fanatykami wschodniego świata. Spłynęło na nas światło filozofii i nauki; jeśli widzisz najbardziej religijnych spośród nas, którzy wciąż pozornie dochowują obyczajów i rytuałów odprawianych przez większość, to jest to mądrość naszej polityki, a nie naiwna wiara w zabobony. Nie przytaczaj mi więc swoich przykładów z czasów dawnych i przebrzmiałych wierzeń: wysłannicy Boga bowiem, są dziś zwykłymi ludźmi, nie aniołami; i jeśli będę czekał aż Ferdynand podzieli los Sancheryba, to tak jakbym czekał na dzień, w którym sztandary ze znakiem krzyża zaczną powiewać nad wieżami Vermiliona.

– A jednak, – powiedział Almamen nieporuszony, – podczas gdy mój pan, król, odrzuca religijny fanatyzm, czy tym samym kończy się fanatyzm prześladowań? Nie wierzysz w historie prześladowań niektórych narodów; a sam doświadczasz prześladowaniami ludzi, którzy wyszli z tego samego kraju, dziś, za sprawą twoich rozporządzeń, są oni równani z ziemią, torturowani i skazywani przez twoich sędziów, szpiegów, rycerzy i podwładnych.

– Ach, wiem o kim mówisz. Podli skąpcy! Zasługują na swój los! – odpowiedział Boabdil wyniośle. – Ich bogiem jest złoto, a bazar ojczyzną; Pośród płaczu i jęków narodów, oni interesują się tylko wzrostem lub spadkiem koniunktury na handel; marni przekupnie! Gdy wyciągają ręce do każdego portfela, czemu dziwią się, że prowokują w ten sposób wszystkich, aby wyciągali ręce do ich gardeł? Gorsi niż plemię Hanifa, które czciło ich boga tylko wtedy, kiedy było to dla nich korzystne; jak mówi stare przysłowie: naród Mojżesza sprzedałby Siódme Niebo za najmniejszą z możliwych błahostek.

– Obowiązujące prawa pozbawiają ich wszelkich uczuć poza skąpstwem, – zaoponował Almamen, – i jak roślina, która wygina i wyciąga odnogi, aby przebić swój wierzchołek poprzez wszystkie przeszkody, do dziennego światła, tak samo umysł człowieka wykręca się i wypacza, jeśli brakuje legalnych dróg, aby zrealizować swoje naturalne dążenie do osiągnięcia szacunku i dobrobytu. Izraelici nie byli frymarczącymi kupczykami ani skąpcami na ich własnej, świętej ziemi, gdy gromili twoich przodków, starożytne armie arabskie; i raczej ogryzaliby mięso z własnych kości z głodu, aniżeli oddaliby znacznie mniejsze miasto niż Granada większej armii niż dumne pułki panów Hiszpanii. A ty potrzebujesz dziś sojuszników… Ale nie mówmy o tym. Mój pan odrzuca wiarę w posłannictwo aniołów; a czy wciąż utrzymuje wiarę w mądrość śmiertelników?

– Tak! – wyrzucił Boabdil szybko, – bo o aniołach nie wiem nic; a o drugich mogę sądzić z własnych zmysłów. Almamenie, mój zapalczywy krewniak, Muza, był tu ze mną dziś wieczór. Nakłaniał mnie, abym zadał kłam zarzutom ze strony moich podwładnych, abym zerwał więzy mojego ducha zamkniętego w tych ścianach; nakłaniał mnie, abym przypasał tamtą tarczę i miecz, i pokazał się w Vivarrambla, na czele granadyjskich możnych. Moje serce rwie się do tego! I jeśli nie mogę żyć, przynajmniej umrę, jak dzielny król!

– Szlachetne słowa, – powiedział chłodno Almamen.

– Zgadzasz się, zatem, z tym zamiarem?

– Przyjaciele króla nie mogą zgadzać się z jego samobójczymi zamiarami.

– Ha! – powiedział Boabdil zmienionym głosem, – myślisz więc, że jestem z góry przegrany w tej walce?

– Gdy wybije godzina, nastąpi upadek albo zwycięstwo.

– A ta godzina?

– Jeszcze nie nadeszła.

– Wyczytałeś to w gwiazdach?

– Pozwól mauretańskim Magom kultywować prymitywne praktyki; twój sługa patrzy nie tylko na gwiazdy, patrzy na świat potężniejszy niż ta mała planeta, świat, który ani nie zmniejszy się ani nie mrugnie, nawet gdy ziemia zostanie zmieciona z bezkresnego Wszechświata.

– Tajemniczy człowieku! – powiedział Boabdil; – gdzie, zatem, jest moc? – Skąd czerpiesz wiedzę o przyszłości?

Almamen zbliżył się do króla i teraz obaj stali przed odsłoniętym tarasem.

– Spójrz! – powiedział Almamen, wskazując na wody rzeki Darro, – ta rzeka jest światem, w którym człowiek nie może żyć ani oddychać: ponad nią, w rozrzedzonym i niewyczuwalnym powietrzu, nasze stopy nie potrafią znaleźć oparcia, żadna armia na całym świecie nie zbuduje tam żadnego imperium. A jednak, dzięki opanowaniu prostych umiejętności, ryby i ptaki zamieszkują wodę i powietrze, służąc zarazem naszym najbardziej próżnym zachciankom, najbardziej prymitywnym z naszych zabaw; tak samo jest z prawdziwą wiedzą. Pomyśl o tym, jeśli ta mało ważna powierzchnia świata zamieszkana jest przez żywe istoty, to czy nie może być niewidzialnego dla oka życia w odległym od powierzchni środku ziemi albo w przepastnym wszechświecie otaczającym ją? Gdy rybak chwyta w sieci swój łów, jak ptasznik chwyta w pułapki ptaki, to czy zręcznością i inteligencją naszych

ludzkich umysłów, nie możemy sobie podporządkować i wykorzystać bardziej subtelnych tworów życia i pokarmu, którego nasze ciała nie potrafią wchłonąć – istnień, których nasze proste zmysły nie potrafią przejrzeć? To jest właśnie moja mądrość. O innych światach nie wiem nic; ale o rzeczach tego świata, nie tylko o ludzkich rzeczach, także o mniej uchwytnych istotach, które dla innych żyją tylko w legendach, dużo się dowiedziałem. Jeśli chodzi o przyszłość, osobiście jestem ślepcem; ale potrafię dotrzeć do wiedzy tych, którzy są dużo bardziej przenikliwi niż ja, których zdolności znacznie przewyższają przeciętną mądrość człowieka.

– Daj mi dowód swojej mocy, – powiedział Boabdil, wystraszony mniej słowami aniżeli budzącym trwogę głosem i wywołującym dreszcze spojrzeniem Almamena.

– Czyż wola mojego króla nie jest dla mnie rozkazem? – odpowiedział retorycznym pytaniem Almamen. – Aby uczynić zadość twojej woli, jutrzejszej nocy będę na ciebie czekał.

– Gdzie?

Almamen zamilkł na chwilę, a potem wyszeptał jakieś słowa do ucha króla: Boabdil zadrżał a jego twarz pobladła.

– Niebezpieczne miejsce!

– Jak cała Alhambra, wielki Boabdilu; gdy Ferdynand jest tuż za murami, a Muza w mieście.

– Muza! Śmiesz poddawać w wątpliwość wierność mojego najdzielniejszego dowódcy?

– Który mądry król zaufałby temu, kto wodzi rej w królewskiej Armii? A jeśli Boabdil padnie jutro od zabłąkanego oszczepu, na ziemi, którą możni i wodzowie rzucili ci do stóp? Czy trzeba będzie wiedzy tajemnej, żeby odkryć, kto będzie się za tym krył? Czy trzeba szeptać do twojego ucha imię “Muza”?

– Och, nieszczęsny kraju! Och, nędzny królu! – wykrzyknął Boabdil tonem wielkiej udręki. – Nigdy nie miałem ojca, w którym miałbym oparcie. Teraz nie mam podwładnych, którym

mógłbym zaufać; jeszcze chwila, a nie będę miał królestwa. Czy nigdy nie miałem jakiegoś przyjaciela?

– Przyjaciela? A który król kiedykolwiek miał? – odparł Almamen oschle.

– Odejdź, człowieku – odejdź! – krzyknął Boabdil, podczas gdy niecierpliwy duch jego stanu i rasy zapalił groźny ogień w jego oczach. – Twoja zimna i wyrachowana mądrość mrozi wszystkie żyły mojego człowieczeństwa! Chwała, zaufanie, ludzka sympatia i uczucia – twoje rady niweczą je wszystkie. Zostaw mnie! Chcę być sam.

– Spotkamy się jutro, o północy, potężny Boabdilu, – powiedział Almamen swoim zwykłym, opanowanym i beznamiętnym głosem. – Niech Król żyje wiecznie.

Król obrócił się; ale jego doradca już zniknął. Odszedł tak, jak przybył – bezgłośnie i nagle, jak upiór.

Rozdział 3

Kochankowie

Muza, po rozstaniu z Almamenem, skierował swoje kroki w stronę wzgórza, które wyrastało naprzeciwko wzniesienia zwieńczonego wieżami Alhambry; wzgórza, którego zbocza i szczyt zamieszkane były przez najbogatszych mieszkańców miasta. Idąc, wybierał bardziej prywatne i odosobnione ulice; w połowie drogi na wzgórze dotarł wreszcie pod mury niskie, ale ciągnące się na długiej przestrzeni i które opasywały ogród jednego z najbogatszych mieszkańców miasta. Spojrzał tęsknie i niecierpliwie dookoła; nie było żywej duszy; nic nie przerywało ciszy, z wyjątkiem sporadycznych podmuchów wiatru z ośnieżonych szczytów Sierra Nevada, a których obecność zdradzał szelest liści drzew cytrynowych i granatu; albo dzwonienie srebrnych wodospadów, niosących swoje melodie przez okolicę. Serce Maura biło mocno; odczekał chwilę i przeskoczył przez mur. Znalazł się na zielonej murawie upstrzonej kobiercem licznych śpiących kwiatów, dokoła niego wyrastały rzucające cień małe zagajniki, a cały ogród poprzecinany był alejkami i siecią zarośli pełnych złocistych owoców.

Po krótkiej chwili stał już przed domem, którego architektura zdradzała, że pochodzi z czasów poprzedzających panowanie władców muzułmańskich. Zbudowany był on ponad niskimi krużgankami utworzonymi przez ciężkie i wiekowe kolumny, większa część fasady ukryta była w obfitości kłączy róż

i pnących krzewów; kratownice ponad krużgankami otwierały się na bogato złocone balkony, imponujący dodatek arabskiego stylu. Tylko w jednym z okien widoczne było światło; cała reszta domu pogrążona była w mroku jak gdyby, oprócz tego pokoju, sen trzymał straż nad mieszkańcami. Właśnie do tego okna zakradł się Maur i po chwili wymruczał raczej niż zaśpiewał, tak bardzo przyciszony i przypominający szept był jego głos, następujące proste wersy - lekko zmienione słowa pewnego starego arabskiego poety:

Świetle mojej duszy, obudź się, obudź się!
Światła twojej siostry są już na niebie;
Pragniemy twych oczu,
Wesołych oczu;
Noc zapada nad twymi oczami!
Święte słowa są na mym mieczu,
Ale w mym sercu twoje imię
Słowa najbardziej umiłowane;
Każde tak samo prawdziwe,
Prawdziwe! – niestety!
Zbyt mocno kocham
A serce jest twarde jak stal!
Zaświeć w mojej duszy!
Zaświeć nade mną.
Swoim spojrzeniem,
Twym płochliwym spojrzeniem,
Jakimiż gwiazdami są twoje oczy?

Nie zdążył dośpiewać do końca, gdy kratownica uchyliła się cicho i na balkonie pojawiła się kobieca postać.

– Ach, Leila! – powiedział Maur, – widzę cię i płonę z uwielbienia!

– Ciszej! – odpowiedziała Leila, – mów ciszej, i lepiej odejdź. W domu już domyślają się naszych spotkań, a poza tym, – do-

dała drżącym głosem, – możliwe, że widzimy się po raz ostatni.

– Na Proroka! – wykrzyknął Muza żarliwie, – O czym mówisz? Nie skrywaj przede mną niczego. Nie potrzebujemy tajemnic. Kochamy się, a prawie się nie znamy. Dlaczego nie mogę poznać twojego pochodzenia, pozycji, twoich rodziców? Pomyśl tylko, piękna Leilo, czy w Granadzie jest rodzina, która pogardziłaby związkiem z Muzą Ben Ali Gazanem? Och! – dodał, ukrywając hardość swojego charakteru pod najbardziej czułym głosem, – jeśli nie za wysoki jest twój ród, żeby mną pogardzać, co staje na przeszkodzie naszej miłości? Jesteś właścicielką mojego serca, Leilo; bądź moją, nieważne czy szczyty gór, czy doliny zrodziły ten aromat i ten kwiat.

– Niestety! – odparła Leila szlochając, – tajemnica, którą chcesz poznać jest mi tak samo nieznana, jak tobie. Wiele razy mówiłam ci, że nie wiem nic o swoim urodzeniu ani pochodzeniu, za wyjątkiem zasnutych mgłą wspomnień odległego i gorącego kraju, gdzie, pośród piasków i pustyń, wyrastają wieczne cedry, a wielbłąd pasie się na karłowatych trawach omiatanych gorącym jak płomienie wiatrem. Czasami zdaje mi się, że pamiętam moją matkę: czułe oczy patrzyły na mnie a jej rzewne piosenki kołysały mnie do snu.

– Dusza twojej matki wstąpiła we mnie, – powiedział Maur namiętnie.

Leila ciągnęła:

– Urodziłam się gdzieś tam daleko, ale wyrosłam w tym domu. Niewolnicy zaspokajali każdą moją zachciankę; ci, którzy poznali zarówno dostatek, jak i biedę, której ja nie doświadczyłam, mówią mi, że wokół mnie marnotrawione są bogactwa i przepych, które mogłyby zadowolić króla; ale o krewnych i rodzinie nie wiem nic: mój ojciec, srogi i tajemniczy człowiek, odwiedza mnie rzadko – czasami mijają miesiące, gdy go nie widzę; wiem tylko tyle, że mnie kocha. Muzo, dopóki nie poznałam ciebie, moje najjaśniejsze godziny to były te, gdy słyszałam w

domu jego kroki i mogłam pobiec, aby rzucić mu się na szyję. Był jedynym, kogo miałam.

– Nie znasz swojego nazwiska?

– Nie, ani nie znam nikogo z domowników; może z wyjątkiem Ximena, zarządcy, starego i zwiędłego człowieka, którego samo spojrzenie wywołuje u mnie lęk i odbiera głos.

– Wszystko to bardzo dziwne, – powiedział Maur zamyślony, – ale dlaczego mówisz, że nasza miłość jest zdemaskowana, kto chciałby pokrzyżować nasze plany? Dlaczego?

– Mów ciszej! Ximen wypytywał mnie dzisiaj: "Córko mojego pana," powiedział, "ślady mężczyzny są w całym ogrodzie. Wiedz," dodał bardziej łagodnym głosem, gdy zobaczył, że drżę, "że łatwiej będzie ci zdobyć pozwolenie na poślubienie dzikiego tygrysa, aniżeli związanie się z najbardziej nawet szlachetnym Maurem! Uważaj więc!" Powiedział i odszedł. – Och, Muzo! – ciągnęła, nerwowo załamując ręce, – serce we mnie zamiera, złe, najgorsze przeczucia wypełniają moją głowę!

– Na życie mojego ojca! Te przeszkody tylko dolewają oliwy do ognia mojej miłości. Zdobędę cię, Leilo, choćbym musiał utorować sobie drogę setkami ciał naszych wrogów!

Ledwo zdążył wypowiedzieć swoje rozpalone namiętnością słowa, gdy spomiędzy zarośli, czyjaś niewidoczna, ale wprawna ręka, cisnęła oszczep, który furkocząc wbił się w pień drzewa tuż za głową młodego Muzułmanina, pozostawiając na jego policzku zimny jak śmierć powiew wirującego powietrza.

– Uciekaj, uciekaj, ratuj się! Ratuj swoje życie! – krzyknęła Leila i zbiegła z balkonu chroniąc się wewnątrz domu.

Muza nie czekał na następny cios, który mógł okazać się śmiertelnym; nie uciekł jednak, jego zapalczywy, nie znający trwogi charakter, pchnął go w kierunku napastnika; w dłoni ściskał swój obnażony sztylet; ledwo powstrzymywany krzyk gniewu drżał na jego ustach. Skoczył przed siebie w zarośla, skąd rzucono oszczep. Swoim zaprawionym do walki w ciemno-

ściach, na muzułmańską modłę, wzrokiem, przeszukiwał gorączkowo, cały czas zachowując czujność, ciemne i szumiące listowie. Nie znalazł nikogo; po chwili niechętnie zawrócił i opuścił posiadłość; ale w momencie gdy przesadzał niski mur, jego uszu dobiegł go z mroków ogrodu cichy, ale dobitny i bezlitosny głos:

– Ocalałeś, ale, tylko po to, by zginąć śmiercią jeszcze straszniejszą!

Rozdział 4

Ojciec i córka

Pokój, do którego wycofała się Leila, wystrojem pasował do reszty domu. Sposób jego urządzenia był odmienny od tych reguł ozdabiania, które na ogół stosowali Maurowie z Granady. Miał on bardziej przytłaczającą i, że użyjemy takiego porównania, egipską wspaniałość. Ściany pokryte były wschodnimi tkaninami, kapiącymi złotem, wyszywanymi na skrajach sięgających podłogi najgłębszą purpurą; dziwne znaki, najwidoczniej pochodzące z obcego języka, były wpisane w szachownicę gzymsów. Na masywnym suficie, który wspierał się na kwadratowych kolumnach, zwijały się złocone i emaliowane węże, z oczami wypełnionymi wielkimi szmaragdami rzucającymi zielone, żywe blaski; różnorodne zwoje i instrumenty muzyczne leżały porozrzucane na marmurowym stole; pojedyncza lampa z polerowanego srebra rzucała przyciemnione, stonowane światło po całym pokoju. Całość sprawiała wrażenie ponure, obce i przygniatające, choć bogate i raczej odpowiednie do przysadzistych, przypominających jaskinie budowli, które chroniły mieszkańców Teb i Memfis przed silnymi promieniami afrykańskiego słońca, aniżeli pełne wdzięku orientalne domy odsłaniające swoje wnętrza na światło i niebo.

Leila stała w tym pokoju, pobladła i bez tchu, z otwartymi ustami, z dłońmi przyciśniętymi w trwodze do uszu; nie sposób było sobie wyobrazić bardziej doskonałego uosobienia jed-

nej z tych orientalnych, delikatnych *Peri*, więzionych w zamku wrogiego i ponurego *Ducha*. Jej kształty posiadały wspaniałą lekkość składającą się z krągłości kobiecego piękna; było w nich coś z tej elastyczności i wdzięku młodej łani, sprężystości, której poszukują rzeźbiarze, aby ucieleśnić w swojej wyobraźni postać bardziej zwiewną niż ziemska istota. Jej lśniące włosy były bardzo ciemne, ale purpurowy i połyskujący odcień odróżniał je od tego niebieskiego odcienia niezwykle powszechnego u Azjatek; jej cera, w sposób naturalny jasna, czysta i błyszcząca, byłaby uważana za piękną nawet na dalekiej północy. Linie jej twarzy, z lekko zakrzywionym nosem, układały się w formę rzadko spotykanej symetrii, a jej pełne, obfite usta skrywały zęby, które mogłyby przyćmić same perły. Ale główny urok tej ślicznej fizjonomii zawierał się w wyrazie delikatności, czystości i intelektualnej wrażliwości, jaka rzadko, musimy powiedzieć, towarzyszy tak pięknej powierzchowności, zupełnie obcy dla tej zmysłowej i sennej ociężałości mauretańskich dziewcząt; Leila odebrała dobrą edukację, którą uzupełniało głębokie uduchowienie i wrażliwość.

Po kilku pełnych niepokoju i niepewności minutach, podeszła do okna, delikatnie uchyliła je i wyjrzała. W oddali, pomiędzy drzewami, na krótką chwilę dostrzegła wyprostowaną, majestatyczną postać jej kochanka, cień na murawie oświetlonej światłem księżyca, gdy właśnie zaniechał swoich bezowocnych poszukiwań i obrócił tęskny wzrok w kierunku okna swojej ukochanej: gęste i splecione listowie szybko ukryły go przed jej wzrokiem; ale Leila zobaczyła to co chciała – odeszła od okna i wyszeptała: – Boże moich ojców! Dziękuję Ci – jest bezpieczny! – łzy wdzięczności popłynęły po jej policzkach, a ona sama przyklęknęła na stosie poduszek.

– A teraz (dodała, gdy bolesna myśl przeszła przez jej umysł), jak mam się za niego modlić? Klękamy przed różnymi Bogami; ja byłam uczona nienawidzić i szydzić z jego wiary! Niestety! Do-

kąd to może doprowadzić? Fatalna była ta godzina, gdy po raz pierwszy ujrzał mnie tam, w ogrodach; jeszcze bardziej fatalna ta, w której przekroczył mury i powiedział, że jestem kochana przez bohatera, którego ramię będzie dla mnie schronieniem, którego imię jest wielbione w Granadzie. O, ja nieszczęśliwa! O, nieszczęśliwa!

Młoda dziewczyna przykryła twarz rękami i pogrążyła się w niespokojnej zadumie, przerywanej jedynie cichym szlochem. Minął jakiś czas, gdy oddawała się swemu nieutulonemu żalowi, gdy arraszasłaniający wejście bezszelestnie rozchylił się i do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku, w bogatym stroju i dostojnej postawie. Widząc jej przygnębiony nastrój, zatrzymał się i spojrzał na nią ze współczuciem i czułością, które zdawały się rywalizować ze zwykłą mu stanowczością.

– Leila! – powiedział przybyły.

Leila wzdrygnęła się a głęboki rumieniec oblał jej twarz; otarła łzy z oczu i ruszyła w stronę mężczyzny daremnie siląc się na uśmiech.

– Witaj ojcze!

Mężczyzna usiadł na poduszkach i skinął głową aby usiadła obok niego. Leila wiedziała tylko, że jej ojciec jest wpływową figurą na dworze i bogatym człowiekiem, nie znała jedak jego tajemnic i nie wiedziała nic o sławie czarownika Almamena.

– Te łzy na twoich policzkach są świeże, – powiedział z troską w głosie; – ale są dowodem twojego pochodzenia! Nasze córki zrodzone są po to, aby płakać, a nasi synowie, aby cierpieć! Popioły pokrywają głowę naszej potęgi, a Fontanny Piękna tryskają goryczą! O, żebyśmy mogli walczyć – żebyśmy mogli się ośmielić – żebyśmy mogli podnieść nasze głowy i zjednoczyć się przeciwko kajdanom złoczyńców! Ale to się nie zdarzy – tylko w pojedynkę możemy się mścić za cały naród!

Ciemna twarz mężczyzny, wyrażająca silne emocje, stała się straszna w swoim gniewie i pasji; jego brwi i wargi poruszały się

nerwowo; ale atak gniewu był krótki; i ledwo zdążył wzmóc się w swojej intensywności, przycichł.

– Ale wystarczy tych myśli, których ty, kobieta, tak młoda jeszcze, nie powinnaś być świadkiem. Leila, wykarmiona zostałaś na czułości, a twoje wychowanie było staranne. Może wydam ci się przykry i niekochający, ale wiedz, że zawsze robiłem, co w mojej mocy, aby uchronić twoje młode lata od wszelkiego cierpienia. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Bo może pewnego dnia staniesz się chlubą swojego narodu, a twoje życie nie upłynie w bezczynności i nużącej monotonii. Posiadasz wiedzę rzadko spotykaną u twojej płci. Nie dla ciebie te lubieżne gimnastyki muzułmańskich dziewcząt; nie dla ciebie ich rozpustne śpiewy; ich tańce służące wyłącznie zmysłowej przyjemności; twoje delikatne ramiona znają gesty, które zostały poświęcone dla czczenia Boga, a muzyka twojego głosu została zestrojona z pieśniami twojego zniszczonego kraju, smutek płynący z pamięci jego grzechów, ożywiony imionami jego bohaterów z powagą jego modlitw. Te księgi i nauki naszej wiary, wpoiły ci tyle wiedzy i naszej historii, aby mogła ona wystarczyć twoim aspiracjom i aby twoje serce mogło bić dla świętej sprawy. Czy słuchasz mnie, Leilo?

Zmieszana i zdziwiona, bo nigdy wcześniej ojciec nie przemawiał do niej z takim napięciem, dziewczyna przytaknęła z gorliwością, która zdawała się zadowalać pytającego; a on dokończył zmienionym, głębokim i poważnym głosem:

– Zatem przeklnij prześladowców. Córko wielkiego narodu hebrajskiego, powstań i przeklnij mauretańskich gnębicieli i grabieżców!

Mówiąc to, powstał, jak do składania przysięgi, uniósł prawą rękę wysoko; podczas gdy lewą dotykał ramienia dziewczyny. Ale ona, patrząc przez chwilę z niespokojnym i przerażonym zdziwieniem na jego twarz, chwyciła jego kolana i przyciskając je błagalnie, wykrzyknęła ledwo zrozumiałym głosem:

– Och, oszczędź mnie! Oszczędź mnie!

Almamen spojrzał na córkę, drżącą u jego stóp, wzrokiem pełnym gniewu i pogardy; jego dłoń sięgnęła po sztylet, wyciągnął go z pochwy do połowy, ale wcisnął z powrotem z przekleństwem na ustach, a potem, wyszarpnął go jeszcze raz i cisnął w podłogę tuż przed nią.

– Zepsuta dziewczyno! – wykrzyknął, nie starając się nawet ukryć wzburzenia, – jeśli pozwoliłaś, aby do twojej głowy przeniknęła najdrobniejsza myśl na obronę mauretańskich niewiernych, kop głęboko i wyrwij ją z korzeniami! Nawet tym nożem, i do samej śmierci! – tylko w ten sposób uchronisz swoją rękę przed upadlającym czynem!

Uwolnił się energicznie z jej uścisku i pozostawił nieszczęsną dziewczynę samą i odchodzącą od zmysłów.

Rozdział 5

Ambicja zepsuta przez prawo

Schodząc szeroką kondygnacją schodów prowadzących z pokoju Leili, Almamen napotkał starego człowieka, odzianego w luźną szatę z jedwabiu podszytego cienkim futrem. Na jego zmęczonej i naznaczonej zmarszczkami twarzy życie zdawało się toczyć zażartą walkę z nadchodzącą śmiercią – tak wychudłe, wyczerpane i trupio–blade było jego oblicze.

– Ximen, – powiedział Almamen, – zaufany i wierny sługo, pójdź ze mną do piwnicy.

Nie czekał na odpowiedź, ruszył dalej w swoją drogę długimi i niespokojnymi krokami poprzez różnorodne ścieżki i alejki, aż dotarł wreszcie do wąskiego i ciemnego krużganka, który zdawał się być wykuty w litej skale. U jego wejścia umocowane były solidne kraty, które ustąpiły pod jego naciskiem, choć nawet zjednoczone siły setki ludzi nie zdołałyby ruszyć ich w zawiasach. Właściciel znał sposób, w jaki ukryty zamek mógł być zwolniony. Wziąwszy mosiężną lampę, która paliła się w niszy wewnątrz groty, odczekał niecierpliwie, aż słaby, stary sługa pojawi się przy wejściu, a potem, zamknąwszy za nimi kratę, przeszedł wijącym się korytarzem znaczną odległość, aż zatrzymał nagle przed częścią skały, która na pozór niczym nie różniła się od reszty; jednak w skale znajdowały się bardzo zręcznie ukryte drzwi, które Almamen otworzył. Drzwi, choć grube i ciężkie, ustąpiły równie łatwo jak pierwsze pod silnym ramieniem

człowieka, który znał wszystkie tajemnice swojego domostwa. Gdy skała rozwarła się, ukazała się ich oczom okrągła piwnica, oświetlona mosiężnymi lampami, obita draperiami i z grubymi futrzanymi poduszkami. Na nieoszlifowanych, naturalnych kolumnach ze skały, zawieszona była dawna broń, pordzewiała już od upływu czasu; w przestronnych niszach przechowywane były zwoje rękopisów, zabezpieczone żelaznymi klamrami; a ogromna ilość dziwnych i niezgrabnych przyrządów i urządzeń (w których współczesna nauka mogłaby, być może, dopatrzyć się wyposażenia dawnego warsztatu alchemika) stwarzała w tej zimnej piwnicy złowieszczą atmosferę czarnej magii.

Almamen rzucił się na stos futer; a gdy stary sługa wszedł i zamknął za sobą drzwi, powiedział:

– Ximen, nalej wina, to kojący doradca, właśnie takiego potrzebuję.

Wydobywszy z jednego z zakamarków groty butelkę i wielki kielich, Ximen nalał swemu panu obfitą ilość mieniącego się, leciwego trunku, które natychmiast dodało Almamenowi energii i poprawiło jego nastrój.

– Stary sługo, – powiedział z głębokim westchnieniem, opróżniwszy kielich, – napij się także, pij, aż twoje ciało poczuje się młodo.

Ximen posłuchał polecenia, ale niezupełnie; wino zaledwie musnęło jego usta, i kielich został odstawiony na swoje miejsce.

– Ximen, – ciągnął Almamen, – jak wielu naszych rodaków zostało wymordowanych przez zachłanność mauretańskich królów odkąd zamieszkałeś w tym mieście?

– Trzy tysiące, zostali policzeni ostatniej zimy z rozkazu wezyra Jusufa; ich dobra i mienie zostało rozgrabione na oczach tłumów.

– Trzy tysiące, nie więcej?! Tylko trzy tysiące! Liczba może być potrojona, bo interesy idą dobrze!

– Mój brat, mój syn i mój wnuk znaleźli się wśród nich, – powiedział stary sługa, a jego twarz przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz.

– Liczba ich pomników stokrotnie przerośnie liczbę pomników ich tyranów. Nie będą, przynajmniej pod tym względem, nazywać Żydów skąpcami.

– Ale wybacz, że pytam, szlachetny wodzu prześladowanego ludu; czy myślisz, że bylibyśmy mniej rabowani i lepiej traktowani przez tych nieugiętych Nazareńczyków, aniżeli przez arabskich innowierców?

– Masz rację, obie nacje są przeklęte, – odpowiedział Almamen, – ale ci pierwsi obiecują bardziej wspaniałe rzeczy niż drudzy. Widziałem Ferdynanda i jego dumną małżonkę; obiecują dla nas prawa i przywileje, jakich nigdy wcześniej w Hiszpanii nie mieliśmy.

– I nie będą wtrącać się do naszego życia? Naszych interesów? Nie będą uszczuplać naszych dochodów, ani rabować naszego złota?

– Zamilcz! – wykrzyknął rozgorączkowany Almamen, zrywając się na równe nogi. – Niech całe złoto tego świata zaginie w wiecznej studni! To jest właśnie to nędzne, nieszczęsne i obrzydliwe zło wywołujące skąpstwo, które wydziera całemu naszemu narodowi serce, duszę! Nie! – całą istotę człowieczeństwa! Wiele razy, gdy patrzyłem na wielkopańskie twarze potomków Salomona i Jozuego (twarze, na których odciśnięte jest piętno szlachetności wschodniego świata, przyrodzone tym, którzy urodzili się by władać i przewodzić) zacietrzewione i zmarszczone z powodu jakichś żałosnych trosk, gdy przyglądałem się ciału silnego człowieka zgiętego w pół, jak pełzający gad, przed jakimś targującym się handlarzem jedwabiem i maściami, i wsłuchiwałem się w głos, który powinien wznosić okrzyk bojowy, a który przybierał formę łaszenia się z powodu jakichś nikczemnych obaw, albo jeszcze bardziej nikczemnych nadziei, pytałem sam siebie,

czy rzeczywiście płynie we mnie krew Izraela? I dziękowałem potężnemu Jahwe, że oszczędził mi przynajmniej przekleństwa, które zepchnęło moich braci do roli lichwiarzy i niewolników!

Ximen roztropnie powstrzymał się od reakcji na ten wybuch. Nigdy nie podzielał ani do końca nie rozumiał pasji swojego pana; ale, po krótkiej chwili milczenia, spróbował zmienić temat rozmowy.

– Postanowiłeś zatem dążyć do zemsty na Maurach, akceptując ryzyko złamania obietnic przez Nazareńczyków?

– Ach, para z ludzkiej krwi dosięgła nieba i zgromadziła się w pełne gromów chmury, które teraz wiszą nad tym przeklętym i zbezczeszczonym miastem! A teraz, Ximenie, mam następny powód żeby nienawidzić Muzułmanów: kwiat, który hodowałem i którego doglądałem, moja Leila. Niegodziwiec nastaje by wyrwać go z mego serca. Leila – źle jej strzegłeś, Ximenie! Gdyby nie te wszystkie lata krzywd i nieszczęść, podczas których pozostawałeś mi wierny, wschodzące słońce ujrzałoby twoje zwłoki kołyszące się na wodach Darro.

– Mój panie, – odpowiedział Ximen, – jeśli ty, najmądrzejszy z naszego narodu, nie umiałeś uchronić dziewczyny przed miłością, jak możesz doszukiwać się przestępstwa w niedowidzących oczach i zdrętwiałych zmysłach nieszczęsnego starego człowieka?

Almamen nie odpowiedział, zdawał się nie słyszeć tego tłumaczenia. Wyglądał raczej na pochłoniętego we własnych myślach; wyszeptał, mówiąc sam do siebie:

– Musi tak być: poświęcenie jest ciężkie, niebezpieczeństwo wielkie; ale tu, przynajmniej, wszystko jest jasne. To musi być wykonane. Ximenie, – ciągnął dalej, mówiąc głośno, – czy jesteś pewny, że nawet moi rodacy, mój własny szczep, nie zna mnie tak dobrze, jak ty? Jeśli moje wzgardzone urodzenie i religia wyjdą na jaw, moje członki zostaną wyrwane jak najgorszemu zbrodniarzowi; nie uchroni mnie cała sztuka kabały.

– Nie musisz się tego obawiać, zacny panie; nikt w Granadzie, oprócz twojego wiernego Ximena, nie zna twojej tajemnicy.

– Więc pozwól mi marzyć i mieć nadzieję. A teraz zabierzmy się do dzieła; czeka nas bowiem pracowita noc.

Almamen ustawił przed sobą niektóre z dziwnych przyrządów, które wcześniej zostały wspomniane; i wydobył z zakamarków jaskini kilka zwojów. Stary sługa stał obok, gotowy wypełnić każde jego polecenie, choć na pozór sztywny i nieruchomy jak umarły, którego przypominał swoją bladą cerą i skurczoną postacią.

W przedstawionej rozmowie ujawniono dość, aby przekonać czytelnika, że Almamen, który z taką pewnością siebie i poufałością przemawiał wcześniej do władcy z Alhambry, nie był zwykłym przedstawicielem swojej rasy. Wywodzący się z tajemniczego szczepu hebrajskiego, którego przeszłość spowija ciemna zasłona, szczepu, który w swoich dniach świetności posiadł ogromne bogactwa, wpędzając w biedę gotyckich książąt, ten niezwykły człowiek swoją młodość spędził nie na handlu i spekulacjach, ale na podróżach i studiach.

Jego dom rodzinny był tu, w Granadzie. Tu widział swojego ojca zamordowanego przez ówczesnego króla, Muleja Abul Hassana, niewinnie, bo przyczyną była wyłącznie żądza odebrania mu majątku, z którego był znany; jego ciało zostało poćwiartowane w poszukiwaniu klejnotów, które, jak przypuszczano, mógł połknąć. Widział to jako chłopiec i poprzysiągł zemstę. Daleki krewny przygarnął sierotę i wychował w kraju, gdzie nie był tak narażony na prześladowania; a zapobiegliwość jego ojca, który potrafił zręcznie ukryć znaczną część swojego majątku, lokując bogactwa w różnych miastach, uratowała dla Almamena skarby, których tyran Granady nie był w stanie zrabować.

Przewędrował większość znanego w owych latach świata; i pozostawał wiele lat na dworze sułtana Egiptu, kraju, który wciąż posiadał sławę swoich mrocznych nauk i tajemnej wiedzy. Nie na próżno poświęcał się tam swoim studiom i niezwykłym badaniom; I poznał wiele z tych sekretów, które dziś zapewne zostały

zapomniane na zawsze. Nie mamy zamiaru dawać przez to do zrozumienia, że zajmował się rzeczami, które legendy i przesądy nazywają sztuką magiczną. Nie potrafił narzucać swojej woli siłom natury, ani przebijać pancerza wojowników jednym słowem, ani też przemieszczać się z miejsca na miejsce poprzez wypowiadanie specjalnego zaklęcia. Fantazja nie miesza się w naszej opowieści z rzeczywistością.

Ludzie przez całe wieki oddawali się badaniom rzeczy, mogących zadziwić i przerazić laika nawet dzisiaj, zdołali zgromadzić wiedzę, pilnie strzeżoną, strzeżoną tak pilnie, że duża jej część zaginęła w pomroce dziejów, wiedzę, której na próżno poszukują naukowo zorientowane umysły czasów współczesnych. Wiele z tych ówczesnych umiejętności, nabytych w sposób mechaniczny (ich odkrycie często było dziełem przypadkowego wypadku w czasie prowadzenia różnorodnych eksperymentów), pozostawały tajemnicą nawet dla tych, którzy je opanowali, i chociaż nie potrafili wyjaśnić takiego, czy innego zjawiska, byli w stanie je wywołać, ale nie znając mechanizmu kryjącego się za danym zjawiskiem, stawali się czasami ofiarami własnych podstępów. Najczęstszym ich błędem była ich własna naiwność, wierzyli, że posiedli moc wpływania na siły natury, choć tak naprawdę pozostawali oni tylko jej zdziwaczałymi uczniami.

U takich mistrzów nabierał wiedzy i umiejętności Almamen z ciemnej groty. Był on również, w pewnej mierze, ofiarą swoich doświadczeń, częściowo z powodu swojej zadziwiającej wiedzy, częściowo z siły wyobraźni wyjątkowo żywej i skłonnej do euforii. Jego własna ogromna próżność odurzała go do granic szaleństwa: tak jak, co jest faktem historycznym, niektórzy władcy starożytnego świata, zaślepieni własną potęgą, mieli chwile, w których wierzyli, że są kimś więcej niż ludźmi, ale również kapłani, posiadając niedostępną dla zwykłych śmiertelników wiedzę, czasami wynoszeni byli nawet ponad władców, oni mogli uważać swoje szaleństwa za nadludzką moc, a nierzaddko sami

dawali się ponieść własnej autosugestii, wyobrażając sobie, że faktycznie posiadają tę nadprzyrodzoną siłę, w którą kazali wierzyć ogłupiałym i ciemnym tłumom.

Ale choć wypadek, który zdarzył się podczas jego narodzin, pozbawił go szansy na zdobycie rycerskiej chwały, nie pozbawił go zupełnie energii i ambicji. Skierował tylko silny i zdyscyplinowany do nauki umysł Almamena na pola religijnej kontemplacji i poszukiwania wiedzy, a natura rzadko obdarza śmiertelnika tak zawziętym uporem i przenikliwością, która kierowała go na drodze jego nierealnych poszukiwań. Oddał się swoim studiom bez opamiętania. Pochłaniając nauki zawarte w starożytnych zwojach, rozwijał w sobie tęsknotę za działaniem i chwałą; pozbawiony – przez to uniwersalne wykluczenie, z którym spotykała się w każdym kraju i ze strony każdej religii, wiara, do której należał – wszystkich racjonalnych i legalnych dróg samorealizacji, poświęcił się tajemnym naukom, budując własny świat, który coraz bardziej, wbrew jego własnej woli, oddalał się od głównego nurtu, którym żyli również jego rodacy. Stworzył gigantyczne, ale pozbawione realnych podstaw plany, które, gdy jeden za drugim, wszyscy odsuwali się od niego, pozostawiały uczucia mrocznej mizantropii i silnej potrzeby odwetu.

Możliwe, że gdyby jego religia mogła być wyznawana w spokoju i szacunku, pozostałby sceptykiem, ale prześladowania i tragedie uczyniły zeń fanatyka. Co więcej, zgodnie z tą szacowną cechą starej hebrajskiej nacji, która każe im widzieć w Mesjaszu jedynie wojownika i księcia, i która nauczyła ich łączenia wszelkich nadziei i planów z wielkimi zwycięstwami i władzą, Almamen pragnął szerzyć swoją religię, a nie podporządkowywać się jej. Niewiele dbał o jej reguły, niewiele myślał o jej dogmatach; ale mimo to, dzień i noc snuł swoje plany wzmocnienia jej na świecie aż do jej ostatecznego triumfu.

W owym czasie, Muzułmanie w Hiszpanii byli dużo bardziej zaciekłymi prześladowcami Żydów, aniżeli Chrześcijanie.

W miastach wzdłuż wybrzeży Hiszpanii, ten naród kupców, tworzył handlowe związki z Chrześcijanami, aby łatwiej w ten sposób zdobyć dla siebie nie tylko tolerancję, ale również coś w rodzaju osobistych przyjaźni, gdziekolwiek ludzie zajmowali się handlem. Irracjonalna skłonność do ciemnego fanatyzmu (później nazwanego antysemityzmem) wśród części Chrześcijan, fanatyzmu, który miał w późniejszych latach splamić sławę wielkiego Ferdynanda i zapoczątkować horror Inkwizycji na zachodzie Europy, był podówczas ledwo zauważalny. Za to Muzułmanie traktowali tych nieszczęsnych ludzi z całkowitym i nieugiętym barbarzyństwem. W Granadzie pod rządami zapalczywego ojca Boabdila, tego "króla z tygrysim sercem", Żydzi byli dosłownie zdegradowani poniżej definicji człowieka; nawet pod rządami łagodnego i rozważnego Boabdila, grabieni byli bez litości, a jeśli podejrzewano ich o ukrywanie majątków, mordowani bez skrupułów; zachłanność kraju nieustannie podtrzymywała bezlitosne oskarżenia – bogactwo było ich niewybaczalną zbrodnią.

W apogeum tych barbarzyństw, Almamen, pierwszy raz od dnia, gdy konający jęk jego ojca przeszył jego uszy, powrócił nagle do Granady. Znalazł tam niczym nie łagodzone nieszczęścia swoich rodaków, i przypomniał sobie i powtórzył swoją przysięgę. Zmienił imię, jego krewni nie żyli, nikt nie rozpoznał w dorosłym Almamenie młodego, pozbawionego jeszcze brody, Żyda Isachara. Teraz miał bujną siwą brodę, która pomagała mu ukryć, dające się rozpoznać z rysów twarzy, pochodzenie, i dodawała szacunku. Potrzebował bowiem ukryć swoją wiarę; we wszystkich afrykańskich królestwach, na południe od Hiszpanii, znany był, jako wpływowy wschodni kapłan, często podejrzewany o czarnoksięstwo.

Rozgłos ten szybko wyniósł go w Granadzie do rangi doradcy dworu. Stał się zaufanym doradcą Muleya Hassana z Boabdilem i królową matką, chociaż cały czas żył żądzą zemsty na zniena-

widzonej monarchii; żył myślą zemsty za śmierć swojego ojca na królewskich oprawcach. Udało mu się ukryć te intencje, zdobył zaufanie Boabdila del Chico; ale wyzbyty jakichkolwiek skrupułów względem przeciwników jego wiary, widział w tym zaufaniu króla jedynie ślepotę ofiary.

W swoich poczynaniach Almamen był zdradzieckim wężem i nie dbał o to przez jakie bagna zdrady i oszustwa będzie kroczyć zmierzając do swojego celu. Aby tylko móc ostatecznie dopaść swój żer. Natura obdarzyła go przenikliwością i siłą. Bieg zdarzeń wymuszał na nim poniżenia, ale przyzwyczajony do pyłu, pełzał jak gad i jak gad miał swoją truciznę i jadowite kły.

Rozdział 6

Lew w sieci

Następnej nocy, tuż przed świtem, król Granady nieoczekiwanie wezwał do siebie swojego wezyra, Jusufa. Starszy dostojnik zastał Boabdila wielce poruszonego i rozstrojonego nerwowo, ale dopiero gdy usłyszał rozkaz, zaczął podejrzewać, że jego król postradał zmysły. Boabdil nakazał zaaresztować Muzę Ben Ali Gazana i wtrącić go do najciemniejszego lochu w Wieży Vermiliona. Wiedząc jak wykorzystać naturalną łagodność Boabdila, wezyr usiłował zaprotestować, sugerując, jak niebezpieczne jest atakowanie tak kochanego przez rycerzy wodza, i pytając pod jakim zarzutem ma on być zaaresztowany.

Żyły na skroniach Boabdila nabrzmiały jak sznury, gdy słuchał wezyra; a jego odpowiedź była krótka i ostateczna.

– Czyż nie jestem królem, że mam obawiać się podwładnego albo tłumaczyć się ze swoich zamiarów? Otrzymałeś rozkazy; tu moja pieczęć i podpis: posłuchasz, albo pójdziesz pod miecz!

Nigdy wcześniej Boabdil nie przypominał bardziej swojego strasznego ojca w mowie i zachowaniu; wezyra przeszyła zgroza od stóp do głowy i wycofał się w milczeniu. Boabdil patrzył jak jego podwładny odchodzi, a potem klaszcząc w ręce podekscytowany, zawołał:

– Och, usta zmarłego! Ostrzegałeś mnie; i tobie poświęcam przyjaciela mojej młodości.

Opuściwszy pokoje Boabdila, wezyr, biorąc ze sobą kilku z tych zagranicznych niewolników pałacowych, o których wiedział, że nie sympatyzują z nikim spoza dworu, wyruszył w drogę do zamku Muzy, poważnie zdenerwowany i zakłopotany. Nie chciał jednak ryzykować zamieszania, jakie jego działanie mogło wywołać w sąsiedztwie, gdyby próbował o tej porze, wtargnąć siłą do zamku. Postanowił zatem poczekać ze swoim oddziałem w bezpiecznej odległości aż, wraz z budzącym się dniem, bramy zostaną otwarte, a mieszkańcy pałacu zajmą się swoimi pracami.

Zgodnie z planem, zaklinając swoje gwiazdy i rozmyślając o swoim zleceniu, Jusuf, wraz z zebraną cichą i złowróżbną świtą, ukrył się w małym zagajniku przylegającym do zabudowań pałacowych. Czekał aż dzień wstanie na dobre nad rozbudzonym miastem. Wtedy wkroczył do pałacu; został wprowadzony na dziedziniec, gdzie spotkał słynnego Muzułmanina, który omawiał z oficerami taktykę wypadu poza mury, zaplanowanego na ten dzień.

Jusuf podszedł do księcia z taką niechęcią i obawą, że czujni i spostrzegawczy Zegris natychmiast zaczęli podejrzewać nieprzyjazne powody jego wizyty; a gdy Muza, zaskoczony, przychylał się do prośby wezyra o prywatną audiencję, mauretańscy rycerze niechętnie zostawili swojego uwielbianego wodza z posłańcem królewskim, marszcząc brwi i łyskając oczami.

– Na grób proroka! – powiedział jeden z Zegris, gdy tylko opuścili dziedziniec, – lękliwy Boabdil podejrzewa naszego Ben Abil Gazana. Słyszałem o tym wcześniej.

– Cicho! – odezwał się inny, – wkrótce dowiemy się w czym rzecz. Jeśli król dotknie choćby włosa na głowie Muzy, niech Allach lituje się nad jego grzechami!

Tymczasem wezyr, w milczeniu, pokazał Muzie pieczęć i rozkaz króla; a potem, nie zdradzając miejsca, do którego miał odprowadzić księcia, wezwał go aby udał się razem z nim niezwłocznie. Twarz Muzy zmieniła kolor, ale bynajmniej nie z lęku.

– Niestety! – powiedział z głęboką troską w głosie, – czy to możliwe, że popadłem w niełaskę albo podejrzenie u mojego królewskiego krewnego? Ale nieważne; będąc dumny, że mogę dawać przykład męstwa w obronie Granady, moim zaszczytem jest też dawać przykład posłuszeństwa władcy. Dalej – pójdę z tobą. Ale poczekaj, nie potrzebujesz strażników; wyjdźmy prywatnym wyjściem: Zegris mogą protestować, widząc, jak opuszczam pałac z wezyrem w czasie, gdy wojsko przygotowuje się w Vivarrambla i oczekuje mojej obecności. Tędy.

To mówiąc, Muza, bez oporu stosując się do woli władcy, impuls, który orientalna wierność władzy królewskiej dyktowała podwładnemu, przeszedł z dziedzińca w kierunku niewielkich drzwi, prowadzących na ogród. W pełnej zamyślenia ciszy, ruszył wraz z wezyrem w stronę Alhambry. Gdy mijali niewielki zagajnik, Muza dwie noce wcześniej, spotkał Almamena, Maur, unosząc nagle swoją głowę, dostrzegł wpatrujące się w niego czarne oczy Almamena, który wyłonił się spośród drzew. Muza dostrzegł w tych oczach złośliwą i wrogą radość; ale Almamen, dostojnie oddając mu honor, minął ich i zniknął między drzewami: książę nie raczył spojrzeć za siebie, a może obawiał się ponownie ujrzeć miażdżące, tryumfujące spojrzenie.

– Dumny poganinie! – mruczał pod nosem Almamen, – twój ojciec napełnił swój skarbiec złotem wielu torturowanych Żydów; nawet ty, zbyt wyniosły, by być skąpcem, jesteś wystarczająco zakłamany, żeby udawać niewinnego. Twoje imię jest przeklęte w Izraelu; a jednak masz czelność pożądać córki naszej prześladowanej rasy i namiętność ta pokona cię, to moja zemsta. Pogrąż się, ze swoim sztywnym krokiem i wyniosłą głową, w kajdanach, być może na zawsze.

Gdy Almamen w ten sposób dawał upust swoim gorzkim uczuciom, ostatni błysk białej szaty Muzy zniknął z jego oczu. Patrzył jeszcze przez chwilę, nagle obrócił się i powiedział półgłosem:

– Zemsta, nie tylko na jednym człowieku, ale na całej rasie! Teraz do Nazareńczyków.

KSIĘGA DRUGA

Rozdział 7

Namiot króla Hiszpanii. Król i Dominikanin. Gość i zakładnik

Nasza opowieść wzywa nas teraz do chrześcijańskiej armii i do namiotu, w którym król Hiszpanii odbywał nocną naradę z kilkoma ze swoich najbardziej zaufanych dowódców i doradców. Ferdynand wyruszył na tę wojnę z całą pompą i ceremonią właściwą bardziej dla rycerskich turniejów aniżeli kampanii wojskowej; jego ogromny, ozdobny namiot świecił purpurą i złotem.

Król siedział u szczytu stołu, na którym rozrzucone były mapy i różnorodne dokumenty; zarówno z rysów twarzy, jak i z postawy, ten wielki i rozsądny władca wydawał się być wart wspaniałego rycerstwa, które go otaczało. Jego czarne włosy, obficie namaszczone i wyperfumowane, spadały w długich lokach po obydwu stronach wysokiego, dostojnego czoła, spokojnego choć nie pozbawionego zmarszczek, które znawcy fizjonomii na próżno mogliby badać aby przejrzeć tajemnice królewskiego mózgu. Jego rysy twarzy były regularne i majestatyczne; jego płaszcz, spięty pojedynczym klejnotem wielkiej wartości i wyjątkowego piękna, przyozdobiony był wiszącym na piersi srebrnym krzyżem, który kołysał się nad energiczną, męską figurą. Swoje opanowanie i spokój wynosił on z dostojnego i naturalnego przywództwa i wywierał na obecnych wrażenie, któremu nie dorównywało wrażenie, jakie mogli wywierać słynni rycerze i bohaterowie cechujący się nawet większym wzrostem i proporcjami

ciała. Po jego prawej stronie zasiadał książę Juan, syn Króla, w wieku wczesnej młodości; a po lewej, słynny Rodrigo Ponce de Leon - Margrabia Cadiz; w dalszej kolejności, odpowiednio do swojej wojskowej rangi, obecni byli wspaniały Książę Medina Sidonia, równie szlachetny w wyglądzie jak imieniu; Margrabia Villena (Bayard Hiszpanii) z obliczem pooranym zmarszczkami i zamyślonym; bohaterski Alonso de Aguilar z melancholijnym spojrzeniem; i zapalczywy Hernando del Pulgar, o wielkiej posturze, ożywionych rysach twarzy i przenikliwych oczach, zwany "rycerzem czynu".

– Widzicie panowie, – przemawiał król, kontynuując swoją mowę, której jego dowódcy zdawali się słuchać z uwagą pełną czci, – nasza największa nadzieja szybkiego zdobycia miasta spoczywa raczej w waśniach Maurów aniżeli w naszych własnych, wiernych ramionach. Mury są mocne, liczba mieszkańców wciąż ogromna; a pod dowództwem Muzy Ben Abil Gazana, działania wrogiej armii są, trzeba to przyznać, bardzo skuteczne, tak, że można spodziewać się, że nasze oblężenie może znacznie przeciągnąć się w czasie. Unikając ryzyka walnej bitwy, rycerstwo niewiernych nęka nasz obóz nieustannymi najazdami; a w górskich wąwozach, nasze oddziały nie mogą uporać się z ich lekką jazdą i zdradzieckimi zasadzkami. Prawdą jest, że wykorzystując czas, niszcząc zupełnie Vegę i czujnie blokując konwoje z nadmorskich miast, możemy doprowadzić do głodu w mieście. Ale, niestety! Moi panowie, nasi wrogowie są rozproszeni i liczni, a Granada nie jest jedynym miejscem, gdzie musi być rozwinięty hiszpański sztandar. W takim położeniu nawet lew nie pogardziłby usługami lisa; szczęśliwie dla nas, mamy w Granadzie człowieka, który jest całkowicie oddany naszej sprawie. Mam na bieżąco wieści o wszystkim, co dzieje się w Alhambrze: król wciąż pozostaje w swoim pałacu, nierozważny i rozmarzony; wierzę, że intryga, dzięki której jego zazdrość wobec największego wodza, Muzy, spotęguje się, doprowadzi albo do utraty tego zdolnego

przywódcy, albo poruszenia do otwartej rebelii, a może nawet wojny domowej. Zdrada w murach Granady otworzy przed nami jej bramy.

– Panie, – po chwili ciszy zabrał głos Ponce de Leon, – pod twoimi rozkazami, nie wątpię, że niedługo zobaczymy naszą flagę powiewającą nad Wieżami Vermiliona, tak jak nie wątpię w to, że za tymi wzgórzami jutro wzejdzie słońce; pytanie tylko, czy zwyciężymy na drodze knowań, czy walki. Nie muszę chyba przekonywać waszej wysokości, że musimy być bardzo ostrożni wchodząc w jakiekolwiek układy z niewiernymi, aby nie zostać okpionymi przewrotnością wroga, pokładając zbyt wielkie zaufanie w słowach, które mogą okazać się kłamstwami, które mają tylko na celu uśpienie naszej czujności i sparaliżowanie naszych działań.

– Odważne słowa, mądry de Leonie! – wykrzyknął zapalczywie Hernando del Pulgar: – i przeciwko tym niewiernym, wspomaganym przez pomiot Szatana, nasza największa mądrość, jak mniemam, leży w ramieniu uzbrojonym w miecz. Tak mówi nasze stare kastylijskie zawołanie:

Przeklnij ich szczerze,
I pierz ile wlezie!

Król uśmiechnął się łagodnie, widząc zapał swoich dowódców, ale spojrzał na innych, oczekując na kolejne propozycje.

– Najjaśniejszy panie, – powiedział Villena, – nie naszą rzeczą jest znać podstawy, na których wasza wysokość buduje nadzieje na waśnie między wrogami; ale kto nie chce być wystawiony do wiatru, musi oprócz zaufania zachować też zdrowy rozsądek, jest oczywiste, że nie możemy czekać biernie na efekty intryg, musimy jednocześnie walczyć i starać się zdobywać mieczem tyle ile możemy, ażeby nie dać się zaskoczyć naszym wrogom.

– Rozsądne słowa, przyjacielu, – odparł Ferdynand, który najwyraźniej podjął już decyzję. – Jutro staniesz na czele oddziału, który wyruszy aby nękać Vega – tamtejsi Muzułmanie

wspierają Granadę przemycając żywność. Oczekuję cię za dwie godziny. Naradę uważam za zakończoną.

Rycerze powstali i oddając władcy zwyczajowe honory i wyrazy szacunku, opuścili namiot. Ferdynand zawsze przestrzegał i wymagał od swoich podwładnych przestrzegania wszelkich zasad dworskiej etykiety.

Pozostał jedynie młody książę.

– Synu, – powiedział Ferdynand, gdy zostali sami, – wcześnie i na czas winien być Infant Hiszpanii zapoznany z rzemiosłem wojennym. Ci szlachcice to najjaśniejsze klejnoty korony; ale jednak są częścią korony i dla korony ich światło winno błyszczeć. Widziałeś jak gorący, zapalczywi i walecznie nastawieni są rycerze Hiszpanii – wspaniałe zalety, jeśli ujawniają się w walce z naszymi wrogami: ale jeśli zabraknie wrogów, Juan, te zalety mogą przysporzyć nam niezmiernych kłopotów. Na świętego Jagona! Odziedziczyłem monarchię w jej świetności! Zważ, jak ta świetność może być zachowana – przez naukę, Juan, przez naukę! A nauka jest tak bardzo różna od wulgarnej siły fizycznej, jak ten miecz od żelaznego pręta. Wyglądasz na zaskoczonego i zdziwionego, mój synu: ty masz serce, którego szukam, aby podbić Granadę poprzez waśnie między Muzułmanami; gdy Granada zostanie zdobyta, pamiętaj, że możni zdobywają ją, myśląc o sobie. – Przerwał, a po chwili zwrócił uwagę na inny temat. – Ave Maria! Błogosławiona niech będzie Święta Matka, pod którą czujną opieką pozostają serca królów! – Ferdynand przeżegnał się pobożnie.

Potem, powstawszy, odsłonił jedną z zasłon namiotu i zawołał ściszonym głosem. Wymienił imię Pereza i po chwili nadszedł rycerz, tuż u progu swojego wieku średniego.

– Perez, – powiedział król siadając, – czy osoba, której oczekujemy przybyła już z Granady?

– Tak, panie; w towarzystwie dziewczyny.

– Dotrzymał zatem słowa! Wezwij go. Ha! Święty ojcze, twoje

wizyty są zawsze balsamem dla duszy.

– Bóg z tobą, mój synu! – odpowiedział duchowny w zakonnym stroju Dominikanina, który wszedł nagle i bez ceremonii przez drugie wejście do namiotu, i zasiadł z poważną miną w pobliżu króla.

Na kilka chwil zapadła cisza; Perez wciąż pozostawał w namiocie, jak gdyby rozważając, czy przybycie dominikanina nie sprawi, że rozkaz króla zostanie odwołany lub odłożony na później. Na spokojnej twarzy Ferdynanda również zagościł wyraz zmieszania i niezdecydowania, gdy mnich odezwał się w te słowa:

– Moja obecność, mój synu, nie przeszkodzi, jak mniemam, twojej rozmowie z niewiernym. Ponieważ wiem, że uznałeś za konieczne, z politycznego punktu widzenia, pertraktować z ludźmi Beliala.

– Pozostań ojcze, twoja obecność jest zawsze mile widziana, – odpowiedział król szybko. Potem wyszeptał do siebie: "jak zadziwiająco ten święty człowiek przenika w nasze działania i zamiary", a głośno dodał: – Niech posłaniec wejdzie!

Perez ukłonił się i wyszedł.

Przez cały ten czas młody książę pozostawał w milczeniu na swoim miejscu; a na jego delikatnej twarzy malował się wyraz, który nie zdradzał żadnych myśli, naiwny jeszcze w politycznych sprawach, uczestniczył w tego typu naradach dla nauki. W rzeczy samej, jego wiek i usposobienie, predestynowały go bardziej do zabawy; zgiełk panujący w obozie wojennym był dla niego tylko letnim biwakiem – przemarsz armii, fascynującym widowiskiem; dwór, jednym wielkim widowiskiem, w którym tron pełnił rolę najlepszego miejsca na widowni. Życie następcy tronu różni się od życia władającego monarchy, jak czarująca nadzieja różni się od męczącej rzeczywistości.

Małe, szare oczy zakonnika przesunęły się po każdym z jego królewskich towarzyszy z wyrazem przenikliwego zainteresowania, a potem zatrzymały się z wyrazem uniżoności na boga-

tych dywanach, które wyścielały podłogę. Nie podniósł wzroku dopóki Perez nie pojawił się powtórnie, wprowadzając do namiotu Almamena, któremu towarzyszyła kobieca postać, osłonięta wraz z twarzą długim welonem, sięgającym aż do ziemi, tak, że ukrywał on nie tylko sylwetkę ale również drżący niepokój przybyłej.

– Gdy ostatni raz, potężny królu, dopuszczony byłem przed twoje oblicze, – zaczął Almamen, – zapytałeś o szczerość i wierność twojego sługi; zapytałeś czy mojej wierności można zaufać; zażądałeś zakładnika; i odmówiłeś dalszych pertraktacji, dopóki to życzenie nie zostanie spełnione. Spójrz! Oddaję twojej królewskiej opiece tę dziewczynę – jedyną moją córkę – jako zapewnienie szczerości; powierzam ci życie droższe mi niż moje własne.

– Możesz nam zaufać, cudzoziemcze, – odpowiedział król miękkim i melodyjnym głosem, który dobrze maskował jego prawdziwe intencje i niewzruszoną wolę, – bo dziewczyna, którą oddajesz pod nasze rozkazy, będzie traktowana jak dama dworu.

– Panie, – powiedział Almamen z lekkim przejęciem, – obejmujesz władzę nad życiem i śmiercią, nad wszystkim, o co modli się moje serce i co podtrzymuje moje nadzieje. Ale jestem tu dla jeszcze większej sprawy. Ratuj moich rodaków, ratuj moją wiarę! To poświęcenie przyjmę bez skrupułów, bez obaw. Ale zważ, wasza wysokość, daję ci zakładnika, mój najdroższy skarb, a w zamian otrzymuję tylko słowną obietnicę.

– Ale jest to słowo króla, Chrześcijanina i rycerza, – odparł król z dostojnością, w której było więcej łagodności niż spodziewanego gniewu. – Pomiędzy monarchami, jaką lepszą gwarancję możesz otrzymać? Zakończmy na tym, przejdźmy do rzeczy: jak idą sprawy w zbuntowanym mieście?

– Chciałbym, aby dziewczyna opuściła namiot, zanim odpowiem mojemu panu, królowi. – Oświadczył Almamen.

Młody książę zerwał się niespodzianie na nogi.

– Czy mogę odprowadzić tę zakładniczkę do mojej matki? –

zapytał swojego ojca cichym głosem.

Król uśmiechnął się:

– Święty ojciec będzie lepszym przewodnikiem, – odparł łagodnym tonem. Ale dominikanin, choć zrozumiał polecenie, pozostał nieruchomo na swoim miejscu; Ferdynand, rzuciwszy krótkie spojrzenie na zakonnika, obrócił się z powrotem do syna. – Niech tak będzie, Juan, – powiedział spoglądając na księcia wzrokiem dającym do zrozumienia, że powierzono mu odpowiedzialne zadanie; – Perez będzie ci towarzyszył do królowej; wracaj, jak tylko wypełnisz ten obowiązek, potrzebujemy twojej obecności.

Gdy toczyła się ta rozmowa między ojcem i synem, Almamen szeptał, w swoim niezrozumiałym dla reszty języku, słowa otuchy i upomnienia do dziewczyny; ale najwidoczniej nie wywierały one spodziewanego rezultatu bo nagle, rzucając mu się na szyję, dziewczyna objęła ramionami jego pierś dyszącą z emocji, i wykrzyknęła żarliwie w tym samym języku,

– Och, ojcze! Co ja takiego zrobiłam? Dlaczego mnie tu zostawiasz? Dlaczego powierzasz własną córkę obcym rękom? Proszę, oszczędź mnie, oszczędź mnie!

– Skarbie mego serca! – odpowiedział Almamen stanowczym ale pełnym czułości głosem, – tak jak Abraham był zdecydowany poświęcić swojego syna Izaaka, ja muszę dziś poświęcić ciebie na ołtarzach naszej wiary; ale Leilo! Tak jak Anioł Pana ocalił ofiarę, tak ty będziesz oszczędzona, a twoje życie zachowane dla chwały pokoleń, które dopiero się narodzą. Królu Hiszpanii! – mówił dalej po hiszpańsku, gwałtownie i namiętnie, – jesteś ojcem, wybacz mojej słabości i przyśpiesz to rozstanie.

Juan podszedł i z pełną szacunku uprzejmością próbował ująć rękę dziewczyny.

– Ty? – zapytał Almamen z wyrazem głębokiego niepokoju. – Och, królu! Książę jest młody.

– Honor nie robi różnicy ze względu na wiek, – odpowiedział

król. – Hej, Perez! Pójdziesz razem z dziewczyną i księciem do namiotu królowej.

Widok osoby w starszym wieku i poważny wyraz twarzy nadzorcy zdawał się uspokoić Almamena. Przytulił Leilę swoimi ramionami; odcisnął pocałunek na jej czole bez odsłaniania zasłony; a potem, oddając ją niemal w ramiona Perezowi, odwrócił się w stronę pustego rogu namiotu i ukrył twarz w rękach. Król był wyraźnie poruszony; dominikanin przyglądał się całej scenie z cierpką miną.

Leila zatrzymała się na chwilę; a potem, jak gdyby odzyskując panowanie nad sobą, powiedziała głośno i wyraźnie:

– Opuszczona przez człowieka, ale nie przez Boga, który jest ponad wszystkimi.

Potrząsając ręką Hiszpana, dokończyła:

– Prowadź; pójdę za tobą! – opuściła namiot spokojnym, niemal majestatycznym krokiem.

– A teraz, – powiedział król, gdy został sam z dominikaninem i Almamenem, – jak rozwijają się nasze nadzieje?

– Boabdil, – odparł Almamen, – jest podburzony przeciwko swoim wojskom i przeciwko ich przywódcy, Muzie; pozostaje w Alhambrze pełen lęków i desperacji; a tego ranka, gdy opuszczałem miasto, Muza został uwięziony w pałacu.

– Jak to?! – wykrzyknął król zrywając się z miejsca.

– To moje dzieło, – tłumaczył opanowanym głosem Almamen. – Te ręce przynoszą klucz do Granady dla hiszpańskiego Ferdynanda.

– A jeśli to prawda, królewska będzie dla ciebie nagroda, – odparł monarcha: – ale tymczasem, niech to wystarczy jako zapewnienie naszych uczciwych zamiarów. – To mówiąc, zdjął ze swojej piersi gruby złoty łańcuch, ogniwa którego były kunsztownie wysadzane klejnotami, i podał go Almamenowi. Ale ten nie poruszył się. Silny rumieniec pojawił się na jego obliczu, zdradzając uczucia, których nie potrafił zatrzymać w sobie.

– Nie sprzedaję moich wrogów za złoto, potężny królu, – po-

wiedział ze sztywnym uśmiechem: – Oddaję ci moich wrogów, jako okup za tych, których kocham.

– Odmawia przyjęcia nagrody! Grubiaństwo! – wykrzyknął Ferdynand urażony: – Ale mów dalej, człowieku, mów dalej!

– Jeśli w ciągu dwóch tygodni oddam Granadę pod twoje władanie, jaka będzie nagroda? Gdy ostatni raz rozmawialiśmy, wspominałeś o immunitetach dla moich rodaków.

Spokojny dotąd dominikanin spojrzał na króla, przeżegnał się ale szybko przybrał ponownie swoją pokorną pozę.

– Pragnę dla mojego narodu, – kontynuował Almamen, – wolności dla handlu i ochrony w mieście i stosownie do ich życzeń, poddać jedynie tym samym prawom i tym samym podatkom, co chrześcijańscy mieszczanie.

– Te same prawa i podatki! A niech to! Nawet król może mieć pewne trudności z zawarciem takiego układu. Co, jeśli odmówię?

– Nasz układ przestanie istnieć. Zwróć mi moją córkę – nie będziesz bowiem więcej potrzebował zakładnika, którego żądałeś: Ja wrócę do miasta, i nigdy więcej nie powrócimy do tej rozmowy.

Temperament wielkiego Ferdynanda miał cechy zimnokrwistego polityka, jednak natura wyposażyła go też w cechy typowe dla pomyślnego króla o wieloletnim rodowodzie: władczość i wyniosłość. Zacisnął więc usta w wyrazie głębokiej dezaprobaty dla tonu z jakim przemawiał do niego ten obcokrajowiec.

– Używasz bezpośredniego języka, mój przyjacielu, – powiedział; – więc ja odpowiem również otwarcie. Jesteś w mojej władzy, i nie masz odwrotu, bez mojego przyzwolenia.

– Mam wasze królewskie słowo, panie! Gwarantujące mi swobodne wejście i bezpieczne wyjście, – odpowiedział Almamen niewzruszony. – Jeśli je złamiesz, Granada pozostanie w rękach Maurów, aż wody Darro spłyną krwią jej bohaterskich obrońców, a ciała hiszpańskich rycerzy pokryją dno doliny jak jesienne liście.

– Czy rzeczywiście jesteś wyznawcą religii Jahwe? – zapytał

król. – Słyszałem, że odwróciłeś się od tak ci drogiego świata?

– Moi ojcowie byli wyznawcami tej wiary, wspaniały Ferdynandzie; a jeśli ja odsunąłem się od nich, to nie odwróciłem się od Religii. Och, królu! Czy odrzucasz moje prośby?

– Akceptuję je; ale z pewnymi warunkami, po pierwsze, że uda ci się doprowadzić do wygnania albo śmierci Muzy; po drugie, że w ciągu dwóch tygodni od dziś, dostarczysz mi podpisaną przez radców miasta Granady, pisemną kapitulację i klucze do miasta. Jeśli zdołasz to uczynić, to chociaż będę jedynym chrześcijańskim królem, który odważy się na takie szaleństwo, obdarzę Żydów w całej Andaluzji prawami i przywilejami równymi z prawami chrześcijańskich Hiszpanów; a dla ciebie przeznaczę urząd, który będzie w stanie zaspokoić twoje ambicje.

Almamen ukłonił się z szacunkiem, i wyjął, ukryty na piersi, zwój, który położył na stole przed królem.

– Ten dokument, wielmożny Ferdynandzie, zawiera artykuły naszego układu.

– Jak to, łotrze?! Każesz nam położyć królewski podpis pod tymi warunkami, żeby przedostało się to o czym mówiliśmy do wiadomości poddanych? Słowo króla jest wystarczającą gwarancją!

Almamen podniósł zwój z niewzruszonym spokojem.

– Moje dziecko, – powiedział; – czy zechciałby wasza wysokość oddać mi moją córkę? Pójdziemy sobie.

– Ty bezczelny włóczęgo! Na Najświętszą Dziewicę! – wymruczał król pod nosem; a potem, mówiąc na głos, dodał: – Dawaj ten dokument, Podpiszemy go!

Przebiegłszy szybko wzrokiem treść, Ferdynand zawahał się na chwilę, a następnie przyciągnął ku sobie przybory pisarskie, złożył królewski podpis i zwrócił dokument Izraelicie.

Almamen ucałował dokument trzykrotnie, na wschodnią modłę, i go ukrył na piersi.

Ferdynand spojrzał na niego srogo ale z zainteresowaniem.

Był doświadczonym badaczem ludzkich charakterów; a charakter tego człowieka zbił go z tropu i wprawił w zakłopotanie.

– Ostatnia rzecz, cudzoziemcze, – powiedział poważnie i spokojnie, – w jaki sposób przekonasz mnie, że człowiek, który tak łatwo sprzedaje jednego monarchę, nie sprzeda drugiego?

– Och, królu! – odparł Almamen (był on bowiem przyzwyczajony w trakcie swojego tragicznego życia spoufalać się i dawać rady władcom jeszcze bardziej absolutnym), – och, królu! Jeśli wierzysz, że w naszych układach kierowałem się moim własnym interesem, nie potrzebujesz nic bardziej przekonującego. Pozwól, abym wykonał swoje zobowiązania tak samo, w moim własnym interesie, a mądrość ludzkiej natury podpowie ci, że zyskałeś wiernego i pokornego sługę. A jeśli dodatkowo wierzysz, że kieruję się również uczuciami wyższymi, że staram się osiągnąć cel wyższy niż cel nikczemnego żebraka, który zrobi wszystko dla niskich korzyści, to czy miałbyś odrzucić szansę, jaką podsuwa ci ten, którego umysł i umiejętności mogą stać się twoimi skutecznymi w osiąganiu celów narzędziami? Jeśli zdradzam tamtego króla, to dlatego, że jest moim śmiertelnym wrogiem. Więc nie możesz nazywać tego zdradą. Czy ty, wódz swoich armii, zdradzasz swoich wrogów? Maur jest wrogiem po stokroć większym dla mnie niż dla ciebie. Czy dlatego, że walczę z moim wrogiem, mam stracić okazję, żeby służyć przyjacielowi? Jeśli ja, samotny człowiek, i obcy dla Muzułmanów, potrafię wyśledzić tajemnice ich pałaców, i uczynić nieskutecznymi rady wojskowych przywódców, czy tak wypróbowany, jak ja, nie staje się jednocześnie wiernym sługą jego królewskiej mości?

– Jesteś zaprawdę wybornym myślicielem, przyjacielu, – powiedział Ferdynand uśmiechając się uspokojony. – Niech pokój będzie z tobą! Nasza narada na dziś jest zakończona. Perez! – pojawił się podwładny. – Czy pozostawiłeś dziewczynę bezpieczną z królową?

– Panie, twoje rozkazy zostały wypełnione.

– Odprowadź zatem tego cudzoziemca do bram, niech straż odda mu należny szacunek i wyprowadzi go poza obóz. Opuszcza nas pod tą samą ochroną. Bywaj cudzoziemcze! Ale, jeszcze jedno – czy jesteś pewny, że Muza Ben Abil Gazan jest uwięziony w pałacu?

– Najzupełniej.

– Niech cię Najświętsza Panna ma w opiece!

– Czy słyszałeś naszą rozmowę, ojcze Tomaszu? – zapytał z niepokojem król, gdy Almamen, odprowadzany przez Pereza, opuścił namiot.

– Słyszałem wszystko, mój synu.

– Czy nie zmroziło to za bardzo krwi w twoich żyłach?

– Tylko wtedy, gdy mój syn podpisywał zwój. Wydawało mi się, że dostrzegłem rozcapierzone szpony Kusiciela!

– Zachowajmy spokój, ojcze. Kusiciel byłby bardziej mądrzejszy i wiedziałby, że żaden atrament i żaden pergamin nie będzie miał najmniejszej wartości, dopóki Kościół nie zaaprobuje ugody. Rozumiesz mnie, ojcze?

– Rozumiem. Znam twoje pobożne serce i rozsądny umysł.

– Miałeś rację, – dodał król w zadumie, – gdy powiedziałeś nam, że ci tchórzliwi Hebrajczycy zhardzieli z powodu swojego bogactwa. Chcą mieć równe prawa – cóż za nikczemni bluźniercy!

– Synu! – powiedział dominikanin ze szczerą admiracją, – Pewnego dnia Bóg, który prowadzi cię w twoich czynach i radach, zażąda od ciebie dowodu wierności i prawa do władzy, którą ci powierzył. Czy wtedy nie będzie różnicy pomiędzy Jego przyjaciółmi i Jego wrogami – Jego uczniami i Jego oprawcami?

– Kapłanie, – odparł król z poważnym wyrazem twarzy, kładąc rękę na ramieniu zakonnika, – gdy religia potrzebuje zamilczeć w pewnych sprawach, polityka ma głos wystarczająco silny, aby uczynić się skuteczną. Hebrajczycy domagają się równych praw; gdy ludzie domagają się zrównania z ich władcami,

zdrada jest w działaniu, a prawo wyostrza jej miecz. Równość! Ci majętni lichwiarze! Święta Dziewico! Szybko wykupiliby nasze królestwa.

Dominikanin spojrzał twardo na króla.

– Synu, ufam ci, – powiedział przyciszonym ale wahającym się głosem po czym wyśliznął się z namiotu.

Rozdział 8

Zasadzka, walka i pojmanie

Świt z wolna rozlewał się nad szeroką doliną Granady, gdy Almamen podążał sobie znaną okrężną i odosobnioną ścieżką z powrotem do miasta. Znajdował się właśnie w ciemnej dolince, gęsto porośniętej krzewami, pomiędzy którymi miejscami wyrastały wysokie leśne drzewa - ponure i nieruchome w bezwietrznym powietrzu poranka - gdy nagle, na tle wież Granady, jakaś postać wyłoniła się z cienia i zaskoczony Almamen znalazł się na wprost pary ciemnych, wpatrzonych w niego, oczu.

Stanął nieruchomo w miejscu i położył rękę na sztylecie. Jego uszu dobiegł cichy, ale donośny gwizd a chwilę później, zanim zdążył głębiej odetchnąć, został otoczony przez grupę Maurów w chłopskim przebraniu.

– Moi panowie, – przemówił Almamen spokojnie, gdy ujrzał tępe, prostackie oblicza z oczami wlepionymi w niego, – chyba nie obawiacie się samotnego wróżbity?

– To czarownik, – wyszeptał jeden z nich z zabobonnym lękiem w głosie, – pozwólmy mu iść!

– Nie! – odpowiedział drugi. – Musimy zaprowadzić go do kapitana; mamy rozkaz zatrzymać każdego, kogo spotkamy.

To zdanie przeważyło; i zaciskając usta w niemym gniewie, Almamen znalazł się prowadzony przez grupę przebranych za wieśniaków Maurów, kroczących pośpiesznie poprzez najgęstszą cześć doliny.

Wreszcie pochód zatrzymał się na półkolistym skrawku zielonej łąki, na którym pasło się spokojnie kilka sztuk bydła, a znacznie więcej grup chłopów zalegało dookoła na trawie.

– Kogo tu mamy? – Almamen rozpoznał głos i krew uderzyła na jego policzki; Maur dowodzący tymi przebranymi za wieśniaków oddziałami powstał i zbliżył się do jeńca. – Na brodę proroka, czy nie jest to nasz fałszywy kapłan Almamen? Co robisz o tej godzinie poza murami Granady?

– Szlachetny Muzo, – odparł Almamen, który, chociaż kompletnie zbity z tropu faktem, że ten, który miał paść ofiarą jego intrygi, w tak nieoczekiwany sposób stał przed nim wolny i rozkazujący, zdołał uspokoić swoje nerwy, – mogę odpowiedzieć jedynie mojemu królowi; wypełniam jego rozkazy.

– Czy wiesz o tym, – powiedział Muza marszcząc brwi, – że możesz stracić życie bez możliwości obrony? Każdy mieszkaniec Granady, który zostanie schwytany poza murami miasta pomiędzy zachodem a wschodem słońca, ma umrzeć śmiercią zdrajcy, dezertera.

– Słudzy Alhambry są wyłączeni spod tego rozkazu, – odpowiedział Almamen, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Ach! – wykrzyknął Muza, gdy bolesna i nagła myśl zdawała się przeszyć jego umysł, – czy to możliwe, że pogłoski krążące w mieście są prawdziwe, i że władca Granady pertraktuje z wrogiem? – zamyślił się na chwilę; a potem, każąc Maurom odstąpić na bok, ciągnął głośno, – Almamenie, powiedz mi prawdę: czy udałeś się do obozu Chrześcijan z jakimś posłaniem od króla?

– Nie mogę odpowiedzieć.

– Czy jesteś poza murami z rozkazu króla?

– Gdybym był, zdradziłbym króla, gdybym o tym mówił.

– Nie wierzę ci, przeklęty czarnoksiężniku! – powiedział Muza po chwili, – uważam cię za mojego wroga, myślę, że to twoje rady podburzyły króla przeciwko mnie, przeciwko jego poddanym i jego własnym obowiązkom. Ale nieważne, na razie zachowasz

życie; tylko że pozostaniesz z nami, i razem z nami powrócisz przed oblicze króla.

– Ale, szlachetny Muzo…

– Powiedziałem! Wróżbitę pod straż! Miejcie go na oku; pozostanie z nami do końca zasadzki.

Podczas gdy Almamen na próżno starał się uwolnić z rąk Muzy, obóz Chrześcijan pogrążony był w zupełnym spokoju, który trwał aż do świtu.

Gdy słońce zaczęło wynurzać się ponad górami, najpierw pomruki, a potem zgiełk, zdradziły przygotowania wojenne. Kilka oddziałów konnej jazdy, pod wybornym i doświadczonym przywództwem, formowało się w różnych częściach obozu, z zamiarem wyruszenia, każdy w innym kierunku, na wypady mające na celu pustoszenie terenów wroga, ale też w nadziei na potyczkę z rozproszonymi po okolicy oddziałami nieprzyjaciela. Spośród konnego rycerstwa, najlepiej wyposażona była drużyna dowodzona przez Markiza de Villena i jego walecznego brata Don Alonzo de Pacheco. W tych zaczepnych wyprawach brało udział wielu przedstawicieli najlepszych hiszpańskich rodów; była to wspaniała okazja dla oficerów aby współzawodniczyć ze sobą, każdy chciał dokonać wielkich czynów, każdy starał się przyćmić sławę innych, każdy chciał dać dowód własnego bohaterstwa, waleczności i patriotyzmu. Imię Villena dominowało wśród rycerstwa, które widziało w zręcznym i odważnym jak lew, przywódcy, zaprzeczenie kunktatorskiej i pełnej marazmu polityki Ferdynanda.

Słońce, wysoko na niebie, rzucało jaskrawe promienie na wspaniałą broń i dumne proporce kompanii Villeny, gdy, zostawiając za plecami obóz, wkraczała na rozległą i zadrzewioną równinę rozciągającą się u podnóża gór Vega. Piękny dzień, wspaniały krajobraz, nadzieje i podniecenie wynikające z przedsięwzięcia, ożywiały ducha całego oddziału. W takich wyprawach ścisła dyscyplina często bywała zaniedbywana w przeko-

naniu, że w razie potrzeby może być natychmiast przywrócona. Rozmowy, wesołe i głośne, przeplatane od czasu do czasu urywkami piosenek, rozbrzmiewały pomiędzy szeregami rycerstwa; nawet w najprzedniejszej grupie tych, którzy jechali u boku Villeny, dało się zauważyć mniej przysłowiowej hiszpańskiej subordynacji.

– Powiedz, markizie, – odezwał się Don Estevon de Suzon, – o co się założymy, która z kopii pozbawi dziś dumne mauretańskie wojska największej liczby rycerzy?

– Mój miecz przeciw twojemu pięknemu ogierowi, – odparł Don Alonso de Pacheco przyjmując wyzwanie.

– Zgoda. Ale, jeśli mowa o pięknie, czy byłeś dzisiejszej nocy w namiocie królowej, szlachetny markizie? Wzbogacił się on o nową dziewczynę, której tajemniczego i nagłego pojawienia się nikt nie potrafi wytłumaczyć. Jej oczy mogłyby zaćmić niosący śmierć wzrok Cavy; na świętego Rodryga, oddałbym królestwo za jeden uśmiech.

– Ach, – powiedział Villena, – słyszałem o jej urodzie; ale to zakładniczka zdradzieckiego Maura, z którym król (nich go Pan Bóg błogosławi!) targował się o miasto. Mówią, że młody książę naraził się na poważną naganę od królowej-matki, za jego nadmierne zainteresowanie dziewczyną.

– A tegoż ranka widziałem budzącego grozę brata Tomasza, zakradającego się do namiotu księcia. Przypuszczam, że książę dostał zasłużoną lekcję. Rada mnicha jest jak algarroba[1], gdy jest odłożona i suszona, może być naprawdę zdrowa, ale jest dość cierpka i gorzka, gdy spożywana na świeżo.

W tej chwili jeden z oficerów podjechał do dowódcy i szepnął mu coś do ucha.

– Ha! – wykrzyknął Villena, – niech Dziewica będzie błogosławiona! Panowie rycerze, zdobycz w zasięgu ręki! Zachować ciszę! Zewrzeć szeregi!

[1] Algarroba jest rodzajem warzywa powszechnie uprawianego w Hiszpanii – *(Prz. tł.)*

Powiedziawszy to uniósł się nieco w siodle, osłonił dłonią oczy przed słońcem i spojrzał na rozciągającą się przed nimi równinę; w pewnym oddaleniu dostrzegł grupę muzułmańskich chłopów prowadzących bydło w kierunku gęstego zagajnika. Rozkazy zostały pośpiesznie wydane, wojsko rzuciło się przed siebie, wszystkie głosy zamarły, grzechot kolczug i tętent końskich kopyt były jedynymi odgłosami przerywającymi tę rozbrajającą ciszę krajobrazu południowej godziny.

Zanim dotarli do zagajnika, chłopi zniknęli w jego gęstwinie. Villena rozstawił swój oddział w półkole otaczając zarośla i wysłał grupkę rycerzy na drugą stronę, aby odciąć ewentualne drogi ucieczki. Gdy to zostało wykonane, oddział wjechał między drzewa. Początkowo las nie był gęsty i posuwali się z większą łatwością niż się spodziewali, ale wkrótce warunki zmieniły się i ziemia stała się nierówna i wyboista, poprzecinana urwiskami, gęste drzewa i korzenie pod nogami uniemożliwiały szybkie posuwanie się konnicy. Don Alonzo de Pacheco, dosiadający wierzchowca do szarży, którego zwinne i posłuszne kończyny zostały zaprawione do wszelkiego rodzaju walki, a on sam posiadający lekką postać i niezrównane umiejętności jazdy konnej, wyrwał do przodu przed całą resztą. Drzewa skryły go na krótką chwilę; gdy nieoczekiwanie, rozległ się donośny wrzask, a gdy ucichł usłyszeli jego głos, wykrzykujący w przerażeniu:

– Na świętego Jakuba! Szarżuj, Hiszpanio!

Rycerze spięli konie ostrogami i ruszyli do przodu; gdy nagle grad dzid i strzał uderzył w ich zbrojne szeregi; spoza krzaków, zarośli i skalistych urwisk wyskoczyły na nich liczne grupy Maurów i z dzikimi okrzykami otoczyły hiszpański oddział.

– To zasadzka! Wycofać się! – krzyknął Villena, – jesteśmy otoczeni, wytną nas w pień!

Zawrócił zacinając ostro konia. Ruszył aby wydostać się z gęstwiny, a gdy wyjechał z zarośli zobaczył wrogie wojska wynurzające się z doliny, szereg za szeregiem, szli pieszo, a każdy z

wojowników prowadził swojego drobnego ale ognistego rumaka za uzdę. Jak tylko krzewy stawały się rzadsze, wskakiwali na grzbiet. Ubrani w kompletne zbroje, z opuszczonymi przyłbicami, z lancami gotowymi do natarcia. Villena (któremu towarzyszyli ci z rycerzy, którym udało się wyrwać z zasadzki w gęstwinie) ruszył na wroga bez zastanowienia. Chwila wstępnego oszołomienia minęła: na ziemię padło wielu Muzułmanów, przeszytych chrześcijańską kopią; po drugiej stronie, za szeregami wroga, usłyszeli róg i krzyk Villeny:

– Święty Jakubie, przynieś nam odsiecz!

Ale dzielny wódz stał samotnie, u jego boku jedynie wierny szambelan, Soliera. Większość rycerzy Villeny walczyło na nogach, otoczeni przez tłumy Maurów, którzy próbowali zadawać śmiertelne ciosy nożami. Hiszpanie jednak odpierali ataki z powodzeniem. Stopniowo, jeden po drugim, większość z nich dołączyła do swojego przywódcy, a chwilę potem zobaczyli zielony płaszcz Don Alonza de Pacheco, powiewający na tle zagajnika i Villena ucieszył się w duchu, że jego brat jest bezpieczny.

Ale właśnie w tym momencie, jeden z mauretańskich jeźdźców wyrwał się ze swojego szeregu i popędził w stronę Alonza de Pacheco. Maur nie miał na sobie ciężkiej zbroi, choć powszechne wśród Muzułmanów było ubieranie chrześcijańskich okryć obronnych. Ten jeden miał na sobie lekką, elastyczną kolczugę, typową dla dawnych wojowników z Arabii lub Fezu. Jego turban, który był zabezpieczony przed zsunięciem się z głowy łańcuszkami z wybornej stali damasceńskiej, wplecionymi w fałdy zwojów, był olśniewająco biały, biała była też jego tunika i krótki płaszcz; na lewym ramieniu zawieszona była mała okrągła tarcza, w prawej trzymał długą i wiotką kopię, gotową do szarży. Muzułmanin dosiadał wierzchowca o maści tak doskonale czarnej, że w jego sierści nie dało by się znaleźć nawet jednego jaśniejszego włosa. Gnał równo z Pacheco. Obaj ciężko dyszeli, na razie żaden nie próbował atakować. Ale było oczywi-

ste, że obaj zmierzają do bezpośredniego starcia. Nikt nie próbował dołączyć do ich zmagań, pojedynek na polu bitwy, między znakomitymi rycerzami, rządził się swoimi prawami i walczący po obu stronach wiedzieli, że wtrącanie się do takiego pojedynku było niemal równoznaczne ze świętokradztwem.

– Niech Bóg ma w swojej opiece mojego dzielnego brata! – wyszeptał Villena poważnie zaniepokojony.

– Amen! – odpowiedzieli rycerze; oni też podzielali niepokój swojego przywódcy, bo rozpoznali w białym jeźdźcu dosiadającym czarnego jak węgiel wierzchowca, strasznego Muzę Ben Abil Gazana. Słynny Maur miał przeciwko sobie niemniej godnego przeciwnika. "Duma turniejów" i "postrach w pojedynkach", takie były przydomki, którymi rycerze i damy Kastylii, obdarzali Don Alonza de Pacheco.

Gdy Hiszpan zauważył zbliżającego się Maura, ściągnął raptownie cugle na ułamek sekundy, a potem, prowadząc konia łukiem, zatoczył szerokie koło aby zyskać więcej przestrzeni i wzmocnić tym samym impet ataku. Muza przejrzał jego zamiary, podobnie, powściągnął wierzchowca i czekał na szarżę przeciwnika; gdy ten zwlekał, skoczył przed siebie i natarł na rycerza ze zręcznością, która, wywołała mimowolny okrzyk podziwu po stronie Chrześcijan. Alonzo zaatakował włócznią, ale Muza sparował cios swoją niewielką tarczą i błyskawicznie kontratakował wymierzając uderzenia lekką lancą, która dosięgła głowy Hiszpana. Celny cios sprawił, że Alonzo zachwiał się w siodle, ale cios był zbyt lekki, aby zrzucić przeciwnika z siodła.

Kopie zostały odrzucone, długi i szeroki miecz Chrześcijanina i zakrzywiony miecz damasceński Maura błysnęły w powietrzu. Skierowali swoje wierzchowce naprzeciw siebie z groźnym i pełnym rozwagi spokojem.

– Poddaj się, panie rycerzu! – wykrzyknął nagle rozpalony Muzułmanin, – słowa na miom mieczu mówią, że policzone są dni tego, kto przyjmuje jego cięcie. Miecz człowieka wierzącego to Klucz do Nieba i Piekła.

– Niewierny! – odpowiedział Alonzo głosem, który pobrzmiewał głucho z wnętrza jego hełmu. – Jeden chrześcijański miecz, znaczy tyle, co cała armia Maurów!

Muza milczał, puścił wodze swojego wierzchowca luzem, na szyję; dobrze tresowane zwierzę zrozumiało sygnał i z krótkim, pełnym zniecierpliwienia rżeniem, ruszyło do ataku z pełnym animuszem. Alonzo przyjął tę szarżę z uniesionym do ciosu mieczem i ukryty pod dużą tarczą; Ciął! Maur zgiął się wpół a z hiszpańskich szeregów wzniósł się okrzyk radości: Muza zdawał się spadać z konia. Ale ostrze ciężkiego miecza nawet go nie musnęło; wręcz przeciwnie, zaatakował z niewiarygodną lekkością i łukowate ostrze jego damascena, przeszło po gardle Hiszpana, precyzyjnie tam, gdzie hełm łączył się z pancerzem. Ostrze przecięło rzemienne klamry i dosięgło ciała. Alonzo padł z konia, zanim zdążył wydać okrzyk, jego zbroja na pierwszy rzut oka wydawała się nietknięta, ale krew wypływała ze śmiertelnej rany pulsującymi strugami.

– Bóg jest wielki! – wykrzyknął Muza, gdy dołączył do swojego wojska; – *Lelilies! Lelilies*! – zawtórowali mu Maurowie; zanim Chrześcijanie otrząsnęli się z szoku, rozgorzała walka. Całe zastępy Muzułmanów ruszyły na hiszpańskie rycerstwo. Zaprawdę, przewaga wroga była zastraszająca; Hiszpanie nie wierzyli własnym oczom, widząc ile wojska zdołali pomieścić i ukryć Maurowie na tej niewielkiej przestrzeni. Jazda i piechota jednocześnie otoczyły oddział Villeny, poważnie już zdziesiątkowany: piechota, w desperackim i dzikim szale, wciskała się w sam środek broniących się, natrafiając zarówno na końskie kopyta, jak i śmiertelne ciosy mieczy i kopii jeźdźców, szukając słabego punktu aby zamierzyć się ostrym mauretańskim nożem; jazda, unikając walki wręcz, w której przewagę posiadali Hiszpanie, atakowała ich strzałami i lancami, podjeżdżając i wycofując się na zmianę i demonstrując, z niewiarygodną zręcznością, ewolucje wschodniej sztuki dosiadania konia. Cały czas, życiem i du-

szą ich oddziałów był nieposkromiony Muza. Z gwałtownością, która dla przerażonych Hiszpanów mogła zdawać się produktem tajemniczej magii, zapędził swojego złowieszczego czarnego rumaka w sam środek zwartych szeregów, które Villena skutecznie utrzymywał wokół siebie, rozbił je jednym atakiem, strącając z konia wielu hiszpańskich wojowników śmiertelnym ostrzem swojego bezszelestnego i połyskującego w słońcu miecza.

Villena, tracący nadzieję zarówno na sławę, jak i ocalenie życia, nękany rozpaczą po stracie brata, zdecydował się ratować swój oddział własnym poświęceniem. Aby ochronić oddział, dał sygnał do odwrotu, samotny i nieruchomy, pozostał na koniu, jak pomnik z żelaza. Choć niewielkiej postury, Villena uważany był za doskonałego fechmistrza, stawianego na równi z Hernando del Pulgar i Gonsalvo de Cordova; był mistrzem zarówno w twardym, czołowym ataku typowym dla chrześcijańskiej sztuki wojennej, ale również szybkich i zręcznych ciosach typowych dla arabskiej kawalerii. Teraz stał tam, samotny i ponury – jak osaczony lew – podczas gdy jego wojska powoli wycofywały się w stronę Vega, a ich rogi grzmiały głośne sygnały alarmowe, wzywając posiłków, mając nadzieję, że w pobliżu znajdowały się inne grupy rycerstwa, które mogły usłyszeć te rozpaczliwe sygnały. Tarcza Villeny przeciwstawiała się strzałom Maurów; jeden za drugim przyskakiwali do niego, z wirującym mieczem i błyskawicznym ale pojedynczym atakiem, nielicznym tylko udawało się uniknąć przeznaczenia w starciu z tym szybkim ramieniem i gromiącym wzrokiem i mieczem. Nagle, jakby chmura kurzu zbliżyła się do niego i Muza, którego Villena chwilę przedtem widział walczącego na drugim końcu bitewnej areny, wyłonił się z chmurnej zasłony powiewając białą opończą i mieczem w wyciągniętym ramieniu. Villena zacisnął mocno zęby i kopiąc ostrogami swojego wierzchowca, zaatakował. Muza uskoczył w bok dokładnie w chwili, gdy ciężki miecz Hiszpana przesunął się tuż nad jego głową, w kontrataku, przeciągnął ostrzem damascena

dokładnie po złączu pancerza na biodrze, raniąc Villena do krwi. Ale towarzysze Hiszpana, widząc, że ich przywódca znajduje się w opałach, zawrócili na pomoc na czas, aby wyrwać dowódcę ze śmiertelnego zagrożenia.

Muza nie czekał, aż pojawią się posiłki, szybko ruszył przez równinę i wkrótce można było zobaczyć, jak zbiera swoją rozproszoną kawalerię, zwierając jej szeregi, aż utworzyła jedną ogromną zbitą masę, wielokrotnie przewyższającą liczebność Chrześcijan. Natychmiast ruszył na niedobitki rycerstwa.

– Nasz dzień nadszedł! – wykrzyknął Villena z gorzką rezygnacją do tych, którzy pozostali przy jego boku. – Nie pozostało nam nic, przyjaciele, jak tylko oddać życie za Wiarę i Ojczyznę, dać przykład, jak hiszpańscy rycerze powinni żyć i umierać! Niech Bóg i Święta Matka wybaczą nam nasze grzechy i skrócą cierpienia czyśćca!

Ale gdy tylko zdążył wypowiedzieć swoje słowa, z oddali dobiegł ich uszu dźwięk rogu i wyostrzony słuch rycerzy wychwycił miarowy tętent końskich kopyt zbliżającego się oddziału rycerstwa.

– Jesteśmy ocaleni! – wykrzyknął Estevon de Suzon, unosząc się na strzemionach i wpatrując w otaczające wzgórza. W tym właśnie momencie zwinny arabski rumak, w pełnym pędzie, wdarł się do ich małej grupki; Estevon ujrzał nad sobą ciemne, bezlitosne oczy i drżące usta Muzy Ben Abil Gazana. Szlachetny rycerz, nie znający strachu, poczuł nagle, że jego serce zamarło w trwodze, ten efekt zaskoczenia, Muzułmanin próbował obrócić na swoją korzyść. Ale moment zaskoczenia trwał tylko ułamek sekundy.

“Czarny szatan prowadzi jego miecz!” – Pomyślał de Suzon; “ale ja spowiadałem się zaledwie wczoraj!” Ta myśl natychmiast przywróciła mu ducha walki i popędził konia wprost na szarżującego Maura.

Niespodziany kontratak tym razem zaskoczył Muzę. Jego koń

potknął się na nierówności terenu, on sam, wyczerpany zadawaniem śmiertelnych ciosów i splamiony chrześcijańską krwią, mógł jedynie próbować sparować cios silnego ramienia de Suzona; miecz rycerza z łatwością pokonał opór broni Maura i zbliżył się do turbanu Muzułmanina, który ustąpiłby lekko pod ciosem miecza ale ostrze trafiło na twarde stalowe ogniwa spinające to okazałe nakrycie głowy. Uderzenie powaliło jednak Maura na ziemię. Potoczył się pod popręgi siodła przeciwnika jak martwy.

– Zwycięstwo, na Świętego Jakuba! – wykrzyknął rycerz, – Muza jest…

Ale zdanie pozostało na zawsze niedokończone. Ostrze powalonego Maura przeszyło podbrzusze konia de Suzona, kładąc rumaka na miejscu. W ułamku sekundy, rycerz, razem z szarpiącym się w śmiertelnej agonii koniem, padli na ziemię, a w następnej chwili ostrze krótkiego noża, który Maur wyszarpnął spod pasa, znalazło otwarte miejsce pod przyłbicą i zatopiło się w karku Hiszpana.

Dosiadanie konia, którego Muza nie wypuścił ze swoich rąk, a który teraz stał już spokojny i nieruchomy, i powrót w sam środek bitewnych zmagań, wszystko to zajęło Muzułmaninowi nie więcej aniżeli zamordowanie nieszczęsnego Estevona de Suzon. Ale w międzyczasie sytuacja odmieniła się na niekorzyść Maurów.

Przebijająca się w ogromnym tempie przez równinę, lśniąca jazda hiszpańskich posiłków, a nieco dalej, powiewający królewski sztandar wybornych oddziałów Hiszpanii, ledwo zauważalny poprzez kłęby kurzu, oznaczał, że sam Ferdynand przybywał z odsieczą na czele swojego rycerstwa.

Maurowie jednakże, również zasilani pojawiającymi się nowymi posiłkami, które wyłaniały się spoza krzaków i zagajników otaczających pole bitwy, nie obawiali się stawić czoła, przygotowani na odparcie nowego wroga. Pod komendą czujnego Muzy,

wycofali się, zwarli szeregi, zręcznie dopasowując swoją strategię do możliwości, jakie oferował im teren, wzmocnili tym samym swoje siły, tak że Ponce de Leon, który właśnie nadjechał, osobiście odradził przystąpienie do natychmiastowego ataku. Pomimo tego, że Villena, głosem niemal niezrozumiałym z gniewu, starał się nakłonić markiza Cadiz do ataku, Ferdynand, otoczony kwiatem swojego dworu, który przybył za swoim wojskiem, po krótkiej wymianie słów z Poncem de Leon, dał zaskakujący sygnał do odwrotu.

Gdy Maurowie zauważyli, że hiszpańskie rycerstwo powoli wycofuje się i kieruje w stronę obozu, wpadli w radosny szał i nawet Muza nie był w stanie powściągnąć swojego zapału. Rzucili się naprzód, nękając wojska Chrześcijan w odwrocie i przedłużając bitwę krótkimi potyczkami.

To właśnie wtedy Hernando del Pulgar, który przybył wraz z Ponce de Leon, odznaczył się mężnym, bohaterskim czynem do dziś wychwalanym w hiszpańskich pieśniach. Dosiadając ogromnego wierzchowca i posiadając niezmierną siłę w swoim ramieniu, atakował w pojedynkę wroga siekąc wielu Maurów cieciami swojego wielkiego, dwuręcznego miecza. Donośnym głosem wyzywał Muzę aby się z nim zmierzył; ale Maur, zmęczony walką i ranami, które wyniósł z pojedynku z de Suzonem, nie podjął wyzwania.

W takich okolicznościach, gdy pole bitwy roiło się od walczących, mały oddział Hiszpanów, przedzierając się do głównych sił swoich rodaków przez jeden z licznych zagajników opanowanych przez wroga, natknął się na jego skraju na grupę Maurów mniej więcej tej samej liczby i nawiązał z nimi zaciekłą walkę wręcz. Pomiędzy Arabami był jeden człowiek, który nie brał udziału w walce: z niewielkiej odległości, przyglądał się przez dłuższą chwilę zażartym, nieugiętym zmaganiom Maurów i Chrześcijan z uśmiechem surowego i pełnego satysfakcji zadowolenia; a potem, korzystając z zamieszania, oddalił się po cichu i, jak mniemał,

niezauważony, z pola walki. Ale nie dane mu było uciec daleko. Hiszpanie dostrzegli go i, z uwagi na odmienność i niezwykłość jego stroju, uznali, że był on jednym z mauretańskich przywódców; Almamen, bo on był tym człowiekiem, ujrzał nagle przed sobą wzniesiony miecz hiszpańskiego rycerza, który najwyraźniej nie miał zamiaru słuchać żadnych wyjaśnień i szykował się do zadania bezlitosnego, śmiertelnego ciosu. Almamenowi nie zbywało na odwadze, ale wiele względów przemawiało za tym, aby nie angażował się osobiście w walkę przeciwko hiszpańskim rycerzom; widząc, że nie ma czasu na wyjaśnienia i perswazję, zaciął swojego konia ostrogami i zerwał się do ucieczki przez równinę. Hiszpan nie odpuścił, rzucił się w pogoń i Almamen, który widział, że Hiszpan nie da za wygraną, i że ucieczka nie może się powieść, zawrócił z pasją i właściwym swojej hardej naturze gniewem wykrzyknął:

– Niech się stanie twoja wola, głupcze! – zazgrzytał zębami gdy dobył swojej broni i przystąpił do ataku. Starli się i mógł to być długi i zawzięty pojedynek: Hiszpan okazał się zręcznym wojownikiem; Almamen, który nie był przygotowany do bitwy, nie posiadał kolczugi ani żadnej broni poza ostrym sztyletem z hartowanej stali, zmuszony był bronić się raczej niż atakować, cały czas dążąc do bezpośredniego kontaktu. Wreszcie walczący zwarli się, tułów do tułowia, głowa do głowy, i tu Almamen okazał się zręczniejszym przeciwnikiem, krótkie ostrze wkrótce znalazło wolną drogę do gardła Hiszpana, który padł martwy na ziemię.

"Teraz jestem bezpieczny." Myślał, gdy zawracał swojego konia; ale nagle grupa hiszpańskich rycerzy, których widział wcześniej i których miał nadzieję, że zostawił za sobą, wyrosła tuż na jego drodze.

– Stój, albo zginiesz! – wykrzyknął za nim dowódca oddziału. Almamen rozejrzał się wściekłym wzrokiem dookoła, ale nie dostrzegł żadnej szansy na ucieczkę.

– Nie jestem twoim wrogiem! – powiedział ponuro, opuszczając ostrze swojej broni, – prowadź mnie do swojego przywódcy!

Jeden z Hiszpanów chwycił wodze konia Almamena i z zachowaniem pełnej ostrożności, rozglądając się pilnie dookoła, przedostał się wraz ze swoim jeńcem do wycofujących się hiszpańskich oddziałów.

Tymczasem zaczął zapadać wieczór. Bitewne krzyki i wrzaski z wolna przycichały – walka zamierała – obie wojujące strony pozwijały swoje liczne sztandary i, wraz z pierwszą gwiazdą, mauretańskie wojsko, zbierając swoich rannych towarzyszy i napawając się zwycięstwem, zwróciło się w powrotną drogę do Granady aż czarna postać bohatera dnia, który jechał na końcu swoich oddziałów, znikła w jej przyciemnionych bramach.

Rozdział 9

Bohater w mocy marzyciela

W tej samej komnacie i mniej więcej o tej samej porze, kiedy to widzieliśmy Boabdila el Chico po raz pierwszy, powracamy teraz przed majestat tego urodzonego pod nieszczęśliwą gwiazdą władcy. Nie był sam - jego wierna i pełna uwielbienia niewolnica, Amina, spoczywała na otomanie, wpatrując się z nieukrywaną miłością w jego zamyślone oblicze. On stał pod mieniącą się różnymi kolorami ścianą, przy oknie, wpatrując się roztargnionym wzrokiem w krajobraz poniżej.

Z oddali słyszał okrzyki tłumów witających wiwatami powracającego Muzę i strzały z dział potwierdzające wieści o odniesionym zwycięstwie, które już wcześniej zostały mu doniesione.

– Niech król żyje wiecznie! – powiedziała nieśmiało Amina; – jego armie zwyciężyły.

– Ale bez ich króla, – odparł Boabdil gorzko, – i dowodzone przez zdrajcę i wroga. Złapano mnie w sieć przeznaczenia, od którego nie ma ucieczki!

– Och! – powiedziała niewolnica, której nagle przyszła do głowy pewna myśl. Podekscytowana klasnęła w dłonie i powstając z otomany powiedziała: – Och, mój panie, czy te próżne usta mają prawo powiedzieć coś więcej, niż tylko miłosne wyznania?

– A jaką to radę mogłabyś mi dać? – zapytał Boabdil uśmiechając się łagodnie. – Mów, proszę.

– Nie opuszczę cię, mój królu, nawet jeśli będzie trzeba cierpieć, – powiedziała płaczącym głosem Amina; wyprostowała się, jej policzki spąsowiały, oczy jak iskrzące się malwy, piękne ciało wyprężyło się. – Jestem córką Granady! Kochanką króla! Będę wierna swemu urodzeniu i swemu szczęściu. Boabdilu el Chico, ostatni z bohaterskiej dynastii, otrząśnij się z tych mrocznych koszmarów – tych wątpliwości i snów, które gaszą ogień wspaniałej natury i królewskiej duszy! Obudź się, powstań, odbierz Granadzie jej Muzę, bądź sam jej muzą! Ufasz czarom i kabałom? Więc każ wyryć je na swoim pancerzu, na ostrzu miecza. Och, panie! Przestań być Marzycielem z Alhambry; zostań obrońcą swojego ludu!

Boabdil obrócił się i spojrzał na podekscytowaną i piękną postać stojącą przed nim, z mieszaniną uczuć zaskoczenia i onieśmielenia.

– Z ust kobiety wyszły nagany! – powiedział smutno. – Dobrze mi tak!

– Wybacz mi, wybacz! – powiedziała niewolnica przylegając pokornie do jego kolan; – ale nie obwiniaj mnie o to, że chcę abyś nabrał szacunku do samego siebie. Czy nie będziesz szczęśliwszy, czy twoje serce nie będzie mieć więcej światła a nadzieja więcej siły, gdy, na czele swoich wojsk, twój własny miecz będzie gromił twoich wrogów, a postrach króla–bohatera rozprzestrzeni się po całym kraju, w ogniu i posoce, od gór do morza. Boabdilu! Jesteś mi drogi, i kocham cię tak, jak kochałabym, gdybyś był zwykłym rybakiem na Darro, ale ty jesteś królem, i chcę abyś pozostał królem; nawet jeśli moje własne serce będzie umierać, gdy odejdziesz na swoją ostatnią bitwę!

– Nie wiesz, co mówisz, dziewczyno, – odparł Boabdil, – nie wiesz, jaki duch na tej ziemi wzywa do działania i potrafi przejrzeć poza przeznaczenie władców narodów. Jeśli zwlekam, jeśli się ociągam, to nie dlatego, że się lękam, ale dlatego że jestem rozważny. Najpierw chmury, czarne i ciężkie, muszą zgromadzić się na niebie, zanim błyśnie piorun.

– Na twój własny dom spadnie ten grom, bo nad twoim domem gromadzą się te czarne chmury, – powiedział spokojny i stanowczy kobiecy głos.

Boabdil wzdrygnął się bo w pokoju pojawiła się trzecia osoba: kobieta w średnim wieku, z królewską postawą, wysoka. Na jej długiej szacie w kolorze wyszywanej purpury, gęsto lśniły klejnoty królewskiej ceny, a jej czarne włosy, lekko przeplecione szarymi, rozdzielały się ponad majestatycznym czołem, na którym mały diadem podtrzymywał gęste loki.

– Moja matka! – powiedział Boabdil z dumną rezerwą w głosie; – twoja wizyta jest niespodziewana.

– Tak! – odpowiedziała Ayxa la Horra, bo rzeczywiście była to ta słynna, wyniosła ale i wielkoduszna królowa-matka, – niespodziewana i niechciana; jak wizyty wszystkich twoich prawdziwych przyjaciół. Ale nie była tak niechciana obecność twojej matki, gdy jej umysł i ręka chroniły cię przed lochami, w które twój zaborczy ojciec, próbował zakuć twoją młodość, a sztylet i napełniony trucizną kielich okazały się jedynymi kluczami, które mogły otworzyć tę celę.

– I byłoby lepiej, gdybyś pozostawiła swojego przeklętego syna, którego poczęłaś, ażeby umarł w swojej młodości, pozostałby szanowany i opłakiwany. Uratowałaś go tylko po to, żeby dożywał swojego męskiego wieku, zmuszony walczyć ze złą gwiazdą i nieuniknionym przeznaczeniem.

– Synu, – powiedziała królowa patrząc na niego z wyniosłą i na poły pogardliwą miną, – człowiek kształtuje swój własny los, a nieszczęśliwy nigdy nie jest ani dzielny ani mądry.

– Pani, – odparł Boabdil, rozpłomieniony z pasji, – wciąż jestem królem, nawet jeśli nie mam jeszcze brody, wyjdź!

Zanim królowa zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wszedł służący i wyszeptał coś do ucha Boabdila.

– Ha! – wykrzyknął Boabdil, radośnie tupiąc nogą, – przybywa więc do jaskini lwa? Niech buntownik wejdzie. Czy jest sam?

– Sam, wspaniały królu.

– Każ strażom czekać na zewnątrz! Niech wkroczą na pierwsze wezwanie! Amino, odejdź, Pani…

– Synu! – Ayxa la Horra przerwała mu z widocznym przestrachem, – czy dobrze się domyślam? Czy to dzielny Muza – jedyna ostoja i nadzieja Granady – którego niesprawiedliwie ostatniej nocy kazałeś zakuć w kajdany (kajdany! Wielki Proroku! Czy w ten sposób król ma wynagradzać swoich bohaterów?), pytam, czy Muza jest tutaj? I czy masz zamiar uczynić go ofiarą jego oddania dla naszej muzułmańskiej sprawy?

– Odejdź, kobieto! – odpowiedział ponuro Boabdil.

– Nie odejdę, chyba, że zmusisz mnie do tego siłą! Potrafiłam oprzeć się bardziej zapalczywej duszy, gdy chroniłam ciebie przed twym ojcem!

– Pozostań więc, jeśli chcesz, i zobacz jak król umie karać zdrajców. Mesnour, wprowadź bohatera Granady. – Aminy już nie było. Boabdil zasiadł na poduszkach z twarzą spokojną ale bladą. Królowa stała wyprostowana w niewielkiej odległości, z rękami założonymi na piersi, ze zmarszczonymi brwiami i stanowczą miną. Po kilku chwilach wszedł Muza, sam. Podszedł do króla z głębokim, pełnym szacunku, orientalnym ukłonem; a potem przystanął przed nim z oczami opuszczonymi, w postawie, w której szacunek dla władcy nie pozbawiał go przyrodzonej mu godności i dumy.

– Książę, – powiedział Boabdil po chwili milczenia, – wczoraj rano, gdy posłałem po ciebie, zlekceważyłeś moje rozkazy. Nawet w mojej własnej Alhambrze, twoi faworyci zbuntowali się; otoczyli twierdzę, gdzie pozostawałeś do mojej dyspozycji; przełamali, znieważyli i przepędzili moje straże; przypuścili szturm na wieże chronione sztandarem twojego króla. Zarządca, tchórz albo zdrajca, oddał cię zbuntowanym tłumom. Czy to wszystko? Nie, na Proroka! Ty, mój więzień z mocy prawa, opuściłeś swoją celę i stanąłeś na czele armii. A dziś, poddany, który zdradził,

ukryty wróg, stał się przywódcą ludu, który przeciwstawił się władcy. Tej nocy przychodzisz do mnie bez wezwania. Czujesz się odporny na mój gniew, nawet w moim pałacu. Twoje zuchwalstwo zaślepia i zdradza cię. Człowieku, jesteś w mojej mocy! Słyszysz?

Król wstał mówiąc i nagle arkady tylnej części budynku zaciemniły się długimi szeregami straży etiopskiej, a każdy z rycerzy był wzrostu, który w porównaniu z niewysoką rasą mauretańską, zdawał się gigantyczny; bezduszne i pozbawione uczuć słudzy przyzwyczajeni do wypełniania najbardziej krwawych rozkazów despoty, bez mrugnięcia okiem. Tam przystanęli, pod ścianą, gotowi zaatakować na skinienie palcem; ich srebrne pancerze i długie kolczyki kontrastowały na tle ich czarnej skóry; a na ramionach trzymali ogromne maczugi nabijane mosiężnymi gwoździami.

Nieznacznie wysunięty do przodu stał ich kapitan, ze złowieszczym łukiem wiszącym niedbale na ramieniu i z oczami czujnymi na uchwycenie najdrobniejszego gestu króla.

– Spójrz! – powiedział Boabdil do Muzy.

– Widzę i jestem przygotowany na wszystko, cokolwiek się wydarzy.

Królowa pobladła, ale milczała.

Muza kontynuował:

– Królu wiernych! – powiedział, – jeśli wczorajszego ranka postąpiłbym inaczej, byłoby to ruiną dla twojego tronu i całej naszej rasy. Gorliwi Zegris podejrzewali i dowiedzieli się o moim aresztowaniu. Zwołali oddziały, które mnie oswobodziły, to prawda. W tym czasie, gdybym próbował ich odwieźć od ich zamiarów, byłoby to tylko jak dolewanie oliwy do ognia. Byli zdecydowani wkroczyć do pałacu i może nawet wymusić twoją abdykację. Nie mogłem powstrzymać ich gniewu, ale mogłem go skierować na inne tory. W chwili namiętności, odwiodłem ich od rebelii przeciwko naszemu prawowitemu władcy i powiodłem do

zwycięstwa nad wrogiem. W ten sposób wypełniłem swój obowiązek, przychodzę niezraniony chrześcijańskim mieczem, aby wystawić swój kark na strzały moich współplemieńców. Sam, nieśledzony, poza podejrzeniem, wszedłem do twojego pałacu aby dowieść monarsze Granady, że obrońca jego tronu nie przeciwstawia się jego woli, ale ją wypełnia najlepiej, jak może. Teraz wzywaj straże. Jestem gotów.

– Muzo! – odparł Boabdil stonowanym głosem, osłaniając twarz dłonią, – bawiliśmy się razem jako dzieci, i ja kochałem cię szczerze; teraz moje królestwo wymyka się z moich rąk, ale nawet ta strata będzie mniej bolesna, jeśli będę widział, że twoja lojalność nie odwróciła się ode mnie.

– Czy naprawdę zwątpiłeś w wierność Muzy Ben Abil Gazana? – powiedział mauretański książę głosem zaskoczenia i bólu. – Nieszczęsny królu! Obawiam się, że moja wierność została zrozumiana jako zbrodnia.

– Kto więc podjudza moich poddanych? Dlaczego moi ludzie mnie nienawidzą? Dlaczego moje armie buntują się? – pytał Boabdil; – Jak mógł jeden oficer posiąść taki autorytet w narodzie, którego król nie może osiągnąć?

– Ponieważ, – odparł Muza śmiało, – król powierzył podwładnemu władzę, którą powinien sam pełnić. Och, Boabdilu! – ciągnął dalej z przejęciem, – przyjacielu moich chłopięcych lat, zanim złe dni spadły na nas, chętnie pogrążyłbym się w ciemnych wodach tamtej rzeki, jeśli twoje ramię i umysł mogłoby mnie zastąpić pomiędzy rycerzami Granady. I zważ, że mówię to nie tylko z uwagi na naszą przyjaźń; zważ, że powierzam swoje życie w twoje ręce, nie tylko z uwagi na wierność i posłuszeństwo pojedynczemu człowiekowi, na wzór Chrześcijan, którzy oddają cześć jedynemu władcy, który jest dla nich wszystkim. Ale mówię i działam z jednego powodu, aby chronić religii moich ojców i kraj mojego urodzenia: dla tych spraw ryzykowałem moje życie w walce z wrogiem; dla tych celów uchroniłem moje

życie przed władcą mojego kraju. Granada może jeszcze ocaleć, jeśli król i poddani zjednoczą się we wspólnym celu. Granada zostanie stracona na zawsze, jeśli jej władca i poddani, zostaną w tej strasznej godzinie podzieleni. Jeśli zatem, o Boabdilu! Jestem rzeczywiście przeszkodą w tym zjednoczeniu, oddaj mnie pod miecz natychmiast, i niech moja modlitwa wzmocni imię i potęgę władcy mauretańskiej dynastii.

– Mój synu, mój synu! Czy przekonało cię to wreszcie? – wykrzyknęła królowa, z trudnością powstrzymując łzy; była ona jedną z tych natur, które łatwo popadają w szloch z bohaterskich pobudek, ale nigdy z błahych powodów czy kobiecych słabostek.

Boabdil uniósł głowę w próżnym i chwilowym zamiarze pokazania swojej dumy; jego wzrok przeskakiwał z matki na oddanego oficera. Uczucia wzmocnione żarliwą przemową Muzy wylały się nagłym, niepohamowanym potokiem i Boabdil rzucił się w ramiona Muzy.

– Wybacz mi! – powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem. – Wybacz! Jak mogłem cię tak potraktować? Tak, – ciągnął, gdy odzyskując stopniowo swoją szlachetną postawę, z której na chwilę wybiła go wstydliwa słabość, – tak, książę, twój przykład zawstydza mnie, ale i rozpala. Granada od tego dnia ma dwóch przywódców; i jeśli będę zazdrosny o ciebie, to będzie to z powodu rywalizacji, o którą nie powinieneś mnie obwiniać. Straże! Wycofać się. Mesnour! Hej, Mesnour! Ogłoś o świcie, że osobiście dokonam przeglądu wojsk na Vivarrambla. A ty, – gdy to mówił jego głos drżał a czoło pochmurniało, – ty zostań w pałacu. Odszukasz mnie o świcie a ja wydam ci dalsze rozkazy.

– Och, mój synu! Dlaczego zwlekać? – powiedziała królowa, – dlaczego się wahać? Wykonaj swoje królewskie zamiary, i…

– Zamilcz, pani, – odparł Boabdil, odzyskując zwykły sobie chłód, – i jeśli jesteś zadowolona ze swojego syna, zostaw mnie teraz samego z Muzą.

Królowa spojrzała hardo, ale w spokoju Boabdila było coś, co zmroziło jej krew i wzbudziło posłuszeństwo, które stłumiło emocje. Owinęła wokół siebie swoją powiewną szatę i powoli wyszła z pokoju.

– Muzo, – powiedział Boabdil, gdy został sam z księciem, zatrzymując zamyślone spojrzenie na ciemnej postaci oficera, - gdy w naszych młodych latach rozmawialiśmy ze sobą, czy pamiętasz, jak często te rozmowy schodziły na te poważne i tajemnicze tematy, na które mędrcy naszego ojczystego kraju kierowali swoją najwyższą uwagę? Tajemnice gwiazd, nauka o przeznaczeniu, nieopanowane poszukiwania w chmurnej kabale, która ukrywa przyszłość narodów i ludzi? Czy pamiętasz, Muzo, jak te badania moich własnych kolei losu i moich przykrości, nawet tych przykrości, które spadły na mnie w dzieciństwie - wspomnij dziwne przypadki, z powodu których nadano mi jeszcze w kołysce przydomek El Zogoybi - złowieszcze przepowiednie kapłanów i astrologów co do mojego tragicznego, ziemskiego przeznaczenia - wszystko to przyczyniło się do stworzenia w mojej duszy skłonności do podejrzeń i wycofywania się. Ty nie gardziłeś gorliwymi rozważaniami, byłeś mi wiernym towarzyszem, ale, inaczej niż ja, zawsze byłeś bardziej skłonny do działania niż do kontemplacji, a twoje najmocniejsze przekonania religijne miały zawsze największy wpływ na to, co planowałeś zrobić. Ze mną było odwrotnie; każde zdarzenie w moim życiu stawało się pożywką dla moich wczesnych uprzedzeń; i, w tych strasznych chwilach zwątpienia, stawiałem siebie i mój tron, bardziej pod strażą duchów, aniżeli ludzi. Samo to wprawiało mnie w bezczynność - opieszałość Alhambry - prowokowało podwładnych do buntów. Poniżano mnie jako tego, który został pozbawiony męskości. A ja bezmyślnie cieszyłem się, gdy wrogowie mnie otaczali, a przyjaciele opuszczali, chroniony jedynie przez urok ochronnych duchów i miecz niewidzialnego Anioła, oczekujący swojej godziny. Ty, pytałeś, dokąd to zaprowadzi. Słuchaj! Dwie

noce temu (tu król wzdrygnął się) widziałem zmarłego! Duch mojego ojca ukazał się przede mną, ale nie taki, jakiego pamiętam za życia: ponury i straszny, pełen życia i zdrowia i mocy królewskiego władcy, i zapalczywej natury - przeciwnie: blady, milczący, jak cień. A ustami, na których Azrael położył swoją siną pieczęć, ostrzegał mnie przed tobą!

Król ucichł nagle; i przyglądał się twarzy Muzy, starając się wyczytać, jaki efekt wywołały na nim jego słowa. Ale dumne i smagłe oblicze Maura nie zdradzało żadnego uczucia; nikły uśmiech politowania być może przemknął przez jego usta, ale zniknął zanim król mógł go zauważyć.

Boabdil kontynuował:

– To Pod wpływem tej przestrogi, rozkazałem cię aresztować. Zapomnijmy o tym, proszę – pozwól mi wrócić do mojej opowieści. Próbowałem rzucić się do stóp tej zjawy, ale wyśliznęła mi się z rąk: bezcielesna i niewyczuwalna. Zacząłem błagać Zmarłego, żeby przebaczył swemu nieszczęśliwemu synowi grzech buntu, synowi zbyt dotkliwie ukaranego tu na ziemi. Głos zabrzmiał powtórnie i nakazał mi zatrzymać koronę, którą odziedziczyłem, jako jedyną pokutę za przeszłość. Potem znowu zapytałem, czy godzina walki wybiła, "Nie!" – Brzmiała odpowiedź, "Och!" wykrzyknąłem, "zanim mnie opuścisz, pozostaw jakiś znak, żebym wiedział, że to nie był sen; zostaw mi znak i wiadomość, kiedy zła gwiazda Boabdila zluzuje swój fatalny wpływ, dla jego chwały i jego tronu."

"Znak i ostrzeżenie będą pozostawione w grobowej krypcie," odpowiedział duch. Potem znikł, dookoła zapanowała nieprzenikniona ciemność; a gdy zszedłem do krypty i światło lamp rozjaśniło wnętrze, ujrzałem szkielet mojego ojca, króla Granady, w królewskich szatach, tak jak był pochowany, na jego głowie tkwił królewski diadem. Miał jedną rękę nienaturalnie wzniesioną, jakby wskazywał palcem na przeciwległą ścianę, gdy spojrzałem w tamtym kierunku, ujrzałem drewnianą tarczę sło-

necznego zegara, a na tarczy słowa, jakby wypalone piekielnym ogniem:

– STRZEŻ SIĘ –
– NIE LĘKAJ SIĘ –
– WALCZ! –

Cień jego palca zatrzymał się na słowach "STRZEŻ SIĘ". Od tamtej godziny, aż do czasu, gdy ją ostatni raz widziałem, cień nie zmienił się. Muza, opowieść jest skończona; czy chcesz udać się ze mną do grobowej krypty żeby zobaczyć samemu? Żeby sprawdzić, czy godzina nadeszła?

– Królu wiernych, – powiedział Muza, – musiało to być straszne i przerażające doświadczenie. Ale niech mój przyjaciel mi wybaczy jeśli zapytam: czy byłeś sam w pokoju, czy przypadkiem Almamen ci nie towarzyszył?

– Dlaczego pytasz? – zapytał Boabdil jakby próbował uniknąć odpowiedzi, zarumienił się też lekko na twarzy.

– Obawiam się jego kłamstw, – odparł Muza; – król Chrześcijan pobił więcej wrogów podstępem aniżeli ramieniem uzbrojonym w miecz; jego szpiedzy mogą być bardziej niebezpieczni niż jego rycerstwo. Czy decyzja o uwięzieniu mnie była (wybacz, że pytam) twoją własną decyzją? Robiąc ze mnie zdrajcę, mógł wróg osiągnąć ogromną przewagę nad nami, Ferdynand może zagrozić twojej koronie bardziej skutecznie, gdy uda mu się podburzyć cię przeciwko przywódcy twojej własnej armii. Skąd, przede wszystkim, to pozostawanie w bierności? Boabdilu, każda odwleczona godzina jest ich zyskiem; a dla nas, każda godzina zwłoki oznacza pogorszenie naszej sytuacji, nie zapominaj, że Granada jest oblężona i oblężenie wcześniej czy później nas przemoże. Jeśli nie wykorzystamy nadarzającej się chwili, nasze dostawy żywności zostaną odcięte, a głód jest wrogiem, któremu cała nasza armia nie jest w stanie stawić czoła. Ten derwisz, zawołany wróżbita, mędrzec wschodu; kim on właściwie jest? To

cudzoziemiec, nawet nie znamy jego pochodzenia, ani z naszej rasy ani religii. A dziś przed świtem pojmałem go przy murach miasta, od strony hiszpańskich obozów.

– Ha! – wykrzyknął król zaskoczony, – i co powiedział?

– Niewiele więcej niż niezrozumiałe aluzje; chronił się pod twoim imieniem.

– Och! Jak śmiał? Muza, powtórz mi te aluzje.

Maur przedstawił swoją rozmowę z Almamenem, jego zatrzymanie, jego bierność w czasie bitwy i jak później wpadł w ręce Hiszpanów. Król wysłuchał wszystkiego uważnie po czym odzyskał panowanie nad sobą.

– To dziwny i tajemniczy człowiek, – powiedział po chwili milczenia. – Straże i kajdany nie powstrzymają go. Niedługo tu powróci. Ale ty, Muza, uwalniam cię od wszelkich podejrzeń, zarówno od podejrzeń żyjących, jak i przestróg zmarłych. Teraz widzę wyraźnie, mój przyjacielu, – ciągnął Boabdil z wielkodusznym zapałem, – lepiej jest stracić koronę, stracić nawet życie, niż zaufanie oddanego przyjaciela, jak ty. Chodź, – powiedział nagle, – musimy sprawdzić tę straszną tarczę słonecznego zegara; być może – patrz jak moje serce bije, gdy wypowiadam tę nadzieję, – godzina wybiła.

Rozdział 10

Pełniejszy obraz charakteru Boabdila. Muza w ogrodach swojej kochanki

Muza Ben Abil Gazan powrócił z pałacu Boabdila w nastroju zamyślonym i z przygnębieniem. Jego argumenty okazały się nieskuteczne w jednej rzeczy: nie zdołał przekonać króla do tego, żeby zlekceważył napis na tarczy słonecznego zegara, która wciąż zakazywała mu walki przeciwko Hiszpanom, i chociaż odzyskał dla siebie łaskę królewską i uniknął najgorszego to czuł, że łaska ta opiera się na naturze kapryśnej i niepewnej i pozostanie taka, dopóki jego władca będzie pozostawał uzależniony od przesądów i oszustw. Ale Muza był szlachetnym synem swojej rasy, po oczyszczeniu się z najgorszych zarzutów, jego charakter stężał, a on spojrzał nowym okiem na nieszczęścia, które spadły na jego kraj, a które tylko wzmogły jego naturalną zapalczywość. O sobie myślał mało, większość ponurych myśli poświęcał złu i katastrofie, których przyczyny dopatrywał się w utrzymującym się braku stanowczości króla, spodziewając się, że ten brak stanowczości nieuchronnie sprowadzi tragedię na muzułmańską Granadę.

"Tak dzielny, a jednak tak słaby," – myślał o królu; – "tak słaby, a jednak tak uparty; tak mądry, a jednak tak łatwowierny! Nieszczęsny Boabdilu! Gwiazdy rzeczywiście zdają się świecić na twoją zgubę, ich wpływ na twoje urodzenie niweczy wszystkie zalety i cnoty zmieniając je w niedołęstwo i błąd."

Muza - być może bardziej niż jakikolwiek inny poddany w Granadzie - umiał ocenić prawdziwy charakter monarchy; ale nawet on nie był w stanie przejrzeć wszystkich zawiłych, skrzętnie skrywanych tajemnic. Boabdil el Chico nie był przeciętnym człowiekiem; jego uczucia były gorące, był wspaniałomyślny z natury, spokojny i łagodny; choć był młodym władcą, doświadczył już boleśnie buntu poddanych i zakłamania dworu. Dodało to jego naturze popędliwości, temperamentu i skłonności do podejrzeń, obcej jego poprzednikom. Posiadał jednocześnie łatwość zdobywania się na wielkoduszność i sprawiedliwość; o ile był łatwy do urażenia, o tyle bardziej wspaniałomyślnie potrafił wybaczać. Gruntownie wykształcony we wszelkich naukach jego narodu i czasów, był - przynajmniej z zamiłowania - filozofem; i rzeczywiście jego zamiłowanie do skomplikowanych problemów, było jednym z głównych powodów, który sprawiał, że był on mało przygotowany do podjęcia jednej, stanowczej decyzji. Ale winne są temu również okoliczności towarzyszące jego narodzinom, które zraniły jego bystry i prostolinijny intelekt i sprowokowały go do ucieczki od świata, ucieczki w zawiłości mistycznej zadumy. Te zawiłości i mistycyzmy zrodziły wątpliwości, lęki i wahania człowieka, który wtłacza metafizykę w nadnaturalne wymiary, oderwane od realnego świata. Ciemne przepowiednie zgromadziły się nad jego głową; ludzie utwierdzili się w przekonaniu, że jego przyszłość skazana jest na katastrofę. Gdziekolwiek próbował przeciwstawiać się wrogim okolicznościom, zawsze jakieś przypadkowe zdarzenie, nagłe i nieprzewidywalne, niweczyło jego najbardziej energiczne wysiłki, owoce jego najbardziej genialnych zamiarów. W ten sposób, stopniowo, ponure i niosące beznadzieję chmury gromadziły się nad jego głową; ale skrycie sceptyczny względem muzułmańskiej religii i zbyt dumny i porywczy aby zrezygnować całkowicie i biernie z doktryny nieuniknionego przeznaczenia, zanurzył się w spory przeczące wpływom wrogich demonów i złowróżbnych gwiazd, podlegające nie ludzkiemu, ale duchowemu przewodnictwu.

Zgromadziwszy wokół siebie kapłanów i magów wschodniego fanatyzmu, żył w innym świecie; karmiony obietnicami fantastów a czasami zwykłych oszustów, zwodzony przez jego własne subtelne i kontemplacyjne skłonności umysłu, pomiędzy wróżbami i kabałami szukał wielkiej tajemnicy, która miała go wyzwolić z władzy nadnaturalnych przeszkód w osiągnięciu szczęścia i pozostawić mu swobodę jaką mają zwykli ludzie, swobodę aby przeciwstawić się, z równymi siłami, niebezpieczeństwom i przeciwnościom losu. W ten właśnie sposób Almamen zdobył przemożny wpływ na jego umysł, który ukształtował tak, że pomimo swojego wykształcenia Boabdil, przy podejmowaniu wszelkich decyzji, opierał się na wróżbach i kabałach, którym wierzył tak łatwo, że mógł być oszukany niemal przez każdego. Był kimś w rodzaju Hamleta: wyrósł w okresie pomyślności i spokoju, rozdając błogosławieństwa i zbierając sławę; ale był księciem, w którego życie wkroczył cień z innego świata, jego dusza zamknęła się w sobie, jego życie zostało oddzielone od życia narodu, wątpliwości i lęki zatrzymały go w miejscu, podczas gdy okoliczności wymagały aby iść dalej.

Był księciem, którego wiara w nadnaturalne przeznaczenie wyposażyła w szczególną filozofię wywołaną zjawą, a nie działaniem człowieka, i który, ze wszystkimi talentami, jakie mógł rozwinąć i ozdobić, został nagle wprowadzony w stan śmiertelnego umysłowego niezdecydowania, będącego niemal zawsze piętnem, znaczącym śmiertelnika, który pobłądził w nawiedzone regiony Nieznanego i Upiornego. Ponurość jego umysłu została jeszcze pogłębiona przez skrywane wyrzuty sumienia. Ponieważ konieczność walki o zachowanie go przy życiu, stałe zagrożenie ze strony jego własnego ojca, pchnęła go we wczesnych latach życia do buntu. W wieku dojrzałym, słabość i niewiedza, że zapalczywy król został uwięziony w Salobrena przez swojego brata, El Zagala, wspólnika Boabdila w buncie, który doprowadził w końcu do śmierci króla, stały się jego przekleństwem. Chociaż Boabdil

nie był winny temu morderstwu, został o nie oficjalnie posądzony, sam obwiniał się o przyczynienie się do śmierci. Zarzucał sobie stworzenie powodów, które do przestępstwa doprowadziły; czarna pamięć, zalegająca w zakamarkach jego świadomości, służyła wzmacnianiu jego przesądów i paraliżowaniu wszelkich wysiłków mających na celu rozwiązanie jego problemów; gdyż ze wszystkich rzeczy, które czynią człowieka marzycielem, żadna nie jest tak skuteczna, jak wyrzut sumienia oddziałujący na pogrążony w zadumie umysł.

Analizując charakter monarchy i przeczuwając upadek swojego kraju, młody bohater Granady szedł pogrążony w myślach aż jego kroki, prawie nieświadomie, zawiodły go przed dom Leili. Przeskoczył mury ogrodu jak poprzednim razem i zbliżył się do zabudowań. Dokoła panowała cisza i spokój, ale jego umówiony sygnał pozostał bez odpowiedzi, zaśpiewana szeptem piosenka nie sprowadziła wdzięcznego światła do okiennic ukochanej, żadnych miłych kroków w stronę balkonu. Przygnębiony i zasmucony odszedł. Wróciwszy do swojego domu, ułożył się na łóżku, które pomimo ogromnego zmęczenia i przygód minionego dnia, nie dało mu ukojenia w śnie.

Myślał o Leili. Tajemnica, która otaczała wybrankę jego serca, rzadkość ich spotkań i namiętny, poetycki romans realizujący jedną z głównych dróg rycerskiego życia Muzułmanina, dodały do miłości Muzy pełną namiętności głębię, która dziś, w bardziej cywilizowanych krajach, jest prawie niespotykana. Jego najbardziej przenikliwe dociekania nie były w stanie przejrzeć tajemnicy jej urodzenia i stanu. W sąsiedztwie, gdzie szukał informacji, niewiele wiedziano o mieszkańcach tego strzeżonego i odosobnionego domu; jedynym człowiekiem, którego widywano poza jego ścianami był stary służący, hebrajskiej wiary, prawdopodobnie był on przełożonym cudzoziemskich niewolników (ponieważ żaden Muzułmanin, nawet służący, nie mógł być podporządkowany poleceniom Żyda); i ponieważ wiele mówiono o

wielkich bogactwach i przepychu w domostwie, mylnie zakładano, że jest to dom jednego z mauretańskich emirów, który z uwagi na swoje funkcje, najczęściej przebywał poza miastem. To wprowadziło Muzę w błędne przekonanie, że ma do czynienia z dziewczyną z muzułmańskiej rodziny.

Gdy następnego wieczoru, i trzeciego, powracał w to samo miejsce, na próżno szukając swojej oblubienicy, jego niecierpliwość i niepokój nie mogły być dłużej powstrzymywane; postanowił pozostać na straży przed wejściem do domu w nocy i w dzień, aż w końcu spotka któregoś z domowników, kogoś, kogo będzie mógł wypytać o swoją ukochaną, a być może złotą monetą nakłoni go, aby wyświadczył mu nawet większą przysługę. Gdy z takim zamiarem krążył wokół zabudowań, dostrzegł postać wyłaniającą się z ledwo widocznych drzwi, wciśniętych w ścianę jednego z niskich skrzydeł domu. Był to starszy człowiek, zgięty wiekiem, zniedołężniały w ruchach, podpierający się na lasce; wchodząc do ogrodu, zatrzymał się na chwilę przy fontannie, najwyraźniej aby zerwać trochę kwiatów i ziół, które mógł znaleźć w jasnym świetle księżyca. Muza nieomal wystraszył się gdy zobaczył jego twarz, która przypominała raczej oblicze upiora albo wampira dopiero co powstałego z grobu, aniżeli twarz zwykłego śmiertelnika. Muza uśmiechnął się do siebie, otrząsając się z pierwszego wrażenia i szybkim, ukradkowym krokiem przemknął między drzewami, a gdy dotarł do miejsca, gdzie staruszek pochylał się, położył rękę na jego ramieniu zanim tamten zdążył go zauważyć.

Ximen – bo on to był – spojrzał wystraszony i cichy okrzyk przerażenia wyrwał się z jego ust.

– Zamilcz! – powiedział Maur, – nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Wręcz przeciwnie, mam coś dla ciebie. Jesteś starszym człowiekiem, złoto jest zawsze miłe dla starszych ludzi. – Gdy to mówił, wsunął kilka dużych monet do kieszeni Ximena, którego upiorne rysy twarzy wykrzywiły się w jeszcze bardziej upiorny

uśmiech, po czym wyseplenił bezzębnymi dziąsłami:

– Hojny młody człowiek! Szlachetny, łaskawy, wspaniały młodzieńcze! Cóż mogę dla ciebie zrobić?

– Potrzebuję twojej pomocy, – powiedział Muza, – powiedz mi, służysz właścicielowi tego wspaniałego domu. On ma córkę, Leilę, powiedz mi o niej, czy jest zdrowa?

– Wierzę, że tak, – odparł staruszek, – wierzę, że tak, szlachetny panie.

– Wierzysz! To znaczy, że nie wiesz?

– Nie wiem. Od wielu nocy nie widziałem jej, wielmożny panie, – odparł Ximen. – Opuściła Granadę, wyjechała. Tracisz czas i niszczysz swoje cenne zdrowie pośród tej nocnej rosy, jest bardzo niezdrowa, bardzo niezdrowa przy pełni księżyca.

– Wyjechała! – wykrzyknął Muza, – opuściła Granadę! Nieszczęsny! Tu masz jeszcze trochę złota, staruszku, powiedz mi coś więcej.

– Niestety! Nic więcej nie wiem, najbardziej wielmożny panie, jestem tylko służącym, nikt mi nic nie mówi.

– Kiedy wróci?

– Nie umiem powiedzieć.

– Kto jest twoim panem, powiedz? Kto jest właścicielem tego domu?

Ximen zmieszał się, rozejrzał z lękiem i niepokojem, a potem, po krótkiej przerwie, odpowiedział:

– Bogaty człowiek, wielmożny panie, Maur z Afryki, ale on też wyjechał, rzadko tu bywa; Granada nie jest tak spokojnym miejscem, jakim była dawniej. Pójdę już, jeśli łaska.

Muza zwolnił swój uchwyt dłoni, którym trzymał Ximena, a ten spojrzał na zakłopotaną twarz Maura z szelmowskim uśmiechem. Ximen był starym, zgorzkniałym człowiekiem. Miał wystarczająco dużo powodów, żeby nienawidzić ludzi, a szczególnie Muzułmanów.

– Czy to wszystko, młody rycerzu? Pożegnam cię teraz, wra-

caj do domu i prześpij się, to dobrze zrobi twoim nerwom. Bądź zdrów! Dzięki za wsparcie dla biednego, starego człowieka!

Muza nie słuchał go, stał nieruchomo przez jakiś czas, potem westchnął ciężko, jak ktoś, kto odzyskuje władzę nad sobą po trudnych wahaniach i wyszeptał półgłosem:

– Niech Allach będzie z tobą, Leila! Granada jest teraz moją jedyną panią.

Rozdział 11

Pojednanie Boabdila z narodem

Kilka dni przeminęło bez żadnych starć między Maurami i Chrześcijanami, bo zimna i trzeźwa polityka Ferdynanda, szacująca straty, jakich zaznał w ostatniej potyczce z Muzą, ogniskowała się teraz wokół zachowania rygorystycznie przestrzeganego umiarkowania i powściągania zapalczywej natury rycerstwa. Ferdynand zabronił angażowania się w jakiekolwiek potyczki, w których Maurowie zazwyczaj górowali, a sam skoncentrował się nad kontrolą wszystkich szlaków, jakimi żywność mogła być dostarczana do oblężonego miasta. Zarządził wzmocnienie fortyfikacji wokół obozu i, oczekując na atak Maurów, sam powstrzymywał się od wszelkiej akcji.

Tymczasem Almamen nie powrócił do Granady. Żadne wieści o jego losie nie dotarły do Boabdila; jego przedłużająca się nieobecność zaczęła wywierać widoczny i zbawienny wpływ na długo hamowane zapały króla. Rady Muzy, napomnienia królowej matki, entuzjazm jego kochanki, Aminy, niehamowane przez manipulacje Almamena, obudziły śpiącego w jego naturze lwa. Ale wciąż donoszono mu o szemraniu w szeregach rycerstwa i wśród podwładnych, obawiał się spisków; jego pojawienie się w Vivarrambla mogłoby stać się sygnałem do buntu. I właśnie wtedy nastąpił cały szereg fortunnych zdarzeń, które przywróciły mu zaufanie i oddanie ludzi. Jego srogi wuj, El Zagal, niegdysiejszy rywal do jego korony, którego odwaga, dojrzały wiek

i wojskowa mądrość zdobyły mu silną pozycję w mieście, został, kilka miesięcy wcześniej, pokonany przez Ferdynanda; po klęsce zrzekł się pretensji do korony i Granady, zadowolił się jałowym i zależnym od Chrześcijan księstwem. Jego klęska, w czasie gdy Boabdil cieszył się spokojem i dobrobytem, wzmogła nienawiść poddanych i wojska do króla. "Ponieważ," – jak mówili niemal jednogłośnie, "dzielny El Zagal nigdy by nie zaznał klęski, gdyby Boabdil odpowiednio wspierał jego wojska."

Niezadowolenie i gniew z powodu klęski El Zagala stały się dla Boabdila przyczyną i wymówką, aby zamknąć się w twierdzy w Alhambrze. Teraz jednakże sytuacja nagle się odmieniła. El Zagal, który pałał niepohamowaną nienawiścią do bratanka, i którego zapalczywa natura rozdrażniona została ostatnią klęską, podjął decyzję, którą przekreślił całą swoją wcześniejszą sławę sprzymierzając się z wrogiem przeciwko Boabdilowi. Zapominając o wszystkim, mając przed oczami tylko żądzę odwetu na swoim bratanku, który według niego powinien dzielić razem z nim jego klęskę, uzbroił swój lud, przekroczył granice i pojawił się na czele wybornych oddziałów w obozie hiszpańskim - jako sprzymierzeniec Ferdynanda przeciwko Granadzie. Gdy wieść rozeszła się wśród Maurów, nie sposób byłoby opisać ich gniew i wściekłość: zdrada El Zagala spowodowała natychmiastową reakcję i zwrot wojska i podwładnych do Boabdila; tłumy otoczyły Alhambrę z prośbami i płaczem; prosili króla o wybaczenie. To zdarzenie przesądziło o ostatecznym zwrocie w postawie Boabdila, który zapomniał o swoim apatycznym wahaniu. Zarządził zgromadzenie całej armii na rozległych placach Vivarrambla: a gdy o świcie pojawił się na placu w pełnym rynsztunku, z wszystkimi oznakami królewskiej władzy, z Muzą u swojego boku, sam w kwiecie wieku i dumny z tego, że znowu może poczuć się królem i bohaterem, radość tłumów nie miała granic. Całą okolicę wypełniły okrzyki: "Długie życie dla Boabdila el Chico!"

Młody władca, zwracając się do Muzy, wykrzyknął promieniując na całej twarzy:

– Godzina wybiła, przyjacielu! Nie jestem już El Zogoybi!

Rozdział 12

Leila i jej nowy wielbiciel. Portret Pierwszego Inkwizytora Hiszpanii

Gdy tak przedstawiały się sprawy w Granadzie, bieg zdarzeń naszej opowieści przenosi nas z powrotem do obozu Chrześcijan. W jednym z namiotów, ustawionych w długim szeregu rozciągającym się przed pawilonem królowej Izabeli, namiotów które przeznaczone były dla dam dworu, przebywała samotnie młoda kobieta - Leila, córka wielkiego Almamena. Wokół zapadł już wieczorny mrok, w którym widoczny był tylko zarys jej sylwetki. Ale nawet tak niewyraźny widok - przygnębiona pozycja ciała, zwieszona głowa, dłonie ułożone na kolanach - mógł wystarczyć aby ocenić melancholijną naturę zadumy, w której młoda kobieta była pogrążona.

"Ach," myślała, "na jaką próbę zostałam tu wystawiona! Gdyby mój ojciec mnie kochał, nie zostawiłby mnie tu na prześladowania, których groźba czai się w całym obozie."

Kilka wielkich i gorzkich łez popłynęło z jej oka i przemknęło prawie niezauważalnie po policzku. W tej samej chwili głęboki i melodyjny dźwięk dzwonu wezwał dowódców armii na modlitwę; Ferdynand nadawał wszystkim swoim politycznym poczynaniom religijną oprawę, a do swojej świeckiej wojny, przydawał charakteru niemal krucjaty.

– Ten dźwięk, – pomyślała Leila opuszczając wzrok na kolana, – wzywa Nazareńczyków przed ich Boga. A to przypomina

mi czego się uczyłam o moim narodzie, o uwięzionych przez wody Babilonu. Bóg zawsze pomaga opuszczonym. Och! Pomóż także mi, obroń mnie! Ty, który w dawnych czasach wspomagałeś Ruth zostawioną pośrodku łanów, który opiekowałeś się swoim wybranym narodem w czas głodu na pustyni, we wrogim kraju.

Pogrążona w swoich cichych i żarliwych modlitwach, Leila pozostawała w swoim rzewnym nastroju przez dłuższy czas. Dźwięk dzwonu ucichł; wszystko dokoła stało się wyciszone i spokojne, gdy nagle zasłona, zawieszona przy wejściu do namiotu, uniosła się i młody Hiszpan, okryty płaszczem od stóp do głowy, w długiej opończy, stanął w wejściu. Spojrzał bez słowa na klęczącą dziewczynę; gdy zaskoczona Leila uniosła się, przemówił:

– Ach, piękna dziewczyno! – powiedział próbując ująć ją za rękę, – nie odpowiadasz na moje listy, posłuchaj mnie zatem, gdy uklęknę przed tobą. Sama uczysz mnie klękać.

– Książę, – powiedziała Leila, poruszona nie starała się nawet ukryć swoich obaw, widząc zapalczywość w oczach młodego następcy tronu, – dlaczego mnie nachodzisz i niepokoisz? Czy nie jestem tu pod opieką jako zakładnik? A moje imię, godność, spokój i wszystko, co kobieta uważa za najdroższe, ma być mi odebrane pod pretekstem niegodnej twojego stanu miłości, która dla mnie jest źródłem hańby?

– Najsłodsza, – odpowiedział Don Juan z lekkim uśmiechem, – uczyłaś się w tamtym mieście zasad moralnych nieznanych muzułmańskim kobietom. Trudnych, surowych zasad twojej dumnej rasy. Pozwól mi nauczyć cię prostszej moralności i bardziej ludzkiej logiki. To żadna hańba dla chrześcijańskiego księcia uwielbiać kobietę tak piękną, jak ty; a dla kobiecej zakładniczki nie jest gwałtem jeśli Infant Hiszpanii ofiarowuje jej hołdy swojego serca. Ale nie traćmy czasu. Szpiedzy, zawistne języki i czujne oczy mnichów są wokół nas; i nie myśl sobie, że to, co robię te-

raz, robię często. O, nie. Najpiękniejsza, wysłuchaj mnie! - Tym razem udało mu się pochwycić jej dłoń, choć Leila nadaremnie usiłowała wyrwać ją z jego uchwytu. – I po cóż ta bojaźń? Czegóż mogłoby pragnąć serce kobiety, czego ja nie mógłbym dać? Powiedz tylko słowo, czarująca dziewczyno, i zabiorę cię z tego miejsca, tak nieodpowiedniego dla twoich oczu. Powinnaś pozostawać w pawilonach książęcych; powinnaś słuchać zwierzeń tego, który cię uwielbia, w ogrodach pomarańczy i róż. Z całą pewnością w mych ramionach nie będziesz tęsknić za zimnym, samotnym domem i pogańskim miastem. A jeśli twa duma, słodka dziewczyno, czyni cię głuchą na głos wszechmocnej natury, wiedz, że najznakomitsze damy Hiszpanii będą bić ci pokłony, na dworze pełnym zawiści, pokłony dla ukochanej przyszłego króla. Tej nocy – posłuchaj mnie – powiedziałem, posłuchaj przez chwilę – tej nocy zabiorę cię stąd! Musisz być moją i nieważne czy heretyk, czy niewierny, czy jakikolwiek inny wróżbita cię wychował, ani Kościół ani nawet mój ojciec, Król, nie wyrwie cię z ramion twojego kochanka.

– Pięknie powiedziane, synu największego z chrześcijańskich władców! – usłyszeli nagle głęboki głos i dominikanin, Thomas de Torquemada, stanął przed księciem.

Juan, niby rażony piorunem, zwolnił uścisk dłoni, cofnął się przerażony kilka kroków, zdając się kurczyć ze strachu, zmieszany i upokorzony, przed wzrokiem mnicha, który przypatrywał mu się poprzez gęstniejący mrok.

– Książę, – powiedział zakonnik po chwili, – nie ciebie będzie obwiniał Kościół za tę zbrodnię; twoje pobożne serce zostało omotane czarami. Otrząśnij się!

– Święty ojcze, – odparł książę głosem, w którym, pomimo lęku jaki budził w nim ten władczy i oddany religii człowiek – PIERWSZY WIELKI INKWIZYTOR HISZPANII – jego swobodny duch, nieświadomie ujawnił się z pełną mocą w na pół ukrytej drwinie, – czar oczu takich jak te, uwiódłby mądrego

syna znacznie bardziej świętego pana aniżeli Ferdynand Aragoński.

– Bluźnisz! – wykrzyknął mnich. – Bądź ostrożny, książę! Sam nie wiesz, co mówisz.

Książę zwlekał przez chwilę, a potem, jak gdyby uznał, że musi ustąpić, owinął swój płaszcz wokół siebie i wyszedł z namiotu bez słowa.

Blada i drżąca, z lękiem nie mniejszym, być może, chociaż bardziej nieokreślonym i skomplikowanym, niż ten, od którego została uwolniona, Leila stanęła twarzą w twarz z inkwizytorem.

– Usiądź, dziewczyno, – powiedział Torquemada, – chcemy z tobą porozmawiać: i jeśli cenisz swoją duszę, nie wiem nawet czy jesteś świadoma posiadania tego cennego skarbu, zważ na to, co mówię. Młoda kobieto! O ile cenisz bezpieczeństwo swojego delikatnego ciała i kobiecego uroku, odpowiedz zgodnie z prawdą na moje pytania. Człowiek, który cię tu przyprowadził, czy on rzeczywiście jest twoim ojcem? Powiedz prawdę!

– Nie mam powodów, żeby ukrywać prawdę, – odparła Leila, mdlejąc niemal ze strachu przed tym budzącym grozę człowiekiem, – tak, jest on moim jedynym rodzicem.

– A jego wiara, jego religia?

– Nigdy nie widziałam go modlącego się.

– Ach! Nigdy się nie modli! Znaczący fakt. Ale do której sekty, której wiary, sam się zalicza?

– Nie mogę wam odpowiedzieć.

– Nie możesz, a to dlaczego? Czy nie rozumiesz, że mam władzę, żeby zmusić cię do powiedzenia wszystkiego? Dziewczyno, nie bądź uparta; ratuj się, odpowiedz! Czy służy świątyni Mahometa?

– Nie, och, na pewno nie! – odpowiedziała biedna Leila gorliwie, mając nadzieję, że to będzie wystarczające dla inkwizytora. – On zapiera się, lekceważy, brzydzi się religią Maurów. Nawet bardziej niż ja sama.

– Ty zatem nie podzielasz jego nienawiści? Dobrze, ale czy w takim razie wyznaje skrycie religię chrześcijańską?

Leila zwiesiła głowę i nie odpowiedziała.

– Twoje milczenie jest bardziej wymowne niż myślisz. Ale w jakiej wierze, dziewczyno, ty zostałaś wychowana pod jego dachem?

– Nie wiem, jak ludzie nazywają tę wiarę, – odpowiedziała Leila stanowczo, – ale to jest wiara w JEDNEGO BOGA, który chroni swoich wybranych i mści się na ich wrogach! - Boga, który stworzył niebo i ziemię; który w bałwochwalczym i nieoświeconym świecie, przekazuje wiedzę o Sobie samym i Jego świętych prawach, od wiek wieków, poprzez jeden, osamotniony naród, na równinach Palestyny i nad wodami Hebronu.

– I w tej wierze zostałaś wykształcona, dziewczyno, przez swojego ojca? – powiedział zaskoczony dominikanin, który zaczął domyślać się o jakiej wierze Leila mówi. – Nie bój się więc. Pozostań ze swoim bogiem w spokoju; ale możliwe, że niedługo znowu się spotkamy.

Ostatnie słowa wypowiedział z lekkim i spokojnym uśmiechem, uśmiechem, w którym przerażone oczy i udręczone serca nierzadko dostrzegały złowieszczą zapowiedź.

Opuściwszy nieszczęsną Leilę, mnich udał się w kierunku stojącego nieopodal namiotu Ferdynanda. Ale zanim tam dotarł, jakaś nowa myśl zdawała się zagościć w głowie świętego człowieka; zmienił kierunek swojego marszu i ruszył w stronę małej kaplicy, powszechnie stawianych w katolickich krajach, pośpiesznie skleconej z drewna pośrodku małego zagajnika i nad brzegiem szemrzącej rzeczki, której wejście zwrócone było w stronę namiotu króla. Przed wejściem do zagajnika tylko jeden strażnik strzegł tego poświęconego miejsca; a odosobnienie i wyczuwalna samotność i cisza tego miejsca były wdzięcznym kontrastem dla pełnego życia otaczającego je wojskowego obozu.

Mnich wszedł do kapliczki i przyklęknął przed wizerunkiem Świętej Marii, niezgrabnie wyrzeźbionym, ale hojnie udekorowanym.

– Ach, Święta Matko! – westchnął pokornie ten potężny człowiek, – wspomóż mnie w zadaniu, które muszę wykonać. Ty wiesz, że chwała twojego błogosławionego Syna jest jedyną rzeczą, dla której żyję, chodzę i istnieję; ale czasami, niestety! Duch jest dotknięty słabością ciała. *Ora Pro Nobis*, O Matko miłosierdzia! Zaprawdę, często serce we mnie zamiera, gdy mam bronić czci twojej świętej sprawy przeciwko młodemu, ponętnemu ciału. Ale co znaczy piękno i młodość, siwe włosy i drżące kolana, w oczach Stworzyciela? Wszyscy jesteśmy tylko nędznymi robakami; nic nie jest ważne w oczach Świętej oprócz serca wypełnionego wiarą. Młodość bez wiary, starość bez pobożności, czystość bez łaski, cnota bez świętości, są tylko bardziej ohydne przez ich widoczne piękno, wybielone grobowce, błyszczące szczątki. Znam to, znam to; ale moja wiara jest silna we mnie. Wzmacnia mnie, tak, że wyrywam to; tak, żeby, przez pracowite i konsekwentne zmagania ze słabością Adama, twój sługa mógł być zmniejszony do wymiarów zwykłego sługi, do karania bezbożnych i ku chwale Kościoła.

Szloch i łzy zdławiły słowa dominikanina; rozpłaszczył się na ziemi, zaczął rwać swoje włosy, głośno sapał: opanowała go głęboka udręka. W końcu, wydobył ze swojej szaty bicz, ukryty między fałdami, złożony z kilku rzemieni, wybijanych małymi, ostrymi gwoździkami; zerwawszy z siebie sutannę i włosiennicę, którą miał zawsze na sobie, i zaczął biczować się po gołym ciele z pasją, która wkrótce pokryła zieloną murawę gęstą, ciemnoczerwoną krwią. Wyczerpanie, do którego doprowadziła ta pokuta, zdawało się przywrócić zmysły zaciętego fanatyka. Na twarzy pojawił się uśmiech, ten ból zadany ciału, wyzwolił go od udręk umysłowych i zmagań z własną słabością; gdy powstał i założył na powrót włosiennicę na pokaleczone i drżące ciało, wyszeptał:

– Teraz zostałaś zaspokojona i możesz mnie nawiedzić Matko litościwa; tak jak przez te srogości zadane nędznemu ciału, duch jest wyzwolony i ukojony, tak ty wyznaczasz wzór i naznaczasz ludzkie ciało, które ma być oszczędzone tym, którzy szukają zbawienia duszy i wiodą ziemskie plemię do twojej owczarni.

Z takimi myślami rysy twarzy Torquemady odzyskały swoją zwykłą srogość i beznamiętność; schował bicz, wciąż splamiony krwią, w fałdach sutanny na swojej piersi i ruszył w drogę do królewskiego namiotu.

Zastał Ferdynanda zagłębionego w treść raportów na temat kosztów jego wojskowych przygotowań, które właśnie otrzymał od swojego skarbnika, a które zdawały się ogromne; brew miłującego wystawność, ale też oszczędnego, króla, była mocno nachmurzona w czasie tego badania.

– Na byki z Guisando! – powiedział król z powagą, – kupuję zwycięstwo moich armii w tej świętej wojnie za niesłychanie wysoką cenę; jeśli niewierni utrzymają się jeszcze przez jakiś czas, będziemy musieli zastawić naszą aragońską ojcowiznę.

– Synu, – odparł dominikanin, – dla celów, takich jak twoje, nie wątp, że sama Opatrzność wesprze wojenne wysiłki. Ale czego się lękasz? Czy cele nie są w twoim zasięgu? Nie sam dla siebie prowadzisz wojnę, Kościół potrzebuje cię, Chrześcijanie potrzebują cię, inni władcy. Czy nie mam racji?

– Wiem, co masz na myśli ojcze, – przerwał mu król szybko, – zauważyłeś, że moje bratnie monarchie powinny wspierać mnie wojskiem i pieniędzmi. Zapewne tak. Ale są one skąpe i zazdrosne, Tomaszu; i rządzi nimi Mamona.

– Nie, nie miałem na myśli władców.

– W takim razie, – ciągnął król niecierpliwie, – próbujesz dać mi do zrozumienia, że moi rycerze i możni powinni odstąpić mi swoje skarbce i zastawić swoje posiadłości. I właśnie tak powinni zrobić; ale oni już narzekają z powodu tych drobnych udziałów, które zostali niemal zmuszeni poświęcić dla naszej chrześcijańskiej sprawy.

– I zaprawdę, – odpowiedział zakonnik, – ci szlachetni rycerze nie powinni być pozbawiani świetności, która sprawiedliwie należy się mężnym obrońcom Kościoła. Nie, posłuchaj mnie, synu, a może podsunę ci pomysł, w jaki sposób, nie przyjaciele, ale wrogowie katolickiej wiary, przyczynią się do upadku pogan. W twoich posiadłościach, zwłaszcza w tych świeżo zdobytych, w całej Andaluzji, w królestwie Cordoby, żyją ludzie niezmiernie bogaci; w ich piwnicach wykopanych w ziemi, ukrywane są świętokradcze skarby, dobra odebrane Chrześcijanom, a które teraz zużywają na swoje nikczemności. Panie, mówię o narodzie, który ukrzyżował Zbawiciela.

– Wiem o kim mówisz, wierny Tomaszu, ale powód…

– Jest tuż przed tobą. Ten zdrajca, z którym zawarłeś umowę, który przyrzekł wydać w twoje ręce Granadę, i który już następnego ranka został schwytany, gdy walczył razem z Maurami, z rękami splamionymi hiszpańską krwią, czy nie wyznał, że jego przodkowie należą do tej znienawidzonej nacji? Czy nie błagał cię, abyś zrównał jego braci z Chrześcijanami? I czy nie zostawił ci, pod fałszywym pretekstem, nierządnicy, tej samej wiary, co on, która za pomocą czarów i z udziałem samego Szatana, przywodzi do szalonej namiętności serce dziedzica najbardziej pobożnego króla?

– Ha! Ten nieposkromiony chłopak zawsze wywoła jakiś skandal! – odparł gorzko król.

– A zatem, – przekonywał Dominikanin, nie zwracając uwagi na słowa króla, – czy nie masz tu wystarczającego powodu, żeby domagać się ich majątków? Zważ na oczywisty dowód tej piekielnej konspiracji. Wyklęci ze świata, zatrudnili tego przebiegłego szpiega, aby układał się z tobą i zdobywał dla nich poparcie; realizując swe nikczemne plany, przeciwko twojemu synowi, wykorzystali te same czary, które dawniej zwiodły i doprowadziły do upadku Salomona. Uroda tej obcej kobiety uwięziła jego zmysły z zamiarem, żeby w czasie jego panowania w Hiszpanii, ich

przebiegłe rady mogły zapewnić zaspokojenie ich ambicji. Skąd wiesz, – dodał, widząc, że Ferdynand słucha z pełną napięcia uwagą, – skąd wiesz, że następnym krokiem nie będzie skryte zabójstwo, tak żeby ofiara ich manipulacji, powolny im, mógł zastąpić na tronie wielkiego sprawiedliwego Ferdynanda?

– Dalej, ojcze, – powiedział król w zamyśleniu, – twoje słowa są przekonujące, dałeś mi zaprawdę wystarczające powody, żeby gruntownie przemyśleć twoją radę, ale czy nie jest wbrew zdrowemu rozsądkowi podejrzewać o tak szeroko zakrojone manipulacje jednego człowieka, jak mu na imię, Almamen?

– Ale zdrowy rozsądek nam podpowiada, – ciągnął Torquemada, – że ten ohydny Almamen mógł działać, w tak ogromnym przedsięwzięciu, tylko będąc podjudzony przez swoich współwyznawców, i to nie tylko w Granadzie, ale w całej Andaluzji, czy nie byłoby rozsądnie, wydobyć z niego zeznania, jak również z jego córki, która pozostaje w obozie, tak, aby zdobyć pewne i niezaprzeczalne dowody, niezbędne podstawy do podjęcia decyzji, dowody które stłumią wszelkie opory, mogące pojawić się nie tylko po stronie bezbożnych, ale nawet u mniej roztropnych Chrześcijan? Nawet Królowa, którą święci niech wiecznie strzegą, zawsze miała zbyt miękkie serce dla tych innowierców, i…

– Słusznie! – wykrzyknął król po raz kolejny przerywając wywody Torquemady, – Izabela, królowa Kastylii, stoi zawsze po stronie wszystkich naszych decyzji.

– I potrzebujemy wykazać, że twoje życie i tron zostały zagrożone, że czary zostały zastosowane aby usidlić twojego królewskiego syna w namiętności do żydowskiej dziewczyny, co Kościół wciąż uważa za wystarczający powód do ekskomuniki, z całą pewnością królowa powinna wspierać nas w naszych planach, a nie oponować.

– Święty przyjacielu, – powiedział Ferdynand z zapałem, – wieczny pocieszycielu, dla chwały tego i przyszłego świata, prze-

kazujemy ci władzę niezbędną do wypełnienia tego obowiązku; zabierz się za to natychmiast; czas nagli, Granada się opiera, skarbiec pustoszeje!

– Synu, powiedziałeś wystarczająco dużo, – odpowiedział dominikanin przymykając oczy i szepcąc słowa dziękczynienia, – a więc do dzieła.

– Poczekaj jeszcze chwilę, – powiedział król z zakłopotanym obliczem, – pójdź ze mną do mojej kaplicy: dusza moja boleje i potrzebuje wsparcia w spowiedzi.

Mnich posłuchał i podczas gdy Ferdynand, którego wielkie zalety umysłu wymieszane były z głęboką wiarą w działania szatana, był władcą, który wprowadził politykę prześladowań, wierząc, że powoduje się pobożnością i dobrem Kościoła, wyznał ze łzami winowajcy poważne grzechy zaniedbanych mszy i nieodmówionych różańców, podczas gdy dominikanin upominał, strofował i uspokajał, żaden z nich, ani król, ani kapłan, nie myśleli, albo udawali, że nie myślą, o tym, że zostały jeszcze dwa grzechy do wyznania i pokuta do odbycia: grzech okrucieństwa, które sprowadziło cierpienia tortur na bliźniego, a także zachłanność, która znalazła racje do wymuszania majątku na całym narodzie.

Rozdział 13

Trybunał i magia

Była głucha noc - armia spała spokojnie - gdy czterech rycerzy należących do Świętego Bractwa (Inkwizycji), prowadząc ze sobą zakutego w kajdany człowieka, zbliżyło się w milczeniu do przestronnego namiotu stojącego nieopodal królewskiego pawilonu. Głęboki rów, solidne barykady i straże ustawione w równych odstępach, świadczyły o doniosłej roli, jaką odgrywało to pilnie strzeżone miejsce. Namiot, do którego podeszli rycerze, był większy nawet niż pawilon króla, budynek zbudowany z płótna, otoczony szerokimi murami z litego kamienia; a na jego szczycie powiewał, w jasnym świetle gwiazd, mały czarny proporzec, na którym widniał biały, szeroko-ramienny krzyż. Rycerze zatrzymali się przy wejściu, przekazali więźnia strażnikom, z którymi wymienili hasło; a potem (dając zastępstwo tym, którzy poszli dalej z więźniem) pozostali, niemi i nieruchomi, na posterunku: grobowa cisza i spartańska dyscyplina, były bowiem atrybutami *Santa Hermandada.*

Więzień, gdy zbliżył się do namiotu, zatrzymał się na chwilę, rozejrzał wokół spokojnie, jak gdyby starał się utrwalić widok w pamięci, a potem, nerwowym, ale odważnym krokiem, ruszył za strażnikami. Przeszli przez dwa pomieszczenia namiotu, słabo oświetlone i puste. Jakiś człowiek, ubrany w długą, białą szatę, z czarnym krzyżem na piersi, wyłonił się z mroku; wymienił ze strażnikami sygnały na migi i w następnej chwili Almamen,

wciąż pod silną eskortą, stanął w obszernej sali (jeśli można tak nazwać przedział w namiocie) ze ścianami obwieszonymi czarną serżą. U góry pomieszczenia znajdowało się *estrado*, albo rodzaj platformy, na której, przy długim stole, siedziało trzech zakonników; a u jego szczytu widać było spokojną i srogą twarz Tomasza Torquemady. Próg namiotu strzeżony był przez dwóch ludzi, w mundurach o kolorze i fasonie podobnym do zbroi tych rycerzy, którzy doprowadzili Almamena przed oblicze Inkwizytora, każdy z nich trzymał długą kopię, a u boku miał przewieszony miecz. Ludzie ci stanowili całą służbę i ochronę w tym ponurym i złowieszczym pomieszczeniu.

Almamen rozejrzał się a jego czoło było blade, ale oczy błyszczące, patrzył pogardliwie; a gdy napotkał wzrok dominikanina, mogło się niemal zdawać, że tych dwóch mężczyzn, każdy z nich tak wyniesiony ponad swoich rodaków za sprawą potęgi ich osobowości i siły ich wierzeń, posiadało moc, mogącą samym spojrzeniem narzucić swoją wolę i skruszyć wroga. Jednak, tak naprawdę, żaden z nich nie uznawał zwierzchności drugiego; pełna obojętności pogarda Almamena odpierana była przez chłodne, lodowate lekceważenie dominikanina.

– Więźniu, – powiedział Torquemada (który pierwszy odwrócił wzrok), – mniej wyniosła i mniej nieustępliwa postawa mogłaby poprawić twoje położenie: ale mniejsza z tym; nasz Kościół jest łagodny i miłosierny. Wezwaliśmy cię z dobroczynną i ojcowską nadzieją; bo chociaż posądzamy cię o bycie szpiegiem i zdrajcą, co niechybnie decyduje o tym, że twoje życie jest nie do ocalenia, to jednak jesteśmy skłonni odpuścić ci grzechy i oszczędzić życie jeśli okażesz skruchę i wyznasz wszystko szczerze. Oferujemy ci szansę i nadzieję, którą ludzka natura i zdrowy rozsądek nakazują zaakceptować przez wrodzoną miłość życia.

– Księże, jeśli nim jesteś naprawdę, – odparł Almamen, – wyznałem już wcześniej, gdy po raz pierwszy przyszedłem do tego obozu, przyczyny mojego zatrzymania pomiędzy wojskami

Maurów. Miłość do króla Hiszpanii wpędziła mnie w to niebezpieczeństwo. Uciekając śmierci, naraziłem się dla niego, czy więc król Hiszpanii nie powinien być moim oskarżycielem i sędzią? Jeśli jednak moja śmierć ma się teraz stać wielkoduszną nagrodą za zaofiarowane usługi najwyższej wagi, stanę tu, aby oddać swoje życie. Ale będzie to twój błąd; powiedz swemu panu, że wraz z moją śmiercią traci więcej, aniżeli straciłby tracąc trzydzieści tysięcy rycerzy.

– Ucisz to próżne gadanie, – odparł mnich-inkwizytor pogardliwie, – nie myśl sobie, że możesz tymi pustymi słowami okpić potężny umysł Ferdynanda Hiszpańskiego. Jesteś tu by bronić się przed zarzutami dużo większej wagi niż podejrzenie o zdradę króla, któremu, jak utrzymujesz, służysz. Zaprawdę, będąc niewiernym, twoją sprawą jest bronić się przed zarzutami bluźnierstwa Bogu, którego czcimy. Wyznaj prawdę: czy należysz do narodu i wyznania mojżeszowego?

Almamen ponuro zmarszczył brwi.

– Człowiek, – powiedział stanowczo, – jest sędzią ludzkich czynów, a nie ich przekonań. Nie odpowiem na twoje pytanie.

– Cóż za hardość! Mamy pod ręką środki, które złamią nawet najsilniejsze nerwy i najbardziej harde serca. Zaniechaj oporu i przyznaj się!

– Nie lękam się twoich gróźb, – powiedział Almamen, – ale jestem człowiekiem; a ponieważ chcesz znać prawdę, możesz się jej dowiedzieć bez tortur. Jestem z tego samego narodu, co Apostołowie Chrystusa, należę do rodu Izraela.

– Przyznał się, zapiszcie jego słowa. Więźniu, postąpiłeś rozsądnie; i prosimy naszego Pana, ażebyś, tak postępując, mógł uniknąć zarówno tortur, jak i śmierci. Czy w tej samej wierze została wychowana twoja córka? Odpowiadaj.

– Moja córka! Przeciwko niej nie ma żadnych oskarżeń! Na Boga Synaju i Horebu, nie ośmielisz się dotknąć włosa na tej niewinnej głowie!

– Odpowiadaj! – powtórzył zimno Inkwizytor.

– Odpowiem ci więc!. Została wychowana bez odstępstwa od religii jej ojca.

– Zapiszcie wyznanie. – powiedział dominikanin a po chwili przerwy kontynuował: – Pozostaje jeszcze kilka innych pytań; odpowiedz zgodnie z prawdą, a uratujesz życie. W twoim spisku, mającym na celu wyniesienie twoich pobratymców z Andaluzji do godności i wpływów, albo, jak sam to zręcznie ująłeś, zrównanie ich praw z prawami wyznawców naszego błogosławionego Pana Jezusa Chrystusa; czy w tym spisku (wspieranym przez siły, których natury nie przejrzymy *protege nos, beate Domine!*) mającym na celu wywołanie rozwiązłej namiętności Infanta Hiszpanii do twojej córki, powiedziałem zachowaj ciszę! Czy w tym spisku, byłeś wspierany, nakłaniany, albo podżegany przez współwyznawców z Andaluzji?

– Powstrzymaj się, księże! – wykrzyknął Almamen zapalczywie, – mówisz o moim dziecku. Czy dobrze usłyszałem? Wymieniasz je w oskarżeniu króla i szlachetnego rycerza, czy ona, och! Odpowiedz mi, zaklinam cię, czy została znieważona rozwiązłymi zalotami jednego z królewskich krewnych? Odpowiedz! Bez względu na moje pochodzenie, jestem też ojcem i mam ojcowskie uczucia!

– Ta udawana namiętność nie oszuka nas, – powiedział dominikanin, który sam żyjąc w celibacie, być może nie czuł siły rodzicielskich uczuć tak mocno jak Almamen. – Odpowiedz na pytanie, które ci postawiono: wymień nazwiska wspólników.

– Powiedziałem ci wszystko. Ty odmówiłeś mi odpowiedzi na jedno pytanie. Gardzę tobą i odmawiam odpowiedzi: moje usta pozostaną zamknięte.

Wielki Inkwizytor spojrzał na swoich towarzyszy i wzniósł rękę. Jego asystenci zaczęli między sobą szeptać; jeden z nich powstał i zniknął za zasłoną w tylnej części namiotu. Zaraz potem kotary rozsunęły się i więzień ujrzał wnętrze pomieszcze-

nia, ze ścianami obwieszonymi różnorodnymi narzędziami, których same kształty zdradzały ich przeznaczenie; a przy dużym, drewnianym kole, ustawionym pośrodku tej strasznej izby, stała wysoka i przerażająca postać mężczyzny ubranego w surdut bez rękawów, który patrzył na więźnia wzrokiem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

Almamen spojrzał na to budzące grozę pomieszczenie z niewzruszonym spokojem. Strażnicy trzymający wartę przy wejściu do namiotu zbliżyli się: odpięli kajdany z jego nóg i rąk i poprowadzili go w kierunku miejsca kaźni.

Almamen nagle zatrzymał się.

– Księże, – powiedział głosem jakby pokorniejszym niż do tej pory, – wiadomości, które mi obwieściłeś, dotyczące mojej jedynej córki zadziwiły i oszołomiły mnie na chwilę. Daj mi trochę więcej czasu a odzyskam równowagę i odpowiem bez przymusu na wszystkie twoje pytania. Racz je zadać jeszcze raz.

Dominikanin, którego srogość w stosunku do innych zdawała mu się być usprawiedliwiona jego niewrażliwością na lęk i pogardą dla bólu fizycznego, uśmiechnął się z gorzkim lekceważeniem na widok słabości i skruchy więźnia: ale, jako że nie czerpał żadnej osobistej satysfakcji z torturowania więźniów (nie poddawał nikogo torturom wyłącznie dla samych tortur), była to tylko metoda jego pracy, metoda, która, stosowana zbyt często, pozbawiła go zwykłej ludzkiej wrażliwości, nakazał strażom odstąpić od Almamena i odpowiedział głosem nienaturalnie łagodnym i uprzejmym, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Więźniu, dajemy ci ostatnią szansę, a także żeby oszczędzić nam samym tych okrutnych widoków i krzyków pokutnika. Niebo widzi, że chętnie zrezygnujemy z przesłuchania, którego powinieneś być przedmiotem z uwagi na twoją hardość i upór. Jeśli wyzbyłeś się oporów, odpocznij więc, odetchnij w spokoju, pozbieraj swoje myśli. Niech trzy minuty ci wystarczą, aby rozważyć swoje odpowiedzi, zanim powtórzymy ci pytania. Ale potem, strzeż się zakpić z powagi Trybunału!

– Trzy minuty wystarczą, dziękuję, – powiedział Almamen z nutą udawanej wdzięczności w głosie. Gdy to powiedział, ukrył twarz na piersi, pomiędzy fałdami swojej długiej szaty. Ledwo minęła połowa przypisanego czasu, odsłonił swoją twarz, a potem wyprostował się i odrzucił do tyłu okrywający go płaszcz. Dominikanin wydał z siebie głośny okrzyk prerażenia; strażnicy cofnęli się w strachu. Nienaturalna zmiana zaszła bowiem w postaci ich więźnia; zdawał się stać między nimi dosłownie ogarnięty ogniem; płomienie buchały z jego ust, pokrywały jego długie włosy, i osiągając najżywszą barwę, przetaczały się na jego ramiona jak ogniste pierścienie na płonącej żagwi: jego piersi i ramiona były krwisto czerwone, tak jak jego dumne czoło i wypięta pierś; a gdy na jedną chwilę napotkał drżący wzrok oszołomionych widokiem sędziów, zdawał się potwierdzać wszystkie zabobonne wierzenia tych czasów, bo nie był on już wystraszonym jeńcem, ale jakby potężnym demonem w pełnej mocy swojej tajemnej magii.

Torquemada był pierwszym, który odzyskał władzę nad sobą.

– Pojmać tego czarownika! – wykrzyknął, jednak żaden ze strażników nie poruszył się. Zanim okrzyk wybrzmiał na ustach inkwizytora, Almamen wyjął ukrytą na piersi fiolkę, którą rzucił na ziemię, szkło roztrzaskało się na tysiące kawałków a po klepisku rozszedł się gęsty dym, który uniósł się i rozprzestrzenił w całym pomieszczeniu, gęstniał, ciemniał, zdawało się, że nagle zapadła ciemna noc; światło lamp było za słabe aby ją przeniknąć.

Pogrążona w płomieniach, które stopniowo zanikały, postać Almamena stawała się coraz ciemniejsza i coraz mniej widoczna, aż zniknął zupełnie w tej czarnej mgle. Ślepota zdawała się ogarnąć wszystkich obecnych. Zapadła śmiertelna cisza, przerwana nagle krzykiem i jękiem strażników, a gdy po kilku minutach ciemna chmura zaczęła powoli ustępować, Almamena nie było. Jeden ze strażników leżał na podłodze w kałuży krwi; unieśli

go; próbował wykonać rozkazy Dominikanina i pochwycić więźnia, ale odebrał śmiertelną ranę. Zmarł, jak tylko zdążył powiedzieć, co się stało. W zamieszaniu i przerażeniu nikt nie zwrócił uwagi, że więzień zdołał pozbawić umierającego strażnika jego długiego płaszcza; bardzo realny dowód na to, że obawiał się, że jego magia, która wywołała takie przerażenie w namiocie, może nie wystarczyć, aby wydostać się z obozu bez pomocy bardziej naturalnych środków.

– Szatan był pomiędzy nami! – wykrzyknął dominikanin, bogobojnie padając na kolana, – módlmy się!

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział 14

Izabela i Leila

W czasie, gdy przed trybunałem Torquemady rozgrywała się przedstawiona scena, Leila, nękana najgorszymi przeczuciami, które, z uwagi na jej łagodną naturę i dobre wychowanie, były dla niej prawdziwą męką, została wezwana przed oblicze królowej. Ta mądra i wielkoduszna królowa, z pełną zalet naturą i wadami wynikającymi wyłącznie z czasów, w których żyła, nie była, w rzeczy samej, wolna od religijnej żarliwości i pewnej dozy nietolerancji właściwej jej małżonkowi; ale nawet jeśli potrafiła wytłumaczyć polityczne decyzje religijnymi dogmatami, jej serce skłaniało się ku litości i współczuciu; jej odosobniony często głos przeciwstawiał się zapalczywej gorliwości Torquemady i często łagodził cierpienia nieszczęśnika, który padł ofiarą podejrzeń o czary. Miała ona również, w swoim silnym poczuciu sprawiedliwości, także rodzinne uczucia; często, gdy nie była w stanie ocalić oskarżonego, starała się przynajmniej, aby konsekwencje przypisywanych mu zbrodni, nie spadały na niewinnych członków jego rodziny.

W czasie pomiędzy rozmową z Ferdynandem a sądem nad Almamenem, dominikanin rozmawiał z królową, której przedstawił, w odpowiednim świetle, nie tylko zdradę, jakiej dopuścił się Almamen, ale też konsekwencje bezbożnej namiętności, jaką jej syn zapałał do Leili. W owych czasach, jakiekolwiek powiązania chrześcijańskiego rycerza z Izraelitami były traktowane jako

ciężki grzech, ciężki do odpuszczenia; Izabela natychmiast zrozumiała całą grozę błędu jej syna, ale podeszła do problemu w sposób naturalny dla pobożnej matki i dumnej królowej. Pomimo nalegań i najsilniejszych argumentów Torquemady, nie udało mu się nakłonić jej do zaakceptowania zamiaru postawienia Leili przed Trybunałem Inkwizycji; ten straszny sąd, dopiero niedawno założony, nie śmiał, bez zgody królowej, stawiać zarzutów osobie, posiadającej tak nieoczekiwane poparcie władczyni.

– Nie obawiaj się, ojcze, – powiedziała Izabela z pełnym spokojem, – osobiście zbadam o tę dziewczynę; postaram się uniemożliwić jej jakąkolwiek okazję na uwodzenie, "albo bycie uwiedzioną przez tego niewdzięcznego chłopaka" - dodała w myślach. - Została tu pozostawiona pod opieką króla i moją własną jako zakładnik i dowód zaufania; zgodziliśmy się podjąć tej opieki i zagwarantowaliśmy jej bezpieczeństwo, więc nasz królewski honor wymaga, aby dziewczyna pozostała bezpieczna. Niech mnie Niebo chroni przed zaprzeczeniem, że jej ojciec używa czarów, pochodzących prosto od Szatana; ale obawiam się, znając fantazję Juana, że dziewczyna, która zdaje się niewinna jakiejkolwiek magii, może być bardziej narażona na działanie grzechu, aniżeli sama zgrzeszyć: a poza tym mój syn jest, bez wątpienia zbyt młody aby być świadomym wszystkich konsekwencji swoich czynów; porozmawiam z nim i wytłumaczę mu jego błąd i niebezpieczeństwo, jakie się za tym kryje, i mam nadzieję, że ta nauka wyleczy go z namiętności. Kręcisz głową, ojcze; ale, powtórzę, postąpię w tej sprawie tak, jak wymaga tego nasza królewska racja stanu. Teraz odejdź, dobry Tomaszu. Władamy już tak długo, że nie należy wątpić w naszą moc wymuszenia posłuchu na jednej, młodej dziewczynie.

Królowa wyciągnęła rękę do mnicha z uśmiechem tak ujmującym w swojej dostojności, że zmiękczyłby on nawet najtwardsze serce; wyraźnie niechętnie, szepcząc modlitwy, aby jej rady okazały się słuszne, Torquemada opuścił namiot królowej.

“Biedne dziecko!” – Myślała Izabela, – “delikatne dłonie i krucha postać, nie są za dobrze traktowane pod surową ręką tego mnicha. Wygląda na potulną, a jej twarz ma w sobie tę miękkość typową dla naszej płci; bez wątpienia łagodnymi metodami, może być ona przekonana do odrzucenia swojej błędnej wiary; a cień jednego z tych świętych klasztorów, skutecznie ukryje ją przed rozpustnym spojrzeniem mojego syna i żelazną wolą Inkwizytora. Porozmawiam z nią.”

Gdy Leila weszła do pawilonu królowej, Izabela, która była sama, przypatrywała się jej drżącym krokom wzrokiem pełnym współczucia; a gdy dziewczyna, posłuszna życzeniu królowej, odsłoniła swój welon, bladość jej policzków i zaczerwienione oczy od niedawno wylanych łez, przemówiły do serca Izabeli dużo silniej, niż wszystkie wyrachowane zarzuty Wielkiego Inkwizytora – Tomasa Torquemady.

– Dziewczyno, – powiedziała Izabela ośmielającym tonem, – słyszałam, że zostałaś nieodpowiednio potraktowana przez bezmyślne kaprysy młodego księcia. Nie myśl o tym więcej, proszę. Ale, jeśli zgodzisz się, i wierzę mocno, że tak się stanie, przystać chętnie na moją decyzję, którą podejmuję aby uchronić cię przed powtórzeniem się takich sytuacji, twoje dobre imię więcej nie zostanie narażone na niebezpieczeństwo.

– Ach, Pani! – powiedziała Leila, przyklękając przed królową, – najradośniej i najwdzięczniej jak umiem, przyjmę jakikolwiek azyl, który zapewni mi samotność i spokój.

– Azyl, do którego mam zamiar skierować twoje kroki, – odpowiedziała Izabela łagodnie, – jest rzeczywiście miejscem, gdzie samotność jest święta, a spokój niebiański. A więc nie będziesz zwlekać z opuszczeniem obozu, bez wiedzy księcia i zanim powtórnie zapragnie się z tobą widzieć?

– Zwlekać, Pani? Ach, wręcz przeciwnie, jak mogłabym wyrazić moją wdzięczność?

“A więc nie pomyliłam się w swojej ocenie,” – myślała królowa, kontynuując rozmowę:

– Niech tak będzie; nie będziemy czekać kolejnej nocy. Wyjdź tamtędy, przez wewnętrzny namiot; powóz będzie zaraz przygotowany dla ciebie; jeszcze przed północą będziesz spać bezpiecznie pod dachem jednego z najdzielniejszych rycerzy i najszlachetniejszej damy, jakimi nasze królestwo może się poszczycić. Zabierzesz ze sobą list, który odda cię prosto pod opiekę twojej gospodyni, poznasz jej ujmującą i opiekuńczą naturę. I, ach, dziewczyno! – dodała królowa z życzliwym ciepłem, – nie ukrywaj swojego serca przed nią, słuchaj z pokorą jej łagodnych poleceń; a może Bóg i Jego Syn wesprą rady tej zacnej damy, tak żeby jedna zbłąkana owieczka dołączyła do Nieśmiertelnego Stada!

Leila słuchała zaciekawiona, nic nie odpowiedziała; ale gdy dotarła do wejścia do wewnętrznego namiotu, zatrzymała się nagle i powiedziała:

– Wybacz mi, najjaśniejsza pani, ale czy mogę zadać ci pytanie?

– Pytaj, nie lękaj się.

– Mój ojciec, czy coś o nim wiadomo? Obiecał, że nim upłynie pięć dni, zabierze mnie stąd; ale, niestety! Pięć dni minęło, a ja wciąż pozostaję sama pomiędzy obcymi.

– Nieszczęsne dziecko! – wyszeptała królowa do siebie, – nie wiesz nic o jego zdradzie, ani o jego losie, ale skąd miałabyś wiedzieć? Nieświadoma tego, co ją czeka, i tak samo nieświadoma tego, co może ją tutaj spotkać. Bądź dobrej myśli, dziewczyno, – odparła królowa na głos, – Bez wątpienia były jakieś ważne powody, które uniemożliwiły twojemu ojcu spotkanie się z tobą. Ale możesz być pewna, że nie zabraknie ci przyjaciół w obcym domu.

– Ach, szlachetna królowo, wybacz mi, ale jeszcze jedno! Przychodził do mnie, parę razy, pewien srogi, starszy człowiek, któ-

rego głos mroził krew w moich żyłach; pytał mnie o mojego ojca, i w taki sposób, w jaki wróg próbuje wydobyć z jeńca najbardziej skryte tajemnice. Ten człowiek, czy znasz go, łaskawa Pani, czy on może skrzywdzić mego ojca?

– Bądź spokojna, Leilo. Człowiek, z którym rozmawiałaś, jest kapłanem Boga, i niewinni nie mają powodów, aby się obawiać jego czcigodnej gorliwości. Jeśli chodzi o ciebie, powiem jeszcze raz, bądź dobrej myśli; w domu, do którego cię posyłam, nie zobaczysz go nigdy więcej. Uspokój się, biedne dziecko, nie płacz: miej najlepsze nadzieje; naszym obowiązkiem jest znosić nasz los, chowając nadzieję na życie przyszłe.

Królowa, której nie obce były rodzinne nieszczęścia, a przepych w jakim żyła nie mógł ich zmniejszyć, ani w jej mocy było je pokonać, przemawiała z takim proroczym smutkiem, który jeszcze bardziej poruszył serce, zmiękczone już i tak jej uprzejmością, łagodną mową i spojrzeniem. Powodowana impulsem natury nigdy nie uczonej surowych ceremoniałów tego poważnego dworu, Leila nagle podeszła do królowej i, padając na kolana, chwyciła rękę swojej protektorki i ucałowała ją żarliwie rosząc ją łzami.

– Czy ty, Pani, też jesteś nieszczęśliwa? – zapytała nagle, – będę się za ciebie modlić!

Królowa, zaskoczona i poruszona tym wybuchem niewinnych emocji, mogła jedynie (zgodnie z ludzką naturą) odrzucić jej kastylijskie uprzedzenia, pozostawiła rękę w pełnym wdzięczności uścisku Leili; kładąc drugą na czarnych lokach klęczącej dziewczyny, powiedziała łagodnie:

– Niech twoje modlitwy pomogą nam obu, bo twój i mój Bog, może być tym samym Bogiem. Bądź błogosławiona, dziewczyno! Ja jestem matką; ty jesteś bez matki, bądź błogosławiona!

Rozdział 15

Nawracanie Leili. Opowieść przechodzi ze spraw zewnętrznych na wewnętrzne

Niemal w tej samej godzinie, niemal w tym samym momencie, gdy Almamen dokonał swojej tajemniczej ucieczki z namiotu Inkwizycji, pochód towarzyszący powozowi, który wiózł Leilę, pochód składający się z kilku wybranych rycerzy z gwardii przybocznej Izabeli, opuściwszy obóz i przejechawszy wzdłuż tej części górskiego wąwozu, która pozostawała w posiadaniu Hiszpanów, wspiąwszy się na wysokie i strome zbocze, zatrzymał się przed bramą silnie ufortyfikowanego zamczyska rozsławionego w kronikach tej pamiętnej wojny. Chrapliwe wezwanie wartowników, zgrzytanie ciężkich zasuw, stuk kopyt na twardo ubitej ziemi dziedzińca i migocące światła pochodni - oświetlających srogie i brodate oblicza i dodające nieco ciepła podporom obronnym i otworom strzelniczym twierdzy widocznym w świetle księżyca - wszystko to ostatecznie wyrwało Leilę z odrętwienia przypominającego letarg, w którym zmęczenie i przeżycia minionego dnia znieczuliły jej zmysły. Stary sługa poprowadził ją poprzez posępne korytarze (jakże odmienne od wspaniałych pokojów i fantazyjnych arkad jej mauretańskiego domu), do ogromnej gotyckiej komnaty, obwieszonej arrasami z flandryjskich warsztatów. Po kilku chwilach, grupa dziewcząt, nagle wyrwanych ze snu, zgromadziła się wokół niej okazując poufałość, której prawdopodobnie nie posiadałyby, gdyby pochodzenie i wiara Leili

były im znane. Przyglądały się onieśmielone jej niezwykłej urodzie skrywanej pod zagranicznymi szatami, uznając nowo przybyłą za wspaniały dodatek do niezbyt licznego towarzystwa zamieszkującego zamek.

W innych okolicznościach, obcość wszystkiego, co zobaczyła i przygnębiający mrok pokoju, do którego została zaprowadzona, mógłby podłamać ducha dziewczyny, którą przeznaczenie tak nagle wyrwało z najgłębszego spokoju i dotknęło bolesnymi doświadczeniami. Ale wszystkie te zmiany były ucieczką od gwaru rycerskiego obozu, od nagabywań księcia, od zatrważającego głosu i postaci Torquemady; Leila przyglądała się wszystkiemu dookoła z poczuciem, że królowa dotrzymała swojej obietnicy szczerze, i że posłała Leilę, jak obiecała, do bezpiecznego i spokojnego miejsca.

Późna pora sprawiła, że nie miała czasu przyjrzeć się bliżej nowemu miejscu. Minęło dużo czasu, od chwili gdy jej oczy ogarnął sen, a gdy obudziła się, południowe promienie słońca wpadały już do pokoju przez okratowane okna. Przy jej łóżku siedziała zaawansowana wiekiem kobieta o łagodnej i sympatycznej twarzy, której uroku dodawał wyraz spokoju i przyrodzonej jej melancholii. Była ubrana na czarno; ale piękne perły, którymi obszyte były rękawy i przód szaty, wysadzany klejnotami krzyż, zawieszony na grubym złotym łańcuchu i, co więcej, pełen godności i władczy ton głosu, był, nawet dla niedoświadczonego oka Leili, oznaką jej wysokiej pozycji w tym miejscu.

– Długo spałaś, córko, – powiedziała dama z dobrotliwym uśmiechem; – mam nadzieję, że ten sen przywrócił ci siły! Przyjmij moje wyrazy żalu, że nie wiedziałam nic, aż do dzisiejszego ranka, o twoim przybyciu, ponieważ powinnam być pierwszą, aby wypełnić rozkazy mojej królowej.

Była to Donna Inez de Quexada a w jej spojrzeniu, bardziej nawet niż w słowach, kryła się uspokajająca i czuła troska, która okazała się kojącym balsamem dla duszy Leili; był ku temu do-

bry powód, znalazła się ona bowiem pod opieką jedynej być może damy w Hiszpanii, czystej chrześcijańskiej krwi, która nie pogardzała, ani nie złorzeczyła narodowi Leili. Donna Inez sama miała dług wdzięczności u pewnego Żyda, a wdzięczność tę przelała na całą rasę.

Wiele lat przed zdarzeniami, o których traktuje nasza opowieść, wraz z mężem przebywali w Neapolu, w owych czasach ściśle politycznie związanym z Hiszpanią, z pewną sekretną państwową misją. Quexada mieli tylko jednego syna, młodzieńca o nieokiełznanej, awanturniczej naturze, którego duch przygody pognał na Wschód. W jednym z tych niespokojnych państw, młody Quexada stał się jeńcem bandy rzezimieszków ale został wyratowany z rąk tych rozbójników przez karawanę należącą do pewnego zamożnego kupca. Z cudzoziemcem tym zawarł on tak bliską znajomość, jaką wędrujący i młodzi ludzie obdarzeni romantyczną naturą często między sobą zawierają, złączeni wspólną pasją do podróży i przygody. Wkrótce, młody Quexada odkrył, że jego wybawiciel jest Żydem; z powszechnym dla jego urodzenia i czasów uprzedzeniem, odwrócił się od przyjaźni, którą zdobył, i uchylając się od długu wdzięczności, który był winien kupcowi, opuścił swojego kompana. Zmęczony w końcu podróżami, wyruszył w drogę powrotną do domu, ale dopadła go nagła i męcząca gorączka, którą przez omyłkę wzięto za zarazę; wszyscy, chroniąc się przed złym powietrzem, uciekli, pozostawiając go na pewną śmierć. Jakiś człowiek znalazł go i rozpoznał jego chorobę, przez pewien czas zajmował się nim, opiekował a znając głębsze tajemnice sztuki medycznej, przywrócił wreszcie do życia i zdrowia; był to ten sam kupiec, który wcześniej uratował go przed zbójcami. To drugie, jeszcze bardziej nieocenione zobowiązanie sprawiło, że uprzedzenia Hiszpana zniknęły: rozwinął on w sobie głębokie i pełne wdzięczności przywiązanie do Izraelity; przez pewien czas podróżowali razem aż pewnego dnia znaleźli się w Neapolu. Tam młody Quexada trafił na swo-

ich rodziców. Inez zachowała żywe wspomnienie przysługi wyświadczonej jej jedynemu synowi, a wrażenie zostało spotęgowane nie tylko przez powierzchowność Izraelity, który był pełen godności i stateczności, nie przypominał swoich, często nazbyt służalczych i przypochlebiających się rodaków, ale także dzięki wyjątkowej urodzie i łagodnemu usposobieniu jego dopiero co poślubionej małżonki, kobiety jego wiary, pochodzącej z Jerozolimy, z tego świętego miasta, drogiego zarówno Chrześcijanom, jak i wyznawcom Mojżesza.

Młody Quexada nie przeżył długo swojego powrotu: jego zdrowie załamało się po długiej podróży i wskutek osłabienia po przebytej chorobie. Na łożu śmierci, wybłagał na swojej matce, która nie potrafiła odmówić prośbie swojego jedynego syna, a której religijne uprzedzenia były mniej nieustępliwe niż uprzedzenia jej małżonka, aby nigdy nie zapomniała przysług, jakie Izraelita wyświadczył mu; aby odwdzięczyła się swoim wpływem na dworze, o co prosił sam Izraelita, i żeby nigdy nie odwracała się od sposobności wsparcia pomocą lub złagodzenia nędzy, w którą fanatyzm czasów niejednokrotnie wpędzał nieszczęsny naród jego wybawcy.

Donna Inez wiernie dochowywała obietnicy danej ostatniemu potomkowi jej domu; i, poprzez wpływy i dobre imię jej męża i swoje własne kontakty, a jeszcze bardziej poprzez jej przyjaźń z wczesnych lat z Izabelą, była w stanie, po powrocie do Hiszpanii, zapobiec wielu prześladowaniom i wielu fałszywym oskarżeniom, dla których powodem była zamożność wyznawców Mojżesza, prześladowań, dla których odmienna wiara była często jedynym pretekstem.

Od tego dnia, z uczuciem naturalnym dla gorliwej katoliczki, uczciwie zaskarbiając sobie zaufanie u przedstawicieli żydowskiego narodu, dokładała również starań, aby zaoferować swoim podopiecznym coś więcej niż tylko wsparcie i ochronę w życiu codziennym. Zdołała, łagodnymi metodami, doprowadzić do wielu

religijnych nawróceń, których miecz nie był w stanie wymusić; okazała się ona bardzo utalentowana w tym kierunku. Donna Inez zyskała w ten sposób ogromną sławę za swoje oddanie sprawom religijnym; Izabela miała to wszystko na uwadze, gdy powierzała dziewczynę w ręce Donny Inez w przekonaniu, że nie znajdzie lepszej opieki dla Leili. Donna Inez, nieświadoma czyją córką jest Leila, zapewni niewinnej dziewczynie bezpieczne miejsce do życia, a dodatkowo zadba o jej zbawienie. Było to zaiste delikatne i niebezpieczne przedsięwzięcie, bo jej zapalczywy ojciec, dla którego jedyna córka znaczyła nawet więcej niż wiara, był zdecydowany na bezgraniczne poświęcenia.

Drobnymi kroczkami Donna Inez podkopywała raczej aniżeli szturmowała ideologiczną fortecę, którą starała się obsadzać swoimi duchowymi sprzymierzeńcami; w częstych rozmowach, które prowadziła z Leilą, nie mogła nadziwić się prostą i wzniosłą naturą przekonań, którym wypowiedziała wojnę. A wróg jej nie mówił żadnym znanym jej językiem. Donna Inez była szczerze zakłopotana rozwiązując puzzle religijnych powikłań, jakie znalazła w głowie młodej dziewczyny. Ponieważ, czy to z pragnienia zachowania Leili, tak jak to było tylko możliwe, przed kontaktami z innymi ludźmi, nawet z wyznawcami tej samej religii, których część (zepsutą przez prześladowania i konfiskaty majątków, co prowadziło do skąpstwa i podejrzliwości) jej ojciec traktował z wyniosłą choć skrywaną odrazą, czy to z powodu jego osobistej filozofii, w której interpretował tradycyjne reguły wiary odmiennie niż reszta współwyznawców, religijne przekonania, które Donna Inez odkryła w sercu Leili różniły się od tych, z którymi wcześniej spotkała się między swoimi prozelitami. Wiara Leili była mniej doczesna i mniej materialna - była bardziej rodzajem pasji aniżeli metafizycznego teizmu, pasji, która wyposażała jedynego Boga w iście ludzkie sympatie i przymioty, a jednak ciągle uznająca w Nim Augusta i wszechmocnego Boga Stworzyciela, Ojca Wszechświata, jedynego Opiekuna jej rozbitego, wybranego narodu.

Uwaga Donny Inez skoncentrowała się na tym srogim i nieugiętym Bogu hebrajskiego narodu, na jego dziełach, które dla chrześcijańskiej arystokratki zdawały się szorstkie i czasami bezlitosne, bo nauka Chrystusa tak pięknie je zmiękczyła i majestatycznie wysubtelniła. Fragmenty, gdy Jego boska miłość strzegła swojego wybranego narodu, cierpliwie znosząc ich wykroczenia przeciw wierze, musiały zajmować pierwszy plan. Jej umysł budował swoje przekonania z pomocą tego tajemniczego i uroczystego pośrednictwa, które w małym i odosobnionym skrawku ziemi, pomiędzy ludźmi dużo mniej cywilizowanymi i filozoficznie nastawionymi niż oni sami, utrzymało czysty i podniosły teizm, gardzący wszelkimi przedstawieniami na niebie czy ziemi. Podczas gdy cały świat zewnętrzny zginał się w ukłonach, czcząc niezliczone bóstwa i adorując rzeźbione wyobrażenia bożków.

Leila niewiele wiedziała o surowych, tradycyjnych dogmatach wiary jej rodaków, żyła w zbyt dużym odosobnieniu, aby poznać wszystkie reguły. Żydówka z urodzenia, była bardziej deistką w swoich religijnych uczuciach; bliską tej zapomnianej religii, którą ateńskie szkoły mogłyby wpajać obdarzonym wyobraźnią uczniom Platona, a które posiadały jeden słaby punkt: rzucały one zbyt mroczny cień na nadzieje przyszłego życia. Nie zaprzeczając całkowicie Saduceuszom, Almamen posiadał prawdopodobnie dużą dozę spokojnego sceptycyzmu, właściwego wielu sektom wczesnego judaizmu, które wciąż jeszcze żyły wokół mądrości tych, którzy odrzucili doktrynę Objawienia. Chociaż nigdy nie udało mu się do końca oczyścić serce jego córki z niewyraźnych nadziei związanych z Przyszłym Światem, to robił wszystko, żeby odwrócić jej uwagę na inne zagadnienia. W książkach, które dawał jej do czytania, a które tak zdecydowanie głosiły zjednoczenie Najwyższych Mocy, nie było tego kategorycznego i jednoznacznego zapewnienia, że po śmierci pozostaje tylko "mogiła, gdzie wszystkie myśli zostają zapomniane", książki te wciąż pozostawiały wiele niedomówień i niejasności w

edukacji, jaką Leila odebrała od swojego ojca. Możliwe, że podzielając przekonania o wyższości mężczyzny nad kobietą, przekonania utrzymujące się od najwcześniejszych okresów dziejów na Bliskim Wschodzie, Almamen żył w przeświadczeniu, że to, co stanie się jego udziałem - wszelkie męczeństwa, jakim będzie musiał się poświęcić dla swojej wiary - nie staną się automatycznie męczeństwami jego córki.

W ten sposób Leila została wychowana, rozwijając w sobie wszelkie piękne zalety charakteru, pełnego radości, wolnego od trosk, ale pozbawionego głębszej refleksji, bez najmniejszego nawet cienia przypuszczenia *Wiecznego Ognia*, na który ziemski wędrowiec może być skazany.

I właśnie ten słaby punkt: nieświadomość kontynuacji życia na drugim świecie, bystre oko Donny Inez postrzegło jako największa szansa dla jej religijnych planów: postanowiła oświecić ją nowymi perspektywami - któż bowiem nie chciałby wierzyć - jeśli byłby wolny w wyborze swoich wierzeń - w przyszłe, lepsze życie? Ciekawość i zainteresowanie Leili zaczęło w naturalny sposób wzrastać: chętnie słuchała swojej nowej mentorki, chętnie skłaniała się do wniosków, które wpajała jej ona nie przez groźbę, ale łagodną i zręczną perswazją. Wolna od nieustępliwych skojarzeń, sekciarskich uprzedzeń i nieobeznana z osobliwymi tradycjami i dogmatami uczonych jej rasy, Leila nie widziała niczego gorszącego w naukach, które zdawały się być niczym więcej jak kontynuacją dawnych nauk jej ojca. Cierpienia Mesjasza, Jego podniosła czystość, Jego łagodne miłosierdzie, wszystko silnie przemawiało do młodego kobiecego serca; Jego nauki zapuszczały korzenie, oczarowując jej umysł: a w Niebie, które Boskość otwierała dla wszystkich - dla próżnych i dumnych, dla prześladowanych i dla nawróconych oprawców, dla kobiet na równi z władcami - odnalazła młoda dziewczyna zaciszną przystań dla wszystkich wątpliwości, jakie ją dręczyły, i dla wszystkich lęków, które od dawna zasępiały nie tylko jej oblicze, ale, w jej oczach, oblicze całego świata.

Dom jej ojca zszedł na dalszy plan w jej myślach, z czasem zniknął niemal zupełnie; a głęboka i szczera miłość z jej młodości - miłość do Muzy, miłość do niewiernego, powoli zardzewiała, niemożliwa do oparcia się nowej filozofii, która uczyła, że cierpienia są krótkotrwałe, a szczęśliwość wieczna. Daleka także od zapierania się jedności z dumą swojego narodu, którą miała już ukształtowaną, narodziny Mesjasza w kraju Izraelitów zdawały się dla Leili paradoksalnym potwierdzeniem szczególnego posłannictwa Wybrańców Jahwe. I chociaż opłakiwała fakt, że jej przodkowie ukrzyżowali Zbawiciela, była dumna z tych, których wiara rozsławiała imię i cześć spadkobierców Dawida, jak świat długi i szeroki. Często zaskakiwała i wprawiała w zakłopotanie zacną Inez, wykrzykując: "A więc, twoja wiara, jest taka sama jak moja, dodaje jedynie zapewnienie nieśmiertelności duszy. Chrześcijaństwo jest więc pokrewne Judaizmowi!"

Rozsądek i łagodność przyrodzone rozmówczyni Leili nie pozwalały jednak zagłębiać się w trudniejsze do zaakceptowania przez młodą naturę zasady Kościoła. Mogłyby one wystraszyć tę "wznoszącą się do lotu gołębicę". Donna Inez powstrzymywała się także zdecydowanie ze wskazywaniem różnic między odmiennymi religiami, pozwalała na chwilami absurdalne mieszanie ich ze sobą: Leila stawała się Chrześcijanką, wciąż uważając się za Żydówkę. Ale w czułej i pełnej wdzięku słabości ludzkich emocji pozostawała jedna gorzka myśl, która wciąż, i wciąż, burzyła spokój, który poza wzniosłymi chwilami opanowywał jej duszę. Ojciec, którego kochała tak mocno, ze swoim srogim sercem i tajemniczym przeznaczeniem, dla którego była zawsze jedyną pociechą, z jakim bólem przyjmie on wiadomość o jej przemianie?!

Mniej martwiła się o swoją młodzieńczą miłość. Muza, ten wspaniały bohater jej młodości! Leila czuła, że przyłożyła pieczęć ostatecznego rozstania i stłumiła w sobie wszelkie nadzieje złączenia się z tym romantycznym przywódcą Muzułmanów. Ale

zaprawdę! Czyż nie została już wcześniej z nim rozdzielona? czy ich religie nie były od początku nieprzezwyciężalną przeszkodą? Myśli te wywoływały westchnienia i łzy; stawiała przed sobą krucyfiks, który został już przyniesiony do jej pokoju. Dla duchowego wsparcia, krucyfiks, który późniejsze rewolucje wyrzucą z kaplic Hugenotów. Czy słusznie? To wyobrażenie Boskiej męki, tej śmiertelnej agonii, tego cudownego poświęcenia, jak wielką wymowę ma ono w obliczu naszych cierpień! Jak jednoznacznym symbolem jest on dla naszych próżnych życzeń, dla naszych tęsknot i rozgoryczeń!

Stopniowo, gdy jej nowa wiara stawała się w niej coraz bardziej silna, Leila skłaniała się gorliwie do tych scen uświęcenia i wyciszenia klasztornego życia. Donna Inez przyjmowała to z prawdziwym zadowoleniem. W reakcji na jej myśli i wątpliwości dotyczące doczesnego, ziemskiego szczęścia, zdawało się, że młoda dziewczyna, znajduje w nieopisanym uroku odosobnienia ulgę od cierpień ludzkiej miłości, ulgę, która mogłaby wciągnąć ją całkowicie w poświęcone życie i transcendentalne nadzieje.

I z takimi uczuciami mieszało się tam jeszcze jedno, szlachetne i subtelne uczucie. Była głęboko przekonana, że modlitwy o nawrócenie mogą być wysłuchane, nawet gdy dotyczą tych jeszcze mało oświeconych: była przepełniona nadzieją, że ciemny cień ciążący nad rozproszoną rasą może być rozjaśniony przez prośby jednego pokornego serca.

We wszystkich epokach, we wszystkich religiach, istnieje to dziwne i tajemnicze przekonanie o skuteczności poświęcenia się jednostki nawet dla odkupienia całych narodów: ta wiara, tak silna w dawnych religiach Wschodu i czasów Klasycznych, jeszcze bardziej została utrwalona przez Chrześcijaństwo - wyznanie zbudowane na największym w dziejach świata poświęceniu jednostki; wyznanie, którego wzniosła doktryna, poprawnie rozumiana, unieśmiertelnia w sercu każdego z wyznawców obowiązek i pragnienie poświęcenia, jak również niewzruszoną wiarę w

moc modlitwy, bez względu na to, jak wielki jest przedmiot, za który modlitwa jest wznoszona.

Gdy takie myśli zostały zaszczepione w podatnym na sugestię umyśle młodej dziewczyny, Leila osiągnęła intensywność pasji, niezbędnej do całkowitego nawrócenia.

Rozdział 16

Godzina i człowiek

Było to trzeciego ranka po tym, jak Król Granady, pogodzony z podwładnymi, dokonał przeglądu swojej walecznej armii w Vivarrambla; Boabdil, otoczony przez dowódców i możnych, obmyślał plany rozstrzygającej bitwy poprzez najazd na obóz Chrześcijan, gdy nagle u wejścia do pałacu pojawił się zwiadowca, oznajmiając jednym tchem niespodziewaną i niemal niewiarygodną wiadomość, że Ferdynand zwinął w nocy obóz i hiszpańskie wojska wymaszerowały poprzez góry w stronę Cordoby.

Była to prawda, a powodem ruchu wojsk Ferdynanda był wybuch groźnego buntu, który zmusił monarchę do natychmiastowej reakcji; jego knowania z Almamenem przysporzyły mu, jak dotąd, tylko kłopotów i Ferdynand zaczął skłaniać się do rad tych dowódców, którzy domagali się jak najszybszego, bezpośredniego natarcia na Granadę. Król Hiszpanii nakazał nawet plądrowanie Vegi, tego zaplecza prowiantu dla miasta, ale szybko musiał zarządzić koniec oblężenia, które miało zmusić Granadę do poddania się, oblężenia, które i tak przez dłuższy czas nie przynosiło oczekiwanych korzyści. Musiał jednak najpierw poświęcić całą uwagę na zwalczenie oponentów i wykorzenianie nowo rodzącego się spisku. Była to też okazja do zręcznego połączenia tłumienia rozruchów z zapełnianiem opróżnionego skarbca.

Spisek stał się pretekstem do zakrojonej na szeroką skalę akcji prześladowań, której ofiarami padli nie tylko Żydzi, ale również Chrześcijanie, którzy mieli jakiekolwiek rodzinne powiązania z Izraelitami i byli podejrzewani o praktykowanie judaistycznych rytuałów.

Dwóch autorów tego monstrualnego projektu, Ferdynand i Torquemada, powodowało się dwoma różnymi motywami: jeden pragnął wykorzenić zbrodnię, drugi ofiarować zbrodni odpuszczenie. Tak więc zakonnik patrzył przez palce na opanowującą króla zachłanność, ponieważ służyło to jego celowi i dynamicznie rozwijającej się Inkwizycji. Wierzył, że Trybunał, będąc silnym narzędziem pozostającym pod jego całkowitą kontrolą, może z czasem dać mu siłę i wznieść jego autorytet, który przerośnie nawet autorytet monarchy. Nie robił tego jednak tylko dla samego siebie, próżność nie była jego motywacją, Tomasz Torquemada wierzył, że poprzez wymuszanie pokuty, oddaje najlepszą przysługę Niebu.

Dziwne zniknięcie Almamena, które przez łatwowierność Hiszpanów zostało podniesione do rangi wydarzenia dalece nadnaturalnego, posłużyło królowi do skompletowania łańcucha dowodów przeciwko bogatym Żydom i wszystkim mieszkańcom Andaluzji z hebrajskim pochodzeniem. Podczas gdy w swoich fantazjach, król zamykał już w skarbcu złoto odebrane uwięzionym. Dominikanin niecił ogień, który miał służyć sądzeniu ich śmiertelnych grzechów.

Boabdil i jego dowódcy przyjęli wiadomości o odwrocie Hiszpanów z wątpliwościami, które, po potwierdzeniu faktu, przerodziły się w uczucie największego triumfu. Boabdil w pełni odzyskał swoją energię, z której, choć objawiała się tylko w porywach, słynął we wczesnej młodości.

– Allah jest wielki! – krzyczał, – nie pozostaniemy tutaj i nie pozwolimy aby wróg znowu uwił sobie gniazdo. Są w odwrocie - musimy za nimi ruszyć. Zwołać wszystkich sprzymierzeńców,

niech każdy gotuje się na świętą wojnę! Władca ostatnich posiadłości Maurów w Hiszpanii wyrusza w pole! Każde miasto, w którym żyją Muzułmanie, musi usłyszeć nasze wezwanie, zgromadzimy pod naszymi sztandarami wszystkich przedstawicieli naszej wiary!

– Niech wiecznie żyje nasz król! – zakrzyknęła rada jednym głosem.

– Nie tracić ani chwili, – ciągnął Boabdil, – dalej, do Vivarrambla, Muza poprowadzi kawalerię; ja sam stanę na czele naszych oddziałów. Zanim promienie słońca dotrą do lasów w górach, armia jedynego boga ma być w marszu!

Rycerze, przepełnieni radością i wojowniczym duchem pośpiesznie opuścili salę.

Boabdil, gdy został sam, na nowo pogrążył się w swoją zwykłą filozoficzną zadumę. Przez kilka minut rzucał się z miejsca na miejsce walcząc z ogarniającymi go wątpliwościami. Potem nagle opuścił salę obrad i udał się do bardziej prywatnych pałacowych pokojów.

W pewnej chwili znalazł się przed drzwiami obitymi grubymi płytami z żelaza. Przekręcił w zamku klucz, który wydobył zza swojego pasa, drzwi, choć grube i ciężkie, ustąpiły zaskakująco lekko. Boabdil znalazł się w małym, okrągłym pomieszczeniu, nie było tu żadnych innych drzwi czy okien; po krótkim rozpoznaniu, król pociągnął ukrytą w ścianie dźwignię, która, ustępując, ukazała wnękę z małą lampą naftową płonącą maleńkim płomykiem i zwojem żółtego pergaminu pokrytego dziwnymi jak hieroglify znakami. Boabdil przycisnął zwój do piersi, wziął lampę w rękę i wcisnął kolejną dźwignię we wnęce, po czym cała ściana przesunęła się i odkryła wąskie, kręte schody. Król zamknął wejście i zaczął schodzić po kamiennych stopniach jakby do piwnicy. Dotarł do wyciosanego w skale korytarza; szum wody, który docierał do jego uszu spoza chropowatych ścian, świadczył, że ta podziemna piwnica byłą rzeczywiście naturalną jaskinią.

Lampa dawała czysty i jednostajny płomień rozjaśniający ciemności miejsca; Boabdil przemierzył jaskinię, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, z takim niecierpliwym pośpiechem, że cała droga została pokonana w zaskakująco krótkim czasie. Na koniec dotarł do przestronnej groty, zamkniętej za kolejnymi, ledwo widocznymi, tajemniczymi drzwiami, podobnymi do tych, które chroniły wejścia do jaskini. Znalazł się w tajemnej krypcie gdzie spoczywali muzułmańscy władcy Granady. Nie było tu grobowców, bogato przybrane szkielety dawnych władców ustawione były pod skalistymi ścianami groty. Boabdil zatrzymał się przed jednym z nich, przybranym w szatę i koronę, a tuż przed jego oczami połyskiwała magiczna tarcza, o której wspomniał w swojej rozmowie z Muzą.

– Och, straszny i nienawistny widok! – wykrzyknął król, rzucając się przed szkieletem na kolana, – cieniu tego, co dawniej było władcą, mądrym w radzie i nieugiętym w walce, jeśli w tych pustych kościach ciągle kryje się niepoznany i niewidoczny duch, wysłuchaj swojego skruszonego syna. Wybacz, dopóki jest czas, bunt jego zapalczywej młodości, i pozwól mojej nikczemnej duszy zwalczyć w sobie wątpliwości i słabość. Idę na bitwę, nie czekając na sygnał, który miałeś mi dać. Nie wiń mnie za pośpiech, wiara mnie do niego przymusza, przywiązanie do ojczyzny i generałowie. A jeśli polegnę na polu, niech moje złe przeznaczenie przepadnie razem ze mną, i niech bardziej zacny władca potępi moje grzechy i ochroni Granadę!

Gdy podniósł wzrok, upiorny, zawzięty uśmiech czaszki, zwielokrotniony przez niedbale założoną koronę i pochopnie narzuconą szatę, zmroził na powrót namiętność i wzmógł ból jego serca. Zadrżał i powstał z głębokim westchnieniem; a gdy jego oczy mimowolnie skierowały się na wzniesione ramię zmarłego władcy, dostrzegł, w migoczącym świetle i ze zgrozą, że nieruchomy do tej pory palec, który nakazywał spokój i oczekiwanie, w cudowny sposób zmienił swoje położenie i zatrzymał się nad słowem tak długo i tak niecierpliwie oczekiwanym.

– Walcz! – wykrzyknął król; – czy dobrze czytam? Czy moje prośby zostały wysłuchane?

Nagle niski i głęboki dźwięk, przypominający grzmot tłumiony wodną przeszkodą, przetoczył się po grocie; chwilę później ściany jaskini jakby rozwarły się i król zobaczył postać Almamena, którego rady i obecności potrzebował teraz bardziej niż kiedykolwiek. Ale tym razem był to zmieniony Almamen, nie wróżbita, nie tajemniczy znawca wschodnich magii odziany w luźne szaty mędrca.

Pełna zbroja pokrywała tułów, ramiona i nogi Almamena; jedynie jego głowa była odkryta, a na jego szlachetnym i pełnym głębokiego wyrazu obliczu jaśniała, nie siła magiczna, ale wojenny zapał. W prawej ręce trzymał miecz, lewa podtrzymywała drzewce oślepiająco srebrno-białego sztandaru.

Pojawienie się było tak nagłe i wywołało tak duże zamieszanie w umyśle króla, że miał wrażenie, że spotkał ucieleśnienie jakiegoś gościa z zaświatów.

– Królu Granady, – przemówił Almamen, – godzina wybiła; ruszaj do walki i zwyciężaj! Nie ma nadziei na pokój i układy z chrześcijańskim władcą. Na twoje życzenie, widziałem się z nim, ale jedynie tajemne sztuczki uratowały twojego posła. Raduj się! Bo twoje złe przeznaczenie opuściło wreszcie twoją duszę, jak chmura ustępuje przed chwałą słońca! Duch Wschodu utkał ten sztandar z promieni życzliwych gwiazd. Będzie powiewał przed tobą w czasie bitwy, będzie powiewał nad rzekami chrześcijańskiej krwi. Tak jak księżyc porusza fale przypływu, tak on poruszy i pokieruje fale i koleje wojny!

– Tajemniczy człowieku! Dajesz mi nowe życie.

– A walcząc u twojego boku, – dodał Almamen, – będę uczestniczył w wykuwaniu dla ciebie, z ruin Aragonii i Kastylii, okazałości nowego dworu. Walcz, władco Granady! Walcz! Słyszę rżenie twojego wierzchowca, pośrodku uzbrojonych tysięcy! Walcz!

KSIĘGA CZWARTA

Rozdział 17

Leila w zamku. Oblężenie

Wyciszone rozmyślania i natchnione niepokoje Leili zostały nagle przerwane wiadomością, która zdominowała wszelkie myśli i zajęcia wszystkich mieszkańców tego zamkowego klasztoru, wzbudzając pełne niepokoju zainteresowanie. Boabdil el Chico ruszył na wojnę wiodąc liczne zastępy rycerstwa. Szybko przemierzając kraj zdobył, jedną po drugiej, główne twierdze, które Ferdynand pozostawił obsadzone silnymi oddziałami. Wszystkie w najbliższym sąsiedztwie klasztoru, w którym przebywała Leila. Jego zwycięstwo było tak samo nagłe jak świetne; jego wojska posiały trwogę, która rozprzestrzeniła się natychmiast szeroko i daleko; każdego dnia nowi rekruci zasilali jego szeregi; z ośnieżonych szczytów Sierra Nevada spadał, w dzikich hordach, zawzięty, góralski lud, który przyzwyczajony do wiecznej zimy, tworzył zaskakujący kontrast swoim surowym wyglądem i kudłatymi futrami z błyszczącym i okazałym rynsztunkiem wojsk z Granady.

Mauretańskie miasta, które wcześniej poddały się Ferdynandowi, wyłamały się spod tej zwierzchności i wysłały zarówno rozentuzjazmowaną młodzież jak i doświadczonych weteranów pod sztandar Kluczy i Półksiężyca. Panikę Hiszpanów powiększała dodatkowo obecność strasznego człowieka, który zdawał się być natchniony raczej przez moc jakiegoś demona aniżeli męstwo zwykłego śmiertelnika. Pojawiał się on znienacka w sze-

regach Maurów. Gdziekolwiek mauretańskie zastępy cofały się przed murami lub wieżami, skąd wylewał się wrzątek na ich głowy, albo padały pociski niosącej śmierć artylerii oblężonych, ten szatan, pędząc w sam środek rozstępujących się oddziałów z dzikością wymachując srebrno-białym sztandarem. Muzułmanie, ale też wielu Chrześcijan, dopatrywało się nadnaturalnego pochodzenia tej chorągwi. Ten, który go niósł, stawiał śmiało czoła wszelkim niebezpieczeństwom i uchodził wszystkim strzałom: głosem, modlitwą, przykładem zapalał w Maurach entuzjazm, któremu mógłby równać się tylko ten z pierwszych dni podbojów; wieża za wieżą, wzdłuż pasma potężnych górskich twierdz, były obwieszane powiewającymi i lśniącymi sztandarami niepokonanego Boabdila.

Mendo de Quexada, weteran, który, z garnizonem liczącym dwustu pięćdziesięciu ludzi, pozostawał w obronie zamku i klasztoru, nie był wystraszony bezprecedensowymi sukcesami muzułmańskiego króla. Świadomy nadciągającej burzy, spędził ostatnie dni pokoju doglądając wszystkich przygotowań na spodziewane oblężenie; posłańcy zostali wysłani do Ferdynanda; nowe zasieki zostały wykopane wokół zamku; zgromadzono pokaźne zapasy żywności; żadne środki ostrożności nie zostały zaniedbane aby utrzymać w hiszpańskich rękach placówkę, która ze względu na położenie w pobliżu Granady oraz z uwagi na jej panowanie nad Vegą i dolinami Alpuchary, stanowiła najboleśniejszy cierń w boku mauretańskiej władzy.

Pewnego ranka Leila stała przy oknie swojego pokoju na wysokim piętrze klasztoru patrząc, z wieloma mieszanymi uczuciami, na odległe zabudowania Granady, śpiącej jeszcze w pierwszych promieniach słońca. Jej serce wypełniały myśli o domu, o dobrych i złych chwilach, które powoli odchodziły w zapomnienie.

Dźwięk wojennego rozgardiaszu, bardzo odległy, przerwał jej zadumę; drgnęła i zaczęła słuchać w napięciu; hałas stawał się wyraźniejszy i czystszy. Brzęk szyneli, dudnienie afrykańskiego bębna, dzikie i barbarzyńskie dęcie mauretańskiego rogu, dawało się łatwo rozpoznać; wreszcie dostrzegła, wciąż zasłuchana w dźwięki marszowej muzyki, na tle górskich urwisk, połyskujące kopie i proporce muzułmańskiej awangardy. W następnej chwili cały zamek był już na nogach.

Mendo de Quexada, nałożywszy zbroję w pośpiechu, pognał do okien strzelniczych zbierając rycerstwo, Leila widziała go, od czasu do czasu, ustawiającego swoje nieliczne oddziały w pozycji najlepszej dla obrony. Po kilku minutach dołączyła do niej Donna Inez i inne pensjonariuszki klasztoru, które z lękiem tuliły się do swojej gospodyni, choć nie aż tak wystraszone, aby odmówić sobie przyjemności, właściwej dla ich płci, zerkania poza okno, na okazałe szeregi mauretańskiej armii.

Okna pokoju Leili szczególnie dobrze nadawały się do prowadzenia bezpiecznej obserwacji postępów armii wroga; z bijącym sercem i rozpłomienionymi policzkami, tęskniąca i wspominająca swoje życie w Granadzie dziewczyna, głucha na głosy wokół niej, miała wrażenie, że pomiędzy jeźdźcami jest ww stanie dostrzec nieustraszoną sylwetkę i jasną zbroję Muzy Ben Abil Gazana.

W jak wielkiej rozterce była! Jako Żydówka, czy mogła życzyć sukcesu Muzułmanom? A jako kobieta, czy mogła pragnąć klęski rycerza, który wciąż posiadał fragment jej serca? Ale czas na rozmyślania był bardzo krótki, a raczej nie było go wcale; oddziały mauretańskiej jazdy były tuż pod murami podzamcza otaczającego zamek i donośny dźwięk rogów heroldów wzywał garnizon do poddania się.

– Nigdy, dopóki choć jeden pozostanie przy życiu, – brzmiała krótka odpowiedź Quexady; dziesięć minut później, złowieszczy grzmot działa i armatnia kula wystrzelona na zgromadzone pod

murami rycerstwo były potwierdzeniem hardej postawy obrońców.

Właśnie wtedy kobiety, stojące wraz z Leilą przy oknie, dostrzegły, wolno posuwającą się w równych szykach, całą potęgę i wspaniałość oblegającej armii. Ciasno stłoczone, szereg za szeregiem, kolumna za kolumną, wojska rozprzestrzeniały się na pofałdowanym stepie. Promienie słońca oświetlały rozległe szyki, gdy kołysały się, mruczały i postępowały powoli naprzód, jak połyskujące morskie fale. Wkrótce dało się wypatrzyć królewski sztandar powiewający nad orszakiem Boabdila; król we własnej osobie, dosiadający swojego mleczno-białego rumaka, którego uprząż mieniła się od złota, ukazał się pomiędzy wojskiem. Jak obiecał, stanął na czele swoich oddziałów.

– Módl się razem z nami, moja córko! – wykrzyknęła Donna Inez, padając na kolana.

Niestety! Za co Leila miała się modlić?

Cztery dni i cztery noce trwało pamiętne oblężenie; ponieważ księżyc, podówczas w pełni, pozwalał toczyć walkę nawet nocą. Przewaga liczebna i bliskość Granady, dawała oblegającym możliwość stałej wymiany sił i oddziały zastępowały oddziały tak, że zmęczeni napastnicy byli zastępowani przez wypoczęte posiłki.

Piątego dnia, cała twierdza, oprócz największej warownej wieży, była w rękach Muzułmanów; i na tej ostatniej placówce, wymęczone i przerzedzone oddziały garnizonu zgromadziły się w ostatniej nadziei i dzielnej desperacji.

Quexada przybył prosto spod ostrzału, był pokryty ranami i pyłem, z oczami nabiegłymi krwią, jego oblicze wychudłe i przygnębione, włosy poszarzałe jakby nagle przybyło mu lat, w hallu wieży, gdzie zebrały się kobiety, na pół omdlałe z przerażenia.

– Przynieście żywność! – wykrzyknął, – jedzenia i wina! To może być nasza ostatnia kolacja.

Jego żona objęła go ramionami.

– Jeszcze nie, – wyszeptała płacząc, – jeszcze nie; jeszcze jeden uścisk, zanim się rozstaniemy. Czy naprawdę nie ma już

żadnej nadziei? – zapytała Inez z bladymi policzkami ale opanowanym spojrzeniem.

– Żadnej; chyba że jutrzejszy świt sprowadzi z tamtych wzgórz kopie armii Ferdynanda. Do rana możemy się utrzymać. Nie dłużej. – Mówiąc, jadł łapczywie i popijał z dużego kielicha wino a potem szybko opuścił pokój.

W tej samej chwili, kobiety wyraźnie usłyszały głośny okrzyk Maurów; Leila, podchodząc do okratowanego okna, ujrzała dziwną machinę wojenną przypominającą duży, luźno sklecony, wóz.

Nakryci przemyślnymi konstrukcjami z drewna i grubych skór, oblegający podchodzili do stóp wieży, skutecznie ukryci przed płonącymi strumieniami smoły, które nieustannie się na nich wylewały, obfite i wrzące, z okien strzelniczych; podczas gdy z tylnych szeregów mauretańskich oddziałów szedł grad strzał i włóczni, chroniących to dziwne dzieło inżyniera, wpadających do niemal każdego otworu i szczeliny w fortecy.

Tymczasem mężny dowódca obrony dostrzegł z przerażeniem i rozpaczą, przygotowane przez napastników osłony, których drewniane poszycia chroniły nacierających przed każdą bronią.

– Na Święty Grób! – krzyknął, zgrzytając zębami, – podkładają pod wieżą ogień, spłoniemy tu żywcem! Spójrz, Gonzalvo! Czy nie dostrzegasz błysków kopii, tam na szczytach wzgórz? Moje oczy są zmęczone od czuwania.

– Niestety! Dzielny Mendozo, to tylko promienie słońca padające na śnieg, ale wciąż jest nadzieja.

Słowa rycerza przerwał nagły świst i krzyk konającego; Gonzalvo upadł martwy u boku Quexady, jego głowa została roztrzaskana przez pocisk mauretańskiego arkebuza.

– Mój najlepszy rycerz.– Powiedział Quexada, – niech spoczywa w pokoju. Hej, tam! Czy widzicie tego zawziętego poganina zagrzewającego nacierających? Wielkie Nieba, ten ze srebrnym sztandarem! Mierzyć w niego! Nie jest chroniony przez osłony.

Dwadzieścia włóczni, wyrzuconych przez sterane i zdrętwiałe ramiona, padło wokół postaci Almamena nie czyniąc mu najmniejszej szkody: powiewając wysoko swoim złowieszczym sztandarem, zniknął znowu za zasłonami. Zadziwieni Hiszpanie niemal słyszeli jego triumfujący, demoniczny śmiech.

Nadszedł szósty dzień i dzieło wroga zostało ukończone. Wieża została całkowicie podkopana, jej posady opierały się jedynie na drewnianych żerdziach, które zostały tam ustawione w celu umożliwienia ucieczki oblegającym, gdy wieża stanie w płomieniach, gdy będzie upadać ten ostatni punkt oporu, typowa dla Boabdila troska o swoich rycerzy.

Około południa, ogromny oddział Maurów, opuściwszy równinę, zajmował teren rozciągający się u stóp wieży. Czekali w nieprzeliczonej liczbie i bezgłośnie. Ci, co dokonali podkopu, pozostawali w dalszej odległości. Hiszpanie zalegali zdziesiątkowani i wyczerpani przy otworach strzelniczych, jak żeglarze, którzy po wszystkich wysiłkach aby oprzeć się burzy, czekali zrezygnowani i niemal zupełnie obojętni, na dopełnienie się przeznaczenia.

Nagle szeregi Maurów rozstąpiły się i Boabdil, z Muzą po prawej ręce i Almamenem po lewej, podjechali do stóp wieży. W tym samym czasie, straże etiopskie, każda niosąca żagwie, przemaszerowały wolno do tylnych szeregów; z pomiędzy nich wyjechał herold i ogłosił ostatnie ostrzeżenie. Cisza tych ogromnych zastępów, płomienie pochodni oświetlających twarze i wielkie sylwetki niosących je, majestatyczna postawa samego króla, bohaterska i wojownicza postawa Muzy, goła głowa i lśniący srebrem sztandar Almamena, wszystko połączone z okolicznościami chwili miało nadać wydarzeniu cech wyjątkowej grozy i, być może, widowiskowości.

Milczący Quexada powiódł oczami po upiornych twarzach swoich podwładnych ale wciąż nie dawał sygnału. Jego usta niemo drżały, jego oczy lśniły. Nagle usłyszał na dole płacz i zawodzenia kobiet; myśl o Donnie Inez, towarzyszce jego mło-

dości, jego wieku dojrzałego, wiernej mądrej małżonce, ogarnęła jego umysł; drżącą ręką zdjął z uchwytu i położył na podłodze hiszpański sztandar. Wtedy cisza poniżej została rozdarta nowym krzykiem, krzykiem bojowym i wieża jakby zatrzęsła się w swoich posadach.

– Powstańmy, przyjaciele, – powiedział Quexada z goryczą w głosie, – walczyliśmy mężnie, i nasz kraj nie będzie nas oskarżał. – Skierował się w stronę kręconych schodów, jego rycerze ruszyli za nim powłócząc nogami: drzwi wieży zostały otwarte i ci waleczni Chrześcijanie, aby ratować życie swoje i kobiet, poddali się Maurom.

Gdy stanęli przed wodzem Marów, zwrócił się do niego, ze słowami:

– Postąpisz według własnej woli, – powiedział Quexada wpatrując się w końcówki wąsów Boabdila, – ale w garnizonie są kobiety, które…

– Są święte, nie po kobiety tu przyszliśmy, – przerwał mu król. – W tej chwili zwracamy im wolność. Nie zmienimy ich w niewolnice. Mogą odejść wolno. Ale powiedz, dokąd mają się udać. Mów! Będą mieć ochronę. Do jakiego bezpiecznego miejsca mają być odprowadzone?

– Jest w tobie wspaniałomyślność wielkiego wodza, Boabdilu. – Odpowiedział weteran Quexada ocierając wierzchem dłoni łzy, których nie potrafił powstrzymać; – rozjaśniasz cień naszego upokorzenia. Zgadzamy się na twoją propozycję w tym samym duchu, w jakim została złożona. Za górami, na pograniczu równin Olfadez, posiadam mały zamek, nieuzbrojony, bez fortyfikacji. Stamtąd, jeśli wojna zajdzie w tamte strony, kobiety będą mogły łatwo przedostać się do królowej w Cordobie.

– Niech tak się stanie, – odparł Boabdil. A potem, z iście wschodnią delikatnością wybrał spośród obecnych najstarszych oficerów, wydał im odpowiednie rozkazy wkroczenia do zamku i, pod silną eskortą, poprowadzić bezpiecznie kobiety, zgodnie ze

wskazówkami Quexady. Innym swoim oficerom powierzył hiszpańskich jeńców i dał swojej armii sygnał wycofania się z tego miejsca, pozostawiając jedynie mały oddział z zadaniem dokończenia dzieła przejmowania fortecy.

W towarzystwie Almamena i swoich najważniejszych dowódców, Boabdil pośpieszył w kierunku Granady; a gdy wolno posuwający się Quexada wraz ze swoimi rycerzami, pod silną obstawą, przemierzał swoją drogę przez Vega, nagły zwrot w kierunku ich marszu sprawił, że ujrzeli w oddali wieżę, której tak mężnie bronili. Ciągle tam stała, silna i wyniosła, pomiędzy sczerniałymi murami, wyrastająca wysoko w górę, ciemna i ponura na tle nieba. W następnej chwili ogromny huk dotarł do ich uszu gdy wieża waliła się na ziemię, w kłębach dymu i w deszczu pyłu wznieconego w miejscu, w którym ostatni raz ją widzieli, wieżę, z której można było zobaczyć dumnie powiewające sztandary Aragonii i Kastylii. Zapewne dlatego została zrównana z ziemią przez nienawistnego wroga.

W tym samym czasie Leila, tak nieoczekiwanie rzucona w bliskość swojego ojca i kochanka, a jednak, przez niezbadane wyroki losu, wciąż oddzielona od obydwu, z Donną Inez i pozostałymi dziewczętami z klasztoru, pokonywały swoją smutną drogę przez górskie przełęcze.

Rozdział 18

Propozycja Almamena. Trzech Izraelitów. Okoliczności sprawiają, że różni ludzie umierają różną śmiercią

Boabdil kontynuował swoją zwycięską kampanię, dokonując szereg błyskotliwych napadów na przygraniczne fortece. Granada, jak silny człowiek schylony do samej ziemi, upokarzała jedną grupę za drugą, wszystkich tych, którzy próbowali zamierzyć się na jej wolność i potęgę; w końcu, po zdobyciu znacznych połaci okolicznych terenów, król postanowił rozpocząć oblężenie morskiego portu w Salobrena. Zdobywając to miasto, Boabdil, dzięki odzyskaniu połączenia Granady z morzem, byłby w stanie zdobyć wsparcie ze strony afrykańskich sprzymierzeńców i zapobiec odcięciu przez Hiszpanów stolicy od źródeł zaopatrzenia w żywność. Na wypadek kolejnego oblężenia Granady. Tam zatem, z Muzą u boku, mauretański król powiódł swoje zwycięskie chorągwie.

W wieczór wymarszu, Almamen poprosił o widzenie z królem. Wielka zmiana zaszła w tym człowieku odkąd wyrwał się z rąk Inkwizytora i Ferdynanda; jego zwykła stateczna postawa znikła; oczy opuszczone i puste; jego ruchy były nerwowe, jakby nieobecne. W rzeczywistości, miłość do córki sprawiła te zmiany w jego charakterze; okrutny fakt, że Leila pozostawała w rękach monarchy, który skazał go na tortury Inkwizycji! Na jakie niebezpieczeństwa może być narażona bezbronna dziewczyna,

Almamen znał gorliwość Kościoła w dziele nawracania! I czy to ukształtowane już i wdzięczne serce zdoła stawić czoła przerażającej machinie, mogącej zwielokrotnić jej lęki? “Lepiej,” - myślał, - “żeby zginęła, nawet na torturach, aniżeli miałaby przyjąć tę znienawidzoną wiarę.” - Zgrzytał zębami w męczarniach, rozważając taką tragedię. Jego marzenia, jego cele, jego zemsta, jego ambicja - wszystko go opuściło: jedna nadzieja i jedna myśl, całkowicie zawładnęła jego burzliwą naturą i zdeterminowanym umysłem.

W takim nastroju Almamen spotkał się z Boabdilem. Przedstawił królowi, konieczność utrzymania bezpiecznej odległości od wojsk Ferdynanda. Jego wpływ na chwiejnego monarchę został wybitnie wzmocniony po ostatnich zwycięstwach. Zaproponował, w celu skutecznego wykonania planów, aby król posłał go do Cordoby; aby w tajemnicy wzniecać bunty wśród tych Maurów, którzy poddali się hiszpańskiej zwierzchności, a których nadzieje musiały odżyć w obliczu ostatnich sukcesów Boabdila; a przynajmniej, wzniecić tyle niepokojów, aby utrudnić Ferdynandowi realizację jego planów i przeciągnąć na stronę Boabdila siły, z którymi od dawna powinien być sprzymierzony.

Sposób, w jaki Almamen przedstawił fakty skłoniły Boabdila do przychylenia się do jego prośby; zostało ostatecznie postanowione, że Almamen powinien opuścić miasto bezzwłocznie.

Gdy Almamen podążał samotnie drogą do swojego domu, usłyszał nagle za sobą głos, przemawiający po hebrajsku. Odwrócił się pośpiesznie zaskoczony i ujrzał starego człowieka w odzieniu wskazującym na jego narodowość; szybko rozpoznał w nim Eliasza, jednego z najbogatszych i najszacowniejszych z ludu Izraela w Hiszpanii.

– Wybacz mi, wielmożny panie, – mówił stary Izraelita kłaniając się do stóp, – ale nie mogę się oprzeć pokusie oświadczenia, że łączą mnie pewne więzi z tym, dzięki któremu trąby Izraela będą mogły znowu triumfalnie rozbrzmiewać.

– Ciszej, człowieku, – powiedział Almamen szybko, nie zdra-

dzając się, że rozpoznał starca. – Ja jestem twoim krewnym? Czy nie jesteś przypadkiem, jak wskazuje na to twój akcent, Żydem?

– Jestem, – odparł Eliasz, – i to z tego samego rodu, co twój szanowny ojciec, niech pokój będzie z jego prochami. Pamiętam ciebie sprzed lat, jako chłopca, którego stopy wzburzały pył Granady. Pamiętam cię, mówię, gdy wróciłeś, nierozpoznany, pod zmienionym imieniem; ale jak widzisz, zachowałem twój sekret, wierząc, że dzięki twojej wierze i zdolnościom, twoi poniżeni bracia będą mogli zrzucić łachmany i ucztować na dachach domów.

Almamen spojrzał badawczo na przenikliwe, ostre rysy twarzy starego Izraelity; po chwili zapytał:

– A jak Izrael może być wskrzeszony? Masz zamiar za niego walczyć?

– Jestem zbyt stary, synu Issachara, żeby dźwigać broń; ale nasz naród jest liczny, a nasza młodzież silna. Między tymi kłótniami, między dwoma psami…

– Lew może skorzystać z okazji, – przerwał zapalczywie Almamen, – może jest w tym jakiś sens. Czy słyszałeś o nowych prześladowaniach, które przeciwko nam, przedsięwziął w Cordobie Ferdynand? Prześladowania, które sprawiają, że serce zamiera i krew mrozi się w żyłach?

– Niestety! – odparł Eliasz, – słuchy o nieszczęściach doszły już moich uszu; a mam bliskich, kochanych krewnych, bogatych i szanowanych ludzi, rozrzuconych po całym kraju, także w Cordobie.

– Więc wolisz żeby padli w czasie bitwy, aniżeli złamani na kole Inkwizycji? – Wykrzyknął Almamen gorliwie. – Boże moich ojców! Jeśli między naszym ludem zachowała się iskra męstwa, może rozpalić się do ognia, który zapłonie, jak ogień, który pożera ściernie, tak że pozostaje goła ziemia!

– Nie! – przerwał mu Eliasz, przerażony raczej niż podekscytowany gwałtownością swojego rodaka, – nie pośpiech, synu Izraela, nie pośpiech: to może sprowadzić na nas tylko gniew obydwu władców, a wtedy nasze majątki zostaną zupełnie rozgrabione.

Almamen pochylił się, położył dłoń na ramieniu Żyda, spojrzał mu hardo w twarz i lekko się uśmiechając, odwrócił się i nagle odjechał.

Eliasz nie próbował go zatrzymać. – Nierozważny, – wyszeptał, – nierozważny i niebezpieczny! Zawsze tak mówiłem. On może przysporzyć nam kłopotów: gdyby nie był taki silny i gwałtowny, wsadziłbym mu nóż pod żebra. Zaprawdę, złoto ma wielką siłę; a niech mnie! Kanalie zużyją moje dobra w domu, teraz będą wiedzieć, że stary Eliasz jest za granicą. – Po czym owinął się swoim płaszczem i przyśpieszył kroku.

Almamen, pewien czas później, dostał się ukradkiem, poprzez ciemne, podziemne przejście, do swojego domu. Większość nocy spędził samotnie; ale, zanim poranna gwiazda zapowiedziała nad szczytami gór wschód słońca, stanął, przygotowany do podróży, w swojej ukrytej grocie, przy drzwiach podziemnego przejścia, ze starym Ximenem u boku.

– Idę, Ximenie, – powiedział Almamen, – na wątpliwą walkę: czy odnajdę moją córkę, i zdołam wyrwać ją bezpieczną z ich bezczeszczących rąk? Może sam wpadnę w ich ręce i zginę, możliwe jest, że nigdy więcej nie powrócę do Granady. Jeśli tak się stanie, ty będziesz właścicielem tej posiadłości i wszystkich bogactw, które tu posiadam. Wiem, że twój podeszły wiek będzie pocieszony, gdy twoje oko będzie mogło nacieszyć się widokiem złota, jeśli nie może cieszyć się widokiem potomków.

Ximen skłonił się nisko i wymamrotał jakieś niedosłyszalne protesty wymieszane z podziękowaniami. Almamen ciężko westchnął, gdy rozglądał się po pomieszczeniu.

– Mam najgorsze przeczucia, a moje księgi wróżą mi jak najgorzej, – powiedział ponuro. – Ale największe zło jest tutaj, – dodał wskazując znacząco palcem na swoje skronie, – struna jest napięta, jeden cios może ją zerwać.

Gdy to powiedział, otworzył drzwi i zniknął w labiryncie ukrytych przejść i tuneli, dzięki którym mógł, kiedy tylko potrzebował, dotrzeć zarówno do pałacu w Alhambrze, jak i ogrodów za murami miasta.

Ximen pozostał w miejscu przez pewien czas, głęboko zamyślony. – Wszystko moje, jeśli umrze! – powiedział: – wszystko moje, jeśli nie wróci! Wszystko moje, wszystko moje! A ja nie mam nikogo na świecie, kto mógłby mi to odebrać! – Z tymi słowy zatrzasnął drzwi jaskini i wyszedł na zewnątrz.

Rozdział 19

Uciekinier i spotkanie

Patrząc z różnych punktów widzenia, obaj królowie byli równie zwycięzcy. Salobrena, dopiero co podbita przez Chrześcijan, zbuntowała się gdy tylko ujrzano chorągwie Boabdila; ludność powstała, zaatakowała chrześcijańskie straże i otworzyła bramy przed ostatnim królem ich rasy. Garnizon, do którego wycofali się Hiszpanie, pozostał jedynym punktem oporu przed wojskami Boabdila; chroniony przez mury uważane za nie do zdobycia, zapowiadał zawzięte i krwawe oblężenie.

Tymczasem Ferdynand, gdy tylko wkroczył do Cordoby, rozpoczął swój zakrojony na szeroką skalę plan konfiskat i prześladowań. Nie tylko więcej niż pięciuset Żydów zniszczył w czarnej i okrytej tajemnicą matni Wielkiej Inkwizycji, ale całe setki najbogatszych chrześcijańskich rodzin, których krew nosiła ślady żydowskiego pokrewieństwa, zostało wtrąconych do więzień; a ci, którzy mieli najwięcej szczęścia, ocalili życie poświęcając połowę swoich majątków. W tym samym jednak czasie wybuchła nagle groźna insurekcja pomiędzy tymi dotkniętymi nędzą poddanymi, których nazywano Meseńczykami Iberyjskiej Sparty.

Żydzi byli tak bardzo przybici długotrwałym poniżaniem i głęboką rozpaczą, że pojedyncza iskra, która padła na prochy ich dawnego ducha, rozpaliła płomień w sercach potomków zapalczywych wojowników z Palestyny. Byli oni dodatkowo podżegani i wspierani przez objętych podejrzeniem Chrześcijan, którzy

dzielili ich los; a całość kierowana była przez dziwnego człowieka, który pojawił się między nimi nagle, a którego gorliwa wymowa i wojowniczy duch wywoływał, w takich realiach, najbardziej płomienny entuzjazm.

Niestety, szczegóły tego wyjątkowego powstania giną w pomroce dziejów; jedynie ostrożne aluzje i napomknienia w hiszpańskich kronikach, rzucają pewne światło na jego istnienie i stłumienie. Zrozumiałe jest, że przedstawianie zdarzenia, które mogłoby dostarczyć najbardziej niebezpiecznych przykładów, i które było zatrważające dla dumy i chciwości hiszpańskiego króla oraz religijnej nadgorliwości sług Kościoła, musiało być zakazane; a sam spisek został zdławiony mroczną ciszą Inkwizycji, w której ręce główni spiskowcy ostatecznie trafili. Wiemy jedynie, że fanatyczna z obu stron i krwawa batalia zakończyła się zwycięstwem Ferdynanda i całkowitym stłumieniem buntu.

Pewnego wieczoru, samotny uciekinier, ścigany zajadle przez uzbrojone oddziały Bractwa Św. Hermandada, wyłonił się z dzikiej, skalistej doliny, która z nagła zmieniała się w ogrody niewielkiego i, sądząc z braku fortyfikacji i straży, opuszczonego zamku. Tuż za nim, w niezmiernej ciszy, która charakteryzuje atmosferę hiszpańskiego świtu, słyszał, w dość dużej odległości głos rogu i tętent kopyt. Jego prześladowcy, podzieleni na kilka grup, przeczesywali teren za jego plecami, jak rybacy zarzucają swoje sieci, od jednego brzegu rzeki do drugiego, wiedząc, że łów, który chwytają w sieci, nie może im umknąć.

Uciekinier zatrzymał się i niepewnie rozejrzał dookoła: był bliski wyczerpania; jego oczy były przekrwione; strugi potu spływały mu po czole; całe ciało trzęsło się w nerwowych drgawkach, jak ciało jelenia osaczonego nagonką. Za zamkiem roztaczała się szeroka równina, daleko, jak okiem sięgnąć, bez żadnych zarośli, czy skał mogących ukryć jego postać: ruszyć przez tę przestrzeń, na której pościg miał tak oczywistą przewagę, było daremnym wysiłkiem równoznacznym z poddaniem się. Mógł tylko albo

zawrócić wprost na oddziały jeźdźców i zginąć w walce, albo zaryzykować tę niepewną i niebezpieczną kryjówkę, jaką ogrodowe zarośla mogły mu zapewnić. Z oczywistych powodów wybrał drugą możliwość, utorował sobie drogę do niskiego muru opasującego posiadłość i zatopił się w gąszczu gałęzi dębów i leszczyny.

W tym samym czasie, i w tym samym ogrodzie, nad brzegiem małej fontanny, siedziały dwie kobiety: jedna starsza, w średnim wieku; druga w kwiecie swojej młodości. Ale kwiat ten był wyraźnie nadwiędnięty, nie błyskał iskrami, nie zachwycał widokiem, który normalnie zachwycałby w jej młodym wieku. Jednak tylko zadumany smutek malował się na marmurowo bladej twarzy.

– Niestety! Moja młoda przyjaciółko, – powiedziała starsza z kobiet, – właśnie w takich chwilach samotności i ciszy najsilniej odczuwamy pustkę naszego życia. Ty, moja słodka neofitko, nie jesteś już obiektem mojego współczucia, ale mojej zazdrości: bo jestem szczerze przekonana, jak błogosławionego wytchnienia zazna twój duch na łonie Matki Kościoła. Szczęśliwi, którzy umierają młodo! Ale potrójnie szczęśliwi ci, którzy umierają mocni duchem, a nie ciałem: obojętni na grzech, ale nie na męstwo; obojętni na strach, ale nie na nadzieję; obojętni na człowieka, ale nie na Boga!

– Droga señora, – odparła młoda dziewczyna ponuro, – gdybym była sama na świecie, Nieba mogą zaświadczyć, z jak głęboką i pełną wdzięczności rezygnacją przyjęłabym święte śluby i odrzuciła przyszłość; ale serce pozostaje ludzkie, jakkolwiek święta byłaby nadzieja, która je pociesza. I czasami łapię się na tym, że myślę o domu, o moim dzieciństwie, o moim groźnym ale ukochanym ojcu, opuszczonym, samotnym w swojej starości.

– Twoje cierpienia, Leilo, – odpowiedziała starsza Señora, – to zwykłe cierpienia, na które skazana jest nasza natura. Co za różnica, czy nieobecność, czy śmierć zniszczy uczucia? Opłakujesz

ojca; ja syna, który odszedł w dumie swojej młodości i urody, męża, ginącego w kajdanach Maurów. Rozwesel swe utrapienia, wiedząc, że cierpienia są dziedzictwem nas wszystkich.

Zanim Leila mogła odpowiedzieć, gałąź drzewa pomarańczy przesłaniająca miejsce, w którym siedziały dwie kobiety, odchyliła się i między nimi a fontanną stanęła ciemna postać. Buł to Almamen. Leila powstała niedowierzając własnym oczom, ale gdy zjawa nie znikała wydała krótki jęk i padła zemdlona na ziemię.

– O, Panie Izraela! – wykrzyknął Almamen głosem pełnym udręki, – Czy to możliwe, że tak niespodziewanie odzyskałem moje dziecko? Czy mogę przytulić ją do mojego serca? I czy dana mi będzie tylko ta krótka chwila, zanim pogrążę się w mrokach śmierci? Leila, moje dziecko, spójrz! Uśmiechnij się do swojego ojca; niech poczuję na moim szalonym i rozpalonym czole słodki oddech ostatniej z naszego rodu, i pozwól mu ponieść do ciemnego grobu, tę jedną, świętą i wspaniałą myśl.

– Ojcze! Czy to naprawdę ty? – powiedziała Leila odzyskując świadomość i cofając się, aby mogła upewnić się, że widzi tę znajomą twarz; – to ty! To jest, to jest! Och! Jakiż błogosławiony przypadek zetknął nas tutaj ze sobą?

– Ten przypadek, to los, który gna mnie do grobu, – odpowiedział Almamen z poważną rezygnacją. – Tam! Czy słyszysz tętent koni, czy słyszysz niecierpliwe wołania jeźdźców? Już im nie ucieknę!

– Kto? O kim mówisz?

– Moi prześladowcy, Hiszpanie.

– Och, Señora, ratuj go! – wykrzyknęła Leila obracając się do Donny Inez, o której obecności oboje, ojciec i córka, zupełnie zapomnieli, a która stała wpatrzona w Almamena zadziwionym i zaniepokojonym wzrokiem. – Którędy mógłby uciec? Czy piwnice zamkowe mogłyby go ukryć? Tędy, szybko!

– Zatrzymaj się, – powiedziała Inez, drżąc i zbliżając się do Almamena: – czy ja dobrze widzę? I pomiędzy mrocznymi kolejami lat i losów, czy ja rozpoznaję tę wyniosłą postać, która swojego czasu przywiodła przed zapłakane oczy matki jej opadającego z sił i schorowanego jedynego syna? Czy nie jesteś tym, który ocalił mego chłopca od zarazy, który towarzyszył mu do wybrzeży Neapolu i oddał go w te ramiona? Spójrz na mnie! Czy nie przypominasz sobie matki swojego przyjaciela?

– Przypominam sobie ledwo twoją twarz, jakby we śnie, – odpowiedział Almamen; – ale, gdy przemówiłaś, natychmiast powróciły wspomnienia dawnych czasów, z kraju, w którym Leila po raz pierwszy ujrzała światło dnia, a jej matka śpiewała mi o zachodzie słońca, nad brzegami Eufratu, na ziemiach upadłych starożytnych imperiów. Twój syn, teraz pamiętam: przyjaźniłem się wtedy z Chrześcijaninem, ale wtedy byłem jeszcze młodym człowiekiem.

– Nie traćmy czasu, ojcze, Señora, proszę! – ponaglała Leila niecierpliwie, cały czas wtulona w piersi ojca.

– Masz rację; twój ojciec, w którym teraz rozpoznaję przyjaciela mego syna, nie zginie. Jeśli tylko mogę mu pomóc.

Inez powiodła swojego nieoczekiwanego gościa do małych drzwi na tyłach zamku; przeprowadziwszy go przez kilka większych komnat, pozostawiła go w jednym z pokojów, przylegającym do jej własnego salonu, a do którego wejście skrywały zawieszone na ścianach arrasy. Słusznie uznała ten pokój za lepszą kryjówkę niż zamkowe piwnice, które z pewnością będą przeszukane przez pościg. Jej zacne imię i powszechnie znana zażyłość z królową Izabelą, powinny zapobiec ewentualnym podejrzeniom, jakoby dopomagała w ucieczce zbiegowi i uczynić bezpiecznym miejsce, w którym bez jej pomocy, nie mógłby się skutecznie ukryć.

Po kilku minutach, część oddziałów dotarła do zamku a dowiedziawszy się imienia właścicielki zadowolili się przeszukaniem

ogrodów i zajrzenia do pomieszczeń na parterze niewielkiego zamku; następnie, nakazując służbie aby zachowała czujność, dosiedli koni i odjechali w kierunku równiny, nad którą powoli gasło słońce i zapadała noc.

Gdy Leila wreszcie zakradła się do pokoju, w którym ukrywał się Almamen, zastała go rozłożonego na swoim płaszczu i pogrążonego w głębokim śnie. Wyczerpany do ostateczności wydarzeniami ostatnich dni buntu i z nerwami nieco uspokojonymi po rozmowie se swoją córką, sen tego niespokojnego wędrowca, był głęboki jak sen nowo narodzonego. I zdawało się, jakby role się odwróciły; teraz córka, niczym matka, doglądająca swoich dzieci, przysiadła cichutko obok niego, przecierając oczy, do których napływały łzy, wpatrując się w zmęczoną, ale spokojną twarz ledwie widoczną w nikłym świetle lampy palącej się w pokoju. Tak minęły godziny tej nocy; gdy córka i ojciec, łagodna neofitka i żądny zemsty fanatyk, pozostawali pod tym samym dachem.

Rozdział 20

Almamen słyszy i widzi, ale nie wierzy. Gdy przemęczony umysł pochmurnieje nawet w obliczu największej serdeczności

Świt z wolna rozjaśnił pokój, a Almemen wciąż spał. Była Niedziela, dzień, w którym Zbawiciel powstał z martwych, dzień zwany Dniem Pańskim od początków Chrześcijaństwa.

Promienie słońca rozbłysły na wschodzie oświetlając, niczym promieniami chwały, krucyfiks, stojący w głębokiej niszy gotyckiego wnętrza; ukazały oczom Leili tę twarz, w której nawet najbardziej niedoświadczony katolicki rzeźbiarz, potrafi odtworzyć mistykę i straszliwe połączenie bólu gasnącego człowieka z wzniosłą wyrozumiałością Boga. Patrzyła na tę twarz, a ona zapraszała, ośmielała, zarazem budziła grozę i ją tłumiła. Leila wydostała się ostrożnie spod boku ojca; podpełzła do tego miejsca i rzuciła się na kolana przed świętym wizerunkiem.

– Wesprzyj mnie, o Zbawco! – wyszeptała, – wesprzyj swoją pokorną służebnicę! Wzmocnij jej kroki na błogosławionej ścieżce, chociaż oddziela ją ona nieodwołalnie od wszystkiego, co kocha na tym świecie: i jeśli w jej ostatecznym wyborze jest poświęcenie, przyjmij je, Ty, Ukrzyżowany! Przyjmij je, jako część pokuty za zbrodnie jej całej rasy; i odtąd pozwól ustom dziewczyny z Judei prosić cię, nie na próżno, o złagodzenie tych strasznych przekleństw, które dotknęły jej naród.

Gdy Leila, z cichym szlochem i łamiącym się szeptem, wypowiadała swe modlitwy, wystraszył ją nagle głęboki jęk; a gdy obróciła się, z przerażeniem ujrzała, że Almamen przebudził się i, opierając na ramieniu, patrzył na nią swoimi czarnymi oczami, które teraz znowu błyszczały swoim zwykłym żarem.

– Mów, – przemówił, gdy w strachu ukryła twarz w dłoniach, – mów do mnie, albo jedna ohydna myśl sprawi, że zamienię się w kamień. Czy nie przed tym symbolem klęczysz w takim uwielbieniu? Czy mój umysł błądzi, podpowiadając mi, że twoje skruszone słowa wyrażają cześć temu odstępcy od naszej wiary? Na litość, mów!

– Ojcze, – zaczęła Leila; ale jej usta odmówiły wypowiedzenia więcej niż to rozrzewniające i święte słowo.

Almamen powstał i odrywając jej ręce z twarzy, przypatrywał jej się przez chwilę, jak gdyby próbował zbadać samo dno jej duszy; a Leila, odzyskując po szybko swoją odwagę, powoli spojrzała w jego oczy niezlękniona, jej czyste i niewinne czoło uniosło się w jego stronę, i smutno, ale bez poczucia winy, dawało świadectwo temu, co skrywała twarz.

– Nie drżysz, – powiedział Almamen przerywając ciszę, – myliłem się więc, nie jesteś winowajczynią, za którą cię wziąłem. Chodź w moje ramiona!

– Niestety! – powiedziała Leila, słuchając swojego instynktu i rzucając się na jego srogą pierś. – Ośmielę się jednak pozostać przy moim Bogu. Ojcze! Przez tą straszną klątwę, która spadła na nasz naród, która uczyniła nas wyrzutkami pozbawionymi sił, odszczepieńcami i cudzoziemcami w tym kraju; przez prześladowanie i udrękę poznaliśmy, wyjawię to twojemu dumnemu sercu, że jesteśmy słusznie ukarani za prześladowanie i udrękę, którą zadaliśmy Jemu, temu, którego stopy uświęcały naszą ojczystą ziemię! Pierwsi w historii świata, wyniośli Izraelici wyrządzili ludzkości okrutną zbrodnię poprzez prześladowania z powodu przekonań. Ziarno, które posialiśmy wydało owoc jak owoc Mar-

twego Morza, owoc, który dziś spożywamy. Proszę o pogodzenie się i nadzieję: patrzę na tamten krzyż i znajduję i jedno i drugie. Nie utwardzaj swojego serca; wysłuchaj swojej córki; choć jesteś mądry a słowo kobiety jest słabe, wysłuchaj mnie!

– Bądź przeklęta! – wykrzyknął Almamen takim głosem, który równie dobrze mógłby dochodzić z kostnicy, tak upiornie i śmiertelnie brzmiał jego pusty ton; potem, przeszedłszy kilka kroków, położył obie dłonie na swoich skroniach i wyszeptał:

– Szaleństwo, szaleństwo! Tak, tak, to tylko jakieś delirium, a ja jestem zwodzony przez samego szatana! Och, moje dziecko! – dodał głosem, który stał się nagle niewyobrażalnie czuły, niemal błagalny, – tak usilnie się starałem; śniłem gorączkowy sen pełen namiętności i żądzy zemsty. To twoje usta i twoja kojąca dłoń budzi mnie z niego. Ucieknijmy na zawsze z tego znienawidzonego kraju; pozostawmy tych nędznych niewiernych z ich krwawym dziełem, nieważne które upadnie. Udajmy się do ziemi, na której żelazne podkowy nie dudnią, na której ludzkie modły wznoszone są, w samotności, do Wielkiego Jahwe, pośpieszmy nasze umęczone nogi. Chodź! Dopóki zamek jeszcze śpi, wyjdziemy stąd niezauważeni, ojciec i córka. Będziemy po drodze prowadzić mądre rozmowy. A ty, Leila, – dodał ściszonym i szorstkim szeptem, – nie będziesz mi mówić więcej o tamtym symbolu; bo twój Bóg jest zazdrosnym Bogiem i nienawidzi wszystkich malowanych, czy rzeźbionych bogów.

Długa przemowa i rozwichrzone myśli sprawiły, że stał się bardziej spokojny. Zupełnie inny, być może, powinien być język tego wyniosłego człowieka. Ale okoliczności wywarły swoje piętno na jego szorstkiej osobowości; i pomimo swojego, typowego dla nacji, poczucia wyższości nad innymi, nikt, prawdopodobnie, nie byłby bardziej ludzki, w tym burzliwym nastroju, jego słabość i jego siła, jego pasja i jego cel, aniżeli ten dziwny człowiek, który ośmielił się, w swoich okrytych tajemnicą naukach i aroganckiej samowoli, wywyższać się często ponad innych ludzi.

Była to, zaiste, nieszczęsna chwila dla młodej neofitki. Nieoczekiwana miękkość jej ojca całkowicie ją zniewoliła; nie przejęła jeszcze całkowicie tej zaprzeczającej wszystkiemu gorliwości chrześcijańskiego entuzjazmu, do którego każdy człowiek przywiązuje się i ziemski obowiązek często bywa uświęcany na ołtarzu wniebowziętej i metafizycznej pobożności. Czymkolwiek żywiła się jej myśl, jej nowo przyjęta wiara, jej skrywane pragnienie klasztornego życia, było to wzniosłe, choć złudne wyobrażenie, że poprzez jej nawrócenie, jej poświęcenie, zbrodnie jej narodu mogą być odkupione w oczach Tego, którego śmierć stała się odkupieniem dla całego chrześcijańskiego świata, oprócz niej; nawet jeśli te myśli i sentymenty posiadały głębszą naturę, ustąpiły one, w tej chwili, impulsowi nie do oparcia się, impulsowi łagodnego usposobienia i rodzinnej powinności.

Czy musi odwrócić się od swojego ojca i czy to odwrócenie się będzie odwagą? Jej serce postawiło te pytania i odpowiedziało na nie jednym tchem. Podeszła do Almamena, wsunęła swoją dłoń w jego i powiedziała, stanowczo i spokojnie, – Ojcze, dokądkolwiek się udasz, pójdę z tobą.

Ale Nieba postanowiły dla nich inne przeznaczenie, niż byłoby to, które dopełniłoby się wolą impulsu.

Zanim Almamen zdążył odpowiedzieć, dźwięk trąbki rozległ się głośno i czysto tuż za bramą.

– Słuchaj! – powiedział, chwytając swój sztylet i cofając się na myśl o nadciągającym niebezpieczeństwie. – Nadchodzą, moi prześladowcy i moi mordercy! Ale te kości są nietykalne dla koła tortur.

Nawet te słowa złowróżbnego niebezpieczeństwa, były dla Leili ulgą:

– Pójdę, – powiedziała, – i dowiem się, co te odgłosy oznaczają; zostań tutaj, bądź ostrożny, wrócę.

Minęło kilka minut zanim Leila powróciła; towarzyszyła jej Donna Inez, której bladość i zdenerwowanie zdradzało ogromny

lęk. Posłaniec nadjechał do bram, aby oznajmić zbliżanie się królowej, która, ze znacznymi siłami, była w drodze do Ferdynanda, śpieszącego do jednego ze zbuntowanych miast. Wyprzedzał Izabelę znacznie, chcąc zyskać na czasie i uniemożliwić zbuntowanym osiągnięcia zbyt dużej przewagi.

Almamen, jako buntownik i heretyk, który uciekł sprzed trybunału Inkwizycji, nie mógł pozostać w zamku, gdzie nie było możliwości żeby ukryć przed królową jego obecności. Jedyną szansą ucieczki wydawał się natychmiastowy wyjazd w przebraniu.

– Mam, – powiedziała Inez, – zaufanego i wiernego służącego w zamku, któremu mogę, bez obaw, powierzyć opiekę nad twoim bezpieczeństwem; i nawet jeśli ktoś będzie cię po drodze podejrzewał, moje imię i towarzystwo mojego człowieka, pokona wszystkie przeszkody; niedaleko stąd jest Guadix, które pozostaje w rękach Maurów: tam, dopóki wojska Ferdynanda nie staną pod murami, twoje życie będzie bezpieczne.

Almamen przez chwilę pozostawał w ponurym milczeniu. Ale, w końcu, przychylił się do zaproponowanego mu planu i Donna Inez pośpieszyła z wydaniem poleceń jego przewodnikowi.

– Leila, – powiedział Almamen, gdy został z córką sam, – nie myśl, że to tylko dla mojego własnego bezpieczeństwa przystałem na to kolejne rozstanie. Nie! Nigdy, dopóki będę żył, w różnych kolejach losu, nie zapomnę, jak droga jest mojemu sercu ostatnia latorośl mojego rodu, jedyna pamiątka, jaką pozostawiła mi miłość twojej matki. Odzyskawszy cię po raz kolejny, nowa i delikatna nadzieja otworzyła się przed moimi oczami; świat wydał mi się odmieniony, jak po nagłej zmianie z zimy na lato. Dla twojego dobra, zdobędę się na każdy wysiłek, aby uchronić się przed moimi wrogami. I wrócę. A tymczasem, tu pozostaje moje serce; do tego miejsca, w ciągu tygodnia, bez względu na niebezpieczeństwa, powrócę: wtedy spełnisz swoją obietnicę. Przygotuję wszystko do naszej ucieczki, i nawet jeden

kamień nie zrani w drodze twojej stopy. Niech Pan Izraela pozostanie z Tobą, moja córko, i niech wzmacnia twoje serce! Ale, – dodał, wyrywając się z jej uścisków, gdy usłyszał kroki zbliżające się do pokoju, – nie myśl, że w tych najbardziej zapamiętałych i ojcowskich uczuciach, zapomniałem, co musimy zrobić, ty i ja. Nie myśl, że moja miłość jest tylko prymitywnym i nieoświeconym instynktem ojca do swojego potomstwa: kocham cię ku czci twojej matki, kocham cię dla niej samej, a jeszcze bardziej kocham cię w imię Izraela. Jeśli zginiesz, jeśli stracimy cię, ciebie, ostatnią córkę domu Issachara, wtedy zginie najwznioślejsza rodzina wielkiego narodu.

W tym momencie Donna Inez pojawiła się w drzwiach, ale nie wchodziła, widząc niecierpliwe i władcze gesty Almamena, który, nie zwracając na nią uwagi, mówił dalej:

– Liczę na ciebie i na twoją przyszłość, że przyniesie ona odrodzenie, w które zawsze wierzyłem, ale może byłem głupcem i moje dni są policzone. Zostawmy to. Zostajesz pod dachem Nazareńczyków. Nie uwierzę, że myśli, którym opieraliśmy się na wszelkie sposoby, zwyciężą w tobie. Ale, jeśli się mylę, zemsta będzie straszna! Jeśli pewnego dnia dowiem się, że zapomniałaś wiary swoich przodków, nawet jeśli rycerze i kapłani będą stać obok ciebie, nawet jeśli tysiące i dziesiątki tysięcy będą u twojej prawicy, ta stal uchroni rasę Issachara przed pohańbieniem. Pamiętaj! Płaczesz; ale, dziecko, ja ostrzegam, nie grożę. Niech Bóg będzie z tobą!

Uścisnął lodowatą z emocji dłoń swojej córki, obrócił się w stronę drzwi i, pod przebraniem, które dało się w tak krótkim czasie przygotować, opuścił zamek ze swoim hiszpańskim przewodnikiem, człowiekiem przyzwyczajonym do wielkoduszności swojej pani, który wysłuchał jej polecenia bez zdziwienia, choć nie bez pewnych podejrzeń.

Ledwo minęły trzy kwadranse i słońce wyszło ponad szczyty gór, gdy Izabela dotarła do zamku. Przybyła by oznajmić, że

rewolta mauretańskich miast w najbliższej okolicy, opanowała na pół fortyfikowany zamek jej przyjaciela, który dłużej nie może stanowić dla niej ochrony; dlatego zaszczyciła hiszpańską damę poleceniem towarzyszenia jej, w jej kobiecym stroju, do obozu Ferdynanda.

Leila przyjęła wiadomość z pewnego rodzaju osłupieniem. Jej rozmowa z ojcem, mocna i budząca lęk dyskusja, która wywołała tak duże emocje, pozostawiła jej umysł słaby i rozkojarzony; gdy więc ochłonęła o zbliżającym się zmroku i zorientowała się, że po raz kolejny podróżuje w powozie Izabeli, jedyna myśl, która wirowała w jej oszołomionej głowie, była ta, że ręka Opatrzności odwiodła ją od pokusy, której, jak Ten, który czyta w ludzkich sercach doskonale wie, córka, a zarazem kobieta, mogłaby okazać się za słaba aby się oprzeć.

Piątego dnia po swoim wyjeździe, zgodnie z obietnicami, Almamenowi udało się powrócić do zamku, który zastał opuszczony. Jego córka zniknęła.

Rozdział 21

W zawierusze wielkich wydarzeń budzą się najgorsze uczucia

Izraelici oddali się całkowicie sprawie skrytej konspiracji, o której wcześniej mówiliśmy. W niektórych mauretańskich miastach, które wypowiedziały posłuszeństwo Ferdynandowi, odstąpili oni od neutralności, którą do tej pory zachowywali w wojnie Chrześcijan z Muzułmanami. Czy to dlatego, że pobudziły ich masowe i barbarzyńskie prześladowania wprowadzone przez Ferdynanda i Inkwizycję przeciwko ich narodowi, czy może porwał ich do walki jeden charyzmatyczny przywódca, w którym uznali głowę ich świętej rodziny; prawdopodobnie obie przyczyny miały w tym swój udział, pewne jest, że zaczęli ujawniać uczucia obce dotychczasowym zwyczajom i polityce na ogół pokojowo nastawionych ludzi. Wnosili ogromne finansowe fundusze na rzecz walki, domagali się broni a gdy posiadali własnych dowódców, włączani byli, choć nie bez zazdrości i ostrożności, do oddziałów zarozumiałych i często gardzących nimi Muzułmanów.

W tych niesprzyjających warunkach, Ferdynand uciekł się do swojej ulubionej polityki forteli i podstępów. Wykorzystał on przeciwko Żydom układ, który zawarł z Almamenem, działającym w ich imieniu, rozpuszczając pogłoski, że Żydzi, pragnąc zawrzeć z nim pokój, obiecali wydać mauretańskie miasta, włącznie z Granadą, w jego ręce. Dokument, który Ferdynand osobiście podpisał podczas rozmowy z Almamenem, a który został Al-

mamenowi odebrany po jego uwięzieniu, powierzono szpiegowi, który w przebraniu Almamena udał się do jednego ze zbuntowanych miast aby zniszczyć porozumienie między Izraelitami i Muzułmanami.

Sekretna wieść o przybyciu wysłannika dotarła do dowódcy Maurów. Szpieg został zatrzymany, dokument znaleziony, zgodnie z życzeniem Ferdynanda. Forma tego dokumentu, w jakiej Almamen zawarł swój układ (ostrożnie pomijając swoje imię, zarówno to przybrane, jak i prawdziwe), zaledwie sugerowała, że Żydzi, w przeciągu dwóch tygodni, od ustalonej daty, wydadzą Granadę chrześcijańskiemu królowi, a za to otrzymają prawa i przywileje.

Odkrycie tego dokumentu wprawiło Maurów w taką furię, której nie sposób opisać słowami. W całym mieście zawrzało, odnowiłą się cała wiekowa nienawiść jaką Muzułmanie pałali do Żydów. Nigdy im do końca nie ufali, włączając ich oddziały do swoich armii, a teraz uznali, że wyszedł na jaw prawdziwy powód ich nagłego entuzjazmu i pragnień włączenia się do walki. Tłumy zabrały się do swojego dzieła: najwybitniejsi spośród miejscowych Żydów zostali pojmani i zamordowani na miejscu; część przez rozwścieczone tłumy, inni wskutek powolnych tortur miejskich władz. Do pozostałych zbuntowanych miast wysłano posłańców, przede wszystkim do Granady, aby ostrzec Muzułmanów przed odkrytą zdradą. Popędliwi i chciwi Maurowie przewyższyli Inkwizycję w jej okrucieństwach a Ferdynanda w konfiskatach.

Było mrocznym przeznaczeniem Almamena, podobnie jak większości pochopnych i zapalczywych izraelskich bojowników o wyzwolenie, że dwukrotnie pogorszył on zło, które chciał wykorzenić. Ostrzeżenie dotarło do Granady w czasie, gdy wezyr Jusuf sprawował władzę w zastępstwie swojego królewskiego zwierzchnika. Boabdil wciąż dowodził oblężeniem Salobreny i dokładał starań, aby wyśledzić każdy objaw zdrady. Obawiając

się nowych wymuszeń na Maurach, wezyr powitał wiadomość jak nakaz Nieba, który stał się pretekstem do nowych i zakrojonych na szeroką skalę prześladowań. Chaotyczne okrucieństwa tłumów zostały pohamowane, gdyż przywódcy uznali, że kraj nie potrzebuje rywali w dziele plądrowania; konfiskaty i rabunki były kontynuowane z pełną dostojnością i spokojną regularnością, dostarczając Jusufowi więcej osobistych zysków niż wynosiły jego ogromne pensje wypłacane z królewskiego skarbca.

Pewnego wieczoru, późną porą, Ximen dokonywał swojego rutynowego przeglądu pokojów w domu Almamena. Przyglądając się różnorodnym luksusowym i drogim przedmiotom, od czasu do czasu wybuchał cichym, urywanym chichotem, zacierał swe chude dłonie i szeptał:

– Jeśli on umrze! Jeśli tylko umrze!

Gdy był zajęty tymi rozmyślaniami, usłyszał niewyraźny i odległy krzyk; a przysłuchując się uważniej, zrozumiał słowa, w ostatnich dniach często powtarzane:

– Niech żyje Jusuf, prawowity mściciel, Żydzi zdrajcy!

– Ach! – powiedział Ximen, podczas gdy cały wyraz jego twarzy zmienił się; – nowe rabunki na naszym narodzie! I to twoje dzieło, synu Issachara! Jesteś szalonym człowiekiem, próbowałeś być mądrzejszy od swoich panów, i próbowałeś okpić bałwochwalców w sali narad w ich własnym obozie – ich pole, ich przewaga; naszym polem jest bazar i rynek. Nikt nie podejrzewa wielkiego czarownika o to, że jest zdrajcą; ale ja to wiem! Mógłbym zdradzić twój sekret, a gdybyś zginął, wszystkie twoje dobra i złoto, nawet ten muł przy żłobie, będzie należeć do starego Ximena.

Zatrzymał się z tą myślą, zamknął oczy i uśmiechnął na perspektywy, które wyczarowała jego wyobraźnia, a potem dokończył obowiązki i udał się do swojego pokoju, który otwierał się małymi drzwiami na jedno z tylnych podwórzy. Ledwo zdążył tam dotrzeć, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi wejściowych;

ponieważ powtórzyło się trzy razy, domyślił się, że to jeden z jego współbraci. Ximen bowiem – gdy lata, odosobnienie i skąpstwo ogryzły go z wszelkich cnót dawniej cechujących to samotne i twarde serce – wciąż zachował jedno ludzkie uczucie, przywiązanie do swoich rodaków. Była to więź, która zawsze łączy wszystkich prześladowanych: Ximen kochał swoich rodaków, bo nie mógł zazdrościć im pomyślności. Władza, wiedza, wyniosłość - które wyróżniały jego pana, kłuły jego oczy i drażniły dumę - skrycie więc nienawidził go, bo nie potrafił mu współczuć ani nie mógł go lekceważyć. Ale zgięte ciało, służalczy głos i lękliwy tupet jego poniżonej i prześladowanej nacji, przypominały staremu człowiekowi rzeczy, których nie potrafił zazdrościć. Poniżony i sterany wiekiem, znajdował rodzaj chłodnego ciepła i przyjemności w myśli, że również on może pomóc innym.

Na tej podstawie podtrzymywał stosunki ze znanymi sobie i ważnymi Izraelitami; często, gdy któryś z nich znajdował się w niebezpieczeństwie, dawał mu schronienie w sekretnych piwnicach i korytarzach, których pozostałości wciąż można zobaczyć pod ruinami tajemniczego domostwa. I, jako że dom powszechnie był znany jako własność pewnego nieobecnego emira, gdzie, z polecenia Boabdila, który jako jedyny z Maurów wiedział, że dom należy do Almamena, oficjalnie zamieszkującego pokoje przydzielone mu w królewskim pałacu, zatrzymywali się również muzułmańscy kadizowie. Paradoksalnie, było to zapewne jedyne miejsce w Granadzie, gdzie ścigani i prześladowani Żydzi, mogli znaleźć bezpieczne schronienie, niemalże na oczach swoich wrogów.

Gdy Ximen rozpoznał umówiony sygnał rodaka, poczłapał do drzwi; dla pewności i zgodnie z regułą zapytał o hasło i po chwili otrzymał odpowiedź w tym samym języku. Wprowadził do wnętrza wysoką i przygarbioną postać. Był to stary Eliasz.

– Wspaniały i zacny panie! – powiedział Ximen, rozpoznał bowiem przybysza. Ponownie zaryglował drzwi; – cóż mogło sprowadzić szanownego i zacnego Eliasza do pokoju biednego sługi?

– Przyjacielu, – odpowiedział Żyd; – nie nazywaj mnie zacnym ani szanownym. Przez lata mieszkałem w tym mieście; bezpieczny i poważany, nawet przez Muzułmanów; bo zaprawdę, posiadałem klejnot i skarb ochrony króla i możnych ludzi. Ale teraz, cóż za tragedia! W tym nagłym wybuchu nienawiści, zawsze oznaczającym próżne pobudki, zostałem wezwany do wielkiego Jusufa i uniknąłem tortur wyłącznie dzięki przekupstwu. Poświęciłem majątek, którego dziesięć lat pracy i potu nie będzie w stanie mi zwrócić. Ximenie! Najgorsze w tym wszystkim jest to, że szaleństwo jednego człowieka z naszego własnego narodu, sprowadziło te nowe nieszczęścia na lud Izraela.

– Mój panie, mówisz tajemniczo, – powiedział Ximen z dobrze ukrywanym zdziwieniem w swoich szklistych oczach.

– Dlaczego się wykręcasz, zacny Ximenie? – zapytał Eliasz, potrząsając głową; – dobrze wiesz, że moje słowa są prawdziwe. Twój pan, który przybrał imię Almamena; ten małoduszny Izraelita (o ile można nazwać Izraelitą zdrajcę, który wyrzekł się zwyczajów i zasad swoich Ojców) jest tym, który porwał do walki Żydów Cordoby i Guadix, i którego szaleństwo sprowadziło na nas te straszne prześladowania. Nieśmiertelny Abrahamie! Ten szaleniec kosztował mnie więcej niż pięćdziesięciu Nazareńczyków i stu Maurów!

Ximen nic nie powiedział, gdy język Eliasza rozwiązał się na wspomnienie swoich smutnych doświadczeń:

– Od samego początku, gdy syn Issachara zjawił się powtórnie w Granadzie i stał się doradcą na dworze króla, ja, ten, który prowadzał go jako dziecko do synagogi - bo stary Issachar był mi tak samo drogi, jak własny brat - rozpoznałem go po jego oczach i głosie; ale cieszyłem się na jego zręczność i przebranie; wierzyłem, że może dokonać wielkich rzeczy dla swoich biednych rodaków. Jak wiesz, trudnię się zaopatrywaniem żon i konkubin królewskich w drogocenne ubrania; ale, przez szaleństwo, które w ostatnim czasie zawładnęło nim, stając na czele wojska i pro-

wadząc naszych braci na niebezpieczeństwo i śmierć, zasłużył na wyklęcie z Synagogi i potępienie przez całą naszą rasę. Uważam, że ten zdrajca, który uciekł inkwizycji, jak mówią dematerializując swoje ciało, zdrajca którego szalone i dzikie plany stały się głównym powodem nieszczęść, jakie na nas spadły ze strony Nazareńczyków, a jednocześnie bezrozumne knowania sprowadziły na nas taką samą niedolę ze strony Maurów, ten zdrajca musi za to odpowiedzieć! Niech będzie przeklęty, a jego imię niech zostanie zapomniane!

Ximen westchnął, ale nic nie powiedział, snując domysły do czego zmierza jego gość, wychodząc z tymi inwektywami. Nie musiał długo czekać. Po chwili przerwy, Eliasz zaczął zmienionym i bardziej przyciszonym głosem:

– Jest bogaty, ten syn Issachara, niesłychanie bogaty.

– Ma bogactwa rozrzucone po połowie miast w Afryce i na Wschodzie, – odparł Ximen.

– Widzisz zatem, mój przyjacielu, że twój pan skazał mnie na ciężki los. Znam jego tajemnicę; mógłbym wydać go na gniew króla; mógłbym doprowadzić do jego śmierci. Ale jestem lojalny i łagodny: niech wyrówna mi moje straty, a ja powściągnę mój gniew.

– Jeszcze go nie znasz, – powiedział Ximen, wystraszony myślą o zapłacie, która mogłaby poważnie uszczuplić jego własne dziedzictwo - dobra Almamena w Granadzie, które, jak wiedział, Almamen zapisał mu w testamencie.

– Ale jeśli go wydam?

– Twoje ciało stanie się karmą dla ryb w Darro, – przerwał mu Ximen. – Nie, nawet teraz, gdy Almamen wie, że znasz jego pochodzenie i rasę, strzeż się go! Albo twoje dni w tym kraju będą policzone.

– Doprawdy! – wykrzyknął Żyd w podnieceniu, – a więc sam złapałem się w sidła, bo swoimi własnymi ustami odkryłem przed nim, co wiem.

– A więc prawy Eliasz jest człowiekiem straconym, w ciągu dziesięciu dni od chwili, gdy Almamen powróci do Granady. Znam mojego pana: krew jest dla niego jak woda.

– Niech słabi zostaną pożarci! – wykrzyknął Eliasz, w zapamiętaniu tupiąc nogą, a ognie błyskały z jego oczu; instynkt samozachowawczy wyzwolił w nim wściekłość. – Ale nie ja, – dodał bardziej spokojnie, – nie jestem dla niego jedynym niebezpieczeństwem. Wiedz, że w tym mieście, znajdzie się więcej niż setka Izraelitów, którzy życzą mu śmierci; ludzi, którzy uciekli tutaj z Cordoby, gdzie widzieli swoich rodziców mordowanych a ich majątki grabione, i którzy wiedzą, że Almamen jest przyczyną tych morderstw i grabieży. Dowiedzieli się, kto jest zdrajcą i setka noży pragnie jego krwi, choćby dziś: niech weźmie to pod uwagę. Ximenie, być może mówiłem do ciebie jak głupiec, możesz zdradzić mnie przed swoim panem; ale wiedząc o tobie to, czego się dowiedziałem od naszych braci, otworzyłem przed tobą swoje serce bez lęku. Czy staniesz przeciwko swoim rodakom, czy też pomożesz zniszczyć zdrajcę?

Ximen rozmyślał przez chwilę, a jego myśli wypełniały marzenia o bogactwach jego pana. Wyciągnął prawą dłoń do Eliasza; a gdy dwaj Izraelici się żegnali, wyglądało to tak jak niewinne pożegnanie dwóch starych przyjaciół.

Rozdział 22

Powrót Boabdila. Zmiany w Granadzie

Trzeciego dnia po tej rozmowie, do Granady dotarła wieść, że Boabdil został odparty ze swoim oblężeniem Salobrena ponosząc ciężkie straty; że Hernando del Pulgar zwyciężył, przybywając z odsieczą i licznymi oddziałami; że armia Ferdynanda ruszyła przeciwko królowi Maurów. W samym środku zamieszania, wywołanego przez te wiadomości, przybył posłaniec z potwierdzeniem ich wiarygodności i zapowiedzią powrotu Boabdila.

Nocą, wyprzedzając swoją armię, król przybył do miasta i pośpiesznie ukrył się w Alhambrze. Gdy, szukając pocieszenia, pojawił się w pobliżu apartamentów kobiecych, napotkał tam swoją srogą matkę.

– Mój synu, – powiedziała oschle, – powracasz jako pokonany?

Zanim Boabdil zdążył odpowiedzieć, odgłos lekkich i pośpiesznych kroków rozległ się pomiędzy błyszczącymi arkadami; szlochając z radości i łamiąc wszystkie orientalne zasady dworskiej etykiety, niewolnica Amina rzuciła mu się na szyję.

– Mój kochany! Mój król! Światło moich oczu! Wróciłeś. Witaj, bo jesteś zdrów i cały!

Odmienne formy tych dwóch powitań wstrząsnęły silnie Boabdilem.

– Widzisz matko, powiedział, – jak wielka różnica jest między tymi, którzy kochają mnie z namiętności a tymi, którzy kochają mnie z dumy. Oszczędź mi żądła twojego języka, matko!

– Ale ja kocham cię samolubnie, – wymruczała Amina; – właśnie dlatego twoja niepomyślność w wojnie jest mi droga, bo dzięki niej odwracasz się od świata i mam cię dla siebie, jestem dumna z tego, że mój bohater odwzajemnia uczucia swojej niewolnicy. Bo dla mnie będziesz zawsze bohaterem.

– Wnieść światła i przygotować ucztę! – zarządził król, odwracając się od swojej pysznej matki; – będziemy ucztować i weselić się, dopóki możemy. Kochana Amino, pocałuj mnie!

Dumny, rozrzewniony i wzruszony Boabdil, nie czuł w tej chwili żadnego żalu: takim balsamem bywa miłość dla naszych cierpień, gdy jej skrzydła zapożyczone bywają od przysłowiowej gołębicy! I chociaż prawa wschodniego stylu życia ograniczały do wąskich ścian haremu dyskretny wpływ Aminy na króla; chociaż, tu w tej powieści, NATURA RZECZY zmusza nas do ukazania jej żywej i bogatej osobowości jedynie w krótkich i pośpiesznie naszkicowanych fragmentach, jednak wystarczają one, aby zarysować najbardziej urocze i szlachetne cechy pięknej płci - duszę, która potrafi nad nami zawładnąć, miękkość, która wspiera nas w naszych upadkach!

Gdy Boabdil i jego armia pozostawały w mieście, Muza, z wybranym oddziałem jazdy, przemierzał kraj, odwiedzając zdobyte miasta i podtrzymując w nich wojenny zapał.

Od tego zadania został oderwany w obliczu nowych posunięć armii Ferdynanda, który po raz kolejny najechał Vega, całkowicie niszcząc tamtejsze plony a następnie wycofał się aby dokończyć podbojów reszty zbuntowanych miast. Do czasu tego najazdu, panował względny spokój, który był tylko ciszą przed burzą. Ze wszystkich części Hiszpanii, najdzielniejsi i najroztropniejsi spośród Maurów, wykorzystując przerwę w działaniach wojennych, ściągali do Granady. Granada stała się cen-

trum wszystkiego, co europejscy Muzułmanie posiadali w postaci odważnych i zdecydowanych na wszystko ludzi.

W końcu Ferdynand, napełniwszy na nowo skarb państwa, zakończył lokalne zmagania z buntownikami, postawił na nogi wszystkie siły ze swoich ziem – czterdzieści tysięcy piechoty i dziesięć tysięcy jezdnych; i jeszcze raz, tym razem ostatni, pojawił się pod murami Granady. Powaga i profetyczna determinacja napełniała obie strony, oblegających i obleganych: każda ze stron wierzyła, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki.

Rozdział 23

Pożar. Majestat samotnej namiętności pośrodku wrogich tysięcy

Nadszedł wieczór wielkiego i głównego natarcia na Granadę, skrzętnie zaplanowanego przez wodzów chrześcijańskiej armii. Hiszpański obóz (najświetniejszy, jaki chrześcijańskie kraje do tej pory widziały) stopniowo uspokoił się i uciszył. Cienie zaległy na ziemi, gwiazdy świeciły jakby bardziej pogodnie i wyraźnie. Jasno w tym lazurowym powietrzu, powiewały płótna dworskich namiotów, rozbłyskiwały rodowymi herbami i ukoronowane barwnymi sztandarami, które, rozdymane orzeźwiającym i szumiącym górskim wiatrem, łopotały wesoło na swoich pozłacanych drzewcach. W samym środku obozu rozstawiony był pawilon królowej - jak mały pałac. Kopie posłużyły tu za kolumny; brokaty i barwne arrasy za ściany; a wewnętrzna przestrzeń, którą wypełniały liczne oddzielone od siebie pomieszczenia, zorganizowana była na wzór komnat i umocnień murowanego zamku. Przepych tego obozu, realizował najbujniejsze fantazje ludzi gotyku, połączone z orientalnym splendorem; mógł to być obóz zaplanowany przez najwybitniejszych architektów. Zbytek dworskich namiotów był dodatkowo podkreślony przez szeregi rycerskich namiotów, rozlokowanych dookoła całego obozu, z których większość zbudowana była ze świeżo ściętych konarów, z porastającym je wciąż listowiem - dzikie i malownicze szałasy - jak gdyby, na wzór dawnych legend, na pół

dzicy ludzie lasu podjęli wyzwanie świętego krzyża i podążyli za chrześcijańskimi rycerzami przeciwko śniadym zwolennikom Termagunta i Mahunda.

Tak przedstawiał się widok pogrążonego w odpoczynku obozu, gdy mroki północnej godziny rzucały coraz czarniejsze i dłuższe cienie na murawę alejek i uliczek wijących się wokół namiotów. O tej właśnie porze Izabela, w najbardziej osobistej części swojego pawilonu, pogrążona była w modlitwach za bezpieczeństwo króla i za sprawę Świętej Wojny. Klęcząc przed ołtarzem koszarowej kapliczki, jej duch oderwał się od spraw ziemskich - tak głęboka była jej religijna żarliwość; w całym obozie (z wyjątkiem straży), oczy tej pobożnej królowej były, być może, jedynymi, które pozostawały otwarte. Nad wszystkim panował całkowity spokój; jej osobiste straże, jej świta udała się na spoczynek; nawet odgłos kroków wartownika pełniącego swój obowiązek poza pawilonem, ledwo docierał do jej uszu spoza jedwabnych ścian.

Wtedy właśnie królowa, gdy wciąż klęczała przed polowym ołtarzem, poczuła nagle silny uścisk na swoim karku. Cichy jęk wydobył się z jej ust; obróciła się i ujrzała szeroki, zakrzywiony nóż muzułmańskiego wojownika, błyszczący tuż przed jej oczami.

– Bądź cicho! Tylko krzyknij, westchnij głośniej niż trzeba, a chociaż jesteś królową w samym środku uzbrojonej armii, umrzesz!

Takie słowa dotarły do uszu kastylijskiej władczyni, wyszeptane przez człowieka o wyniosłej i władczej, chociaż wychudzonej twarzy.

– Czego chcesz? Czy naprawdę chcesz mnie zabić? Twój naród zapłaci za to tysiącami zamordowanych, – powiedziała królowa, drżąc, bo pierwszy raz śmierć spojrzała jej z tak bliska w oczy.

– Nie zabiję królowej, jeśli nie oszuka mnie i nie będzie próbować mnie zwieść. Nie mam wiele czasu - odpowiedz mi. Nazywam się Almamen, Izraelita. Powiedz mi, gdzie jest zakładniczka, młoda dziewczyna powierzona twojej pieczy? Żądam oddania mi mojej córki! Powiedz gdzie jest?

– Nieokrzesany cudzoziemcze! – odparła królowa odzyskując panowanie nad sobą, – twoja córka wyjechała, wierzę, że na zawsze, uciekła od twoich bezbożnych rąk! Nie ma jej w obozie!

– Nie kłam, królowo Kastylii, – powiedział Almamen, unosząc swój nóż: – bo dnie i tygodnie wędrowałem twoim śladem, śledziłem twą drogę, byłem blisko, gdy spałaś, chociaż straże w kolczugach stały dookoła; wiem, że moja córka cały czas była z tobą. Nie myśl, że zaryzykowałem bez rozwagi i że nie odważę się na więcej. Odpowiedz mi, gdzie jest moje dziecko?

– Wiele dni drogi stąd, – odparła Izabela, niepewna jak zareaguje Almamen na wiadomość, – twoja córka opuściła obóz aby odejść do klasztoru. Było to jej własne pragnienie. Zbawiciel przyjął ją do swojej owczarni.

Gdyby tysiące włóczni przeszyło nagle serce Almamena, nie pozbawiłoby go to bardziej sił żywotnych i energii. Zacięty wyraz jego twarzy zmienił się w jednej chwili z rozwagi i groźby w nieopisany strach, gniew i przerażenie. Cofnął się kilka kroków; jego kolana drżały nerwowo; zdawał się być ugodzony śmiertelną strzałą. Izabela, najbardziej śmiała i dumna spośród swojej płci, dostrzegła tę chwilę zwłoki; skoczyła przed siebie, przedzierając się poprzez zasłony do apartamentów zajmowanych przez jej świtę i w jednej chwili cały pawilon rozbrzmiał jej wołaniem o pomoc.

Straże zerwały się na nogi; służba wyskoczyła se swoich posłań; dowiedzieli się przyczyny alarmu; pobiegli do kapliczki, ale zanim dotarli do jedwabnego przepierzenia, jasny i niespodziewany płomień buchnął nad ich głowami. Namiot płonął. Niektórzy ze strażników ośmielili się jeszcze skoczyć do wnętrza, ale

dym i płomienie odepchnęły ich oślepionych i oszołomionych. Sama Izabela ledwo zdołała uciec, tak gwałtownie rozprzestrzeniał się ogień. Obawiając się o swojego męża, pobiegła do jego namiotu, ale zastała go zbudzonego przez hałas, w pełni zbroi, wychodzącego z namiotu z dobytym mieczem w ręce. Wiatr, który jeszcze kilka chwil wcześniej owiewał triumfalne sztandary, teraz rozprzestrzeniał niszczące płomienie. Ogień przenosił się z namiotu na namiot, prawie jak błysk pioruna strzelającego z sąsiednich chmur. Obóz zamienił się w jeden wielki płomień, zanim ktokolwiek zaczął myśleć o ugaszeniu pożogi.

Nie czekając na tłumaczenia swojej królewskiej małżonki, Fedynand wykrzyknął:

– To dzieło Muzułmanów, atakują nas! – rozkazał bić w bębny i grać trębaczom. Osobiście pośpieszył, owinięty jedynie długim płaszczem, zaalarmować swoich dowódców. Gdy ta doskonale zdyscyplinowana i doświadczona w bojach armia, oczekując w każdej chwili szarży wroga, zdołała w błyskawicznym tempie uformować szeregi w prawidłowy szyk, podczas gdy ogień wciąż rozprzestrzeniał się aż płomienie rozjaśniły całe niebo. W ich żarze topiły się pancerze i hełmy jak w piecu, a uzbrojeni rycerze wydawali się raczej żywymi i upiornymi meteorami niż istotami ludzkimi. Granada zdawała się przybliżyć do nich w łunach pożaru; i gdy oddział rycerstwa wyruszył z obozu aby stawić czoła spodziewanej szarży mauretańskich wojsk, ujrzeli oni, ponad murami i dachami Granady, stłoczonych Muzułmanów i ich błyszczące tarcze. Ale podobnie jak Chrześcijanie stali oni bezczynnie, zadziwieni i najwyraźniej zszokowani wydarzeniem. Maurowie, wbrew obawom Ferdynanda, nie ruszali poza bramy miasta.

Tymczasem pożar, tak samo nagle jak się pojawił, teraz stawał się nierówny i słabszy; noc zdawała się zalegać z melancholijną ciemnością nad pogorzeliskiem, w które zmieniło się to przystrojone jedwabiem miasto.

Ferdynand zwołał naradę. Teraz domyślił się już, że nie był to atak Maurów. Opowieść Izabeli, której w końcu zechciał wysłuchać; niezwykły i niemal nadprzyrodzony sposób, w jaki Almamen zwiódł jego straże i przedostał się do królewskiego namiotu; wzmocniłyby tylko jego gotycką przesądność, ale po chwili pierwszego wrażenia znalazł sposób aby wyjaśnić całe zdarzenie bardziej ziemskimi argumentami. Pamiętał bowiem osobliwe, ale dalekie od nadprzyrodzonych, zdolności z jakimi wschodni wojownicy, a nawet zwykli rabusie byli w stanie, podobnie jak teraz, obejść jeszcze większe zabezpieczenia i wyprowadzić w pole najczujniejsze straże; i stało się oczywiste, że ogień, który pochłonął obóz, wzniecony został jedynie z zemsty, albo w celu umożliwienia ucieczki jednego człowieka. Otrząsając się w ten sposób ze strachu przed czarami, uznał, że wielkość katastrofy, gdy połączyć ją z imieniem Almamena, z pozoru przytłaczająca, daje mu szansę wyciągnięcia korzyści z zaistniałej sytuacji. Podniecenie i gniew oddziałów, sprawiły, że zapał wojenny osiągnął poziom doskonale nadający się do rozpoczęcia ataku.

– Niebo, – powiedział król Hiszpanii do swoich rycerzy i dowódców, którzy stali zgromadzeni wokół niego, – tym pożarem dało znak obrońcom Krzyża, że od tej pory ich obozem będzie Granada! Zagłada dla wrogów z jutrzejszym porankiem!

Zadzwoniła broń, zgrzytnęły miecze wyjmowane z pochew, gdy chrześcijańscy rycerze powtarzali słowa groźby:

– Zagłada dla wrogów!

KSIĘGA PIĄTA

Rozdział 24

Walna bitwa

Po tej strasznej nocy, wolno budził się dzień; Maurowie, wciąż na murach Granady, widzieli całą armię Ferdynanda maszerującą na ich zagładę. W oddali leżały szczątki sczerniałego i dopalającego się obozu; a przed oczami mieszkańców Granady powiewały barwne i połyskujące proporce i brzmiały trąbki triumfujących legionów wroga. Maurowie nie mogli uwierzyć własnym zmysłom. Łudzili się, że Chrześcijanie wycofają się po tak kompletnej katastrofie, ale barwny i oślepiający widok przygotowujących się do ataku szeregów, napełnił ich konsternacją i strachem.

Z tego zadziwienia i bierności wyrwał ich dźwięk trąbki, który usłyszeli za ich plecami; potem ujrzeli mauretańskiego króla na czele swojej przybocznej gwardii, gdy pojawił się na drodze wiodącej do bram miasta. Widok orzeźwił i natchnął obserwujących radością; a gdy Boabdil zatrzymał się na placu przed portalem, złowieszczy okrzyk dwudziestu tysięcy wojowników dotarł do uszu zbliżających się Chrześcijan.

– Mieszkańcy Granady! – powiedział Boabdil, gdy tylko zamilkły okrzyki i zapanowała głęboka i pełna wyczekiwania cisza. – Marsz wroga jest marszem na ich własną zgubę! W ogniu ostatniej nocy, ręka Wszechmocnego zapisała ich klęskę. Ruszajmy do walki, jak jeden mąż! Pozostawiamy nasze domy niestrzeżone - nasze serca niech staną się ich murami! Prawdą jest, że nasze wojska są zdziesiątkowane przez głód i mordercze bitwy, ale jest

nas wciąż wystarczająco dużo, żeby ochronić Granadę. Umarli nie opuścili nas: ci co zginęli, będą walczyć po naszej stronie, ich dusze będą ożywiać nasz zapał. Ten, kto stracił brata, niech stanie za dwóch. W tej bitwie stawiamy wszystko na jedną szalę. Wolność albo kajdany! Imperium albo wygnanie! Zwycięstwo albo śmierć! Naprzód!

Powiedział to i ściągnął cugle swojego wierzchowca. Koń wyskoczył do przodu i zniknął w mrocznym tunelu wejściowego portalu, tym samym Boabdil el Chico był pierwszym Muzułmaninem, który przekroczył tego dnia bramy Granady i ruszył na tę ostatnią i pamiętną bitwę. Za nim wylała się, jak wody rzek wylewają się z jaskiń na światło dzienne, lśniąca i zwarta mauretańska jazda. Muza jechał ostatni, zamykając pochód. Na jego ciemnym i wyniosłym czole nie było znaku żarliwego entuzjazmu porywczego króla. Rysy twarzy były skupione, poważne; a cierpienia ostatnich ponurych tygodni wyszczupliły jego policzki i naznaczyły głębokimi bruzdami zacięte usta i mocne żuchwy, które najlepiej oddawały uparty, nieposkromiony rys jego charakteru.

Muza szybko otrząsnął się z mrocznych myśli, odzyskał bojowy zapał i wyskoczył na przód szeregów. Jadąc wzdłuż wijących się linii, doprowadzał ich rozkazami do porządku, podniósł się krzyk kobiecych głosów; rycerze, którzy na ten dźwięk obejrzeli się za siebie, zobaczyli, że ich kobiety - żony i córki, ich matki i kochanki (w tej niecodziennej i niebezpiecznej sytuacji uwolnione z miejsc odosobnienia) - patrzyły za nimi, z rozłożonymi ramionami, stojąc w oknach strzelniczych, na wieżach. Maurowie wiedzieli, że będą dziś walczyć za swoją wiarę i naród, który, jeśli zostaną pokonani, stanie się narodem wygnanym; dlatego każdy z nich wzmacniał swoje serce do twardości stali, z której wytopione zostały ich własne szable.

Gdy jazda uformowała się w regularne szwadrony, a piechota wroga podchodziła coraz bliżej, mauretańska piechota, w różno-

rodnych, zajadłych i niezorganizowanych grupach, wyruszyła z miasta, rozsypując się szeroko pod murami. Ujrzeli tam Boabdila, dosiadającego swojego rumaka, energicznie uwijającego się między szeregami, zaprowadzającego porządek i wymuszającego posłuch, krótkimi i jasnymi rozkazami, a chwilami gniewnymi upomnieniami, powściągając ich żarliwe, ale nieutemperowane męstwo.

Tymczasem Chrześcijanie zatrzymali się nagle; Ferdynand, rozważając swoje strategie, postanowił zaangażować jedynie część oddziałów, powściągając entuzjazm i bitewną gorączkę rycerstwa. Wezwał do siebie Hernanda del Pulgar i nakazał mu, aby z oddziałem najwaleczniejszych i najlepiej wyszkolonych rycerzy, rozpoczął działania zaczepne podjeżdżając w kierunku mauretańskiej jazdy. Znaleźć i wywabić przed główne siły zawziętego Muzę. Potem, rozdzielając swoją armię na mniejsze oddziały, wyznaczył każdemu z nich odrębne zadania i miejsca; część z nich miała nacierać na najbliższe wieże, pozostali mieli otworzyć ogień na otaczające je ogrody i sady; tak żeby natarcie podzieliło się na wiele mniejszych ognisk bitewnych, zamiast koncentrować się w jednym miejscu, ażeby Maurowie stracili przewagę, jaką dawała im koncentracja sił.

Gdy Muzułmanie oczekiwali na rozkaz do ataku, nieoczekiwanie ujrzeli główne siły Chrześcijan idące w rozsypkę i, ciągle zaskoczeni i zdezorientowani, spostrzegli ognie wybuchające w ich wspaniałych ogrodach, po lewej i prawej stronie Murów, i usłyszeli huk dział chrześcijańskiej artylerii mierzącej w świeże wały obronne, pośpiesznie zbudowane w celu utrudnienia wrogom dostępu do miasta.

W tej samej chwili tuman kurzu potoczył się w kierunku placówki zajmowanej przez oddział Muzy i grupa chrześcijańskich rycerzy, w pełnych zbrojach, uderzyła w sam środek oddziału muzułmańskiego bohatera.

Wyżej nad innych, wznosił się ogromny pióropusz potężnego del Pulgara; gdy Maurowie, jeden za drugim, rozstępowali się

przed długą kopią Hiszpana, jego głos, brzmiący głośno i nieziemsko spod jego przyłbicy, wykrzykiwał:

– Śmierć wrogom Chrystusa!

Szybka i zręczna jazda z Granady nie była, mimo to, zbita z tropu tym pełnym animuszu atakiem; otworzywszy jedno skrzydło, przyjęli atak wroga z niesłychaną energią, gdy Hiszpanie wdarli się w sam środek ich oddziału, nie czyniąc jednak większych szkód, a następnie, zwierając na powrót szeregi, utworzyli jedną, najeżoną szablami i lancami, linię, odcinając drogę odwrotu nacierającym.

Chrześcijanie zatoczyli koło i ruszyli ponownie na swoich wrogów.

– Gdzie jesteś, ty niewierny tchórzu, który udaje lwa?! Gdzie jesteś Muzo, Muzo Ben Abil Gazan!?

– Tuż przed tobą, Chrześcijaninie! – wykrzyknął stanowczy i zdecydowany głos; pomiędzy głowami jego podwładnych błysnął jasny turban słynnego Maura.

Hernando wstrzymał swojego wierzchowca, przez chwilę patrzył na swojego wroga, cofnął się nieco dla większego impetu uderzenia i chwilę później, najdzielniejsi rycerze dwóch walczących stron, starli się kopia w kopię, szabla w szablę.

Okrągła tarcza Muzy przyjęła cios broni Chrześcijanina; a jego własny oszczep, zawirował tuż przy piersi potężnego Hiszpana, ale nie zdołał go zranić. Muza dobył miecza, wykręcając nim zręcznie ponad głową i przez kilka minut oczy obserwujących ledwo mogły dostrzec zadziwiającą szybkość z jaką zadawane były i odpierane ciosy tych doskonałych rycerzy.

W końcu Hernando, niecierpliwie wyczekujący okazji, żeby użyć swojej ogromnej siły, zdołał przystąpić blisko do przeciwnika; zwalniając miecz, który zawisł na rzemieniu przywiązanym do jego nadgarstka, chwycił tarczę Muzy swoim strasznym uściskiem i odrzucił ją daleko z największą siłą, Maur na próżno usiłował się przeciwstawić: raptownie ściągnął cugle swojego ru-

maka i, zanim Hiszpan odzyskał po zamachu równowagę (włożył w zamach zbyt dużo energii, która wytrąciła go na moment z równowagi) poderwał swojego czarnego wierzchowca do góry, atakując kopytami, i krótką, ale twardą buławą, którą woził przymocowaną do łęku siodła, zadał potężny cios w głowę chronioną żelaznym hełmem. Hernando spadł z konia zamroczony i bez zmysłów.

W jednej chwili Muza zeskoczył z konia, podniósł swoją tarczę, dobył szabli i przycisnął kolano do piersi obalonego przeciwnika; w ten sposób Don Henrnando del Pulgar pożegnałby się z życiem, bez księdza i medyka, ale inni hiszpańscy rycerze, którzy walczyli w pobliżu zobaczyli, że ich bohater potrzebuje wsparcia i w mgnieniu oka dwudziestu rycerzy rzuciło się w odsiecz swemu dowódcy i dwadzieścia kopii skierowało swoje ostrza na Lwa Granady, pozbawiając go szansy dobicia przeciwnika. Ale w tym samym momencie, z taką samą determinacją, zaatakowali Hiszpanów towarzysze Muzy; rozgorzała bitwa na śmierć i życie wokół wciąż nieprzytomnego Chrześcijanina. Muza nie miał ani jednej wolnej chwili, aby odchylić hełm Hernanda i znaleźć wolne miejsce do zadania śmiertelnego ciosu; włócznie i tętniące kopyta dookoła sprawiały, że położenie Muzułmanina było w istocie znacznie trudniejsze niż Chrześcijanina. Tymczasem Hernando odzyskał przytomność, szybko orientując się w sytuacji, wypatrzył okazji dla siebie i nagłym szarpnięciem, strząsnął kolano Maura. W następnej chwili stał już na nogach i dwóch wojowników na nowo stanęło naprzeciw siebie, obaj rządni kontynuowania pojedynku, obaj rządni krwi. Ale pieszo Muza, choć śmiały i szybki, nie mógł dorównać niezrównanej sile i niedosiężonemu ramieniu Chrześcijanina. Musiał wycofać się, zagwizdał na swojego konia, który przedarł się przez szeregi jazdy i w jednej chwili pojawił się przy swoim panu, a ten dosiadł go i puścił się w sam środek arabskiej czeredy, zanim wciąż lekko oszołomiony po omdleniu Hiszpan uświadomił sobie jego zniknięcie. Hernando nie był jednak wolny od niebezpieczeństwa.

Oczyszczając pole wokół siebie, kładąc trupem trzech rycerzy, którzy padli jeden po drugim pod jego szablą, Muza zdjął teraz z pleców krótki, arabski łuk i strzała za strzałą poleciały na kolczugę pozostającego na nogach Chrześcijanina i to z taką częstotliwością, że obciążony swoją ciężką zbroją, nie był w stanie ani uciec z ostrzeliwanego miejsca, ani znaleźć sposobu, żeby odeprzeć ten grad strzał; poczuł, że tylko szczęśliwy traf, albo Święta Matka, może uchronić go przed śmiercią, którą mogła przynieść jedna ze strzał, gdyby udało jej się przeniknąć przez wizjer jego hełmu, albo trafiając w odkryte na karku połączenie hełmu z resztą zbroi.

– Matko Miłosierna, – wyjęczał rycerz zbity z tropu i rozwścieczony, – nie pozwól żeby twój sługa został tu zadźgany jak jeleń, z ręki tego tchórzliwego zbója; jeśli mam umrzeć, niech się to stanie w równej walce!

Zanim dokończył tej krótkiej inwokacji, z oddali doszedł jego uszu wojenny okrzyk Hiszpanów i wyborowa jazda Villeny ukazała się spoza wzniesienia, galopując przez równinę na odsiecz swoim towarzyszom. Uwaga Muzy została odwrócona od osobistego wroga, choć był to przeciwnik wart zachodu; wykręcił się, zebrał swoich ludzi i, wyjeżdżając im w pół drogi, zwartą szarżą, starł się z hiszpańską odsieczą.

Faktem było, że koncentracja natarcia w tym miejscu sprawiła, że plany Ferdynanda powiodły się całkowicie. Udało mu się rozbić bitwę na szereg mniejszych ognisk. W oddali i niemal na wyciągnięcie ręki, równina, las, ogród, wieża, każde z tych miejsc stanowiło obraz zawziętej i pełnej determinacji walki. Boabdil, na czele swojej wybornej gwardii, kwiatu pysznej kasty szlachciców, którzy stanowili największą konkurencję dla rodu Muzy, eskortowani przez olbrzymich Etiopczyków, wystawiali się na największe niebezpieczeństwa, z niezachwianym męstwem ludzi, którzy są świadomi tego, że dla nich stawka w bitwie jest największa. Jako że Boabdil najbardziej obawiał się o morale pie-

choty, to właśnie pomiędzy piechotą dokonał najwięcej ze swoich bitewnych dzieł; gdziekolwiek się pojawił, przewaga w bitwie przechylała się na stronę Maurów. Wreszcie, około południa, Ponce de Leon powiódł silny i liczny batalion najbardziej zdyscyplinowanych i doświadczonych rycerzy Hiszpanii przeciwko największemu oddziałowi mauretańskiej piechoty. Zdołał przejąć fortecę, z której jego artyleria mogła skutecznie razić; a oddział, któremu przewodził składał się głównie z rycerstwa podbudowanego ostatnimi zwycięstwami, częściowo były to świeże rezerwy - po raz pierwszy ruszających w pole ludzi.

Piękny i zapierający dech w piersi widok przedstawiało to chrześcijańskie rycerstwo, gdy wyłaniało się z płonącego zagajnika, który podpalili podczas swojego marszu; czerwone światło połyskiwało na ich pełnym uzbrojeniu, gdy, w silnym i pełnym powagi porządku, posuwali się w kierunku rozkołysanych i krzykliwych szeregów mauretańskiej piechoty. Boabdil dowiedział się o niebezpieczeństwie od swoich zwiadowców; pośpiesznie opuścił wieżę, z której jeszcze przed chwilą obserwował szeregi wroga i wyruszył naprzeciw batalionów prowadzonych przez zręcznego Ponce de Leona. Niemal w tym samym czasie, dzika i złowróżbna postać Almamena, długo nieobecnego pomiędzy Maurami, pojawiła się nagle w tej samej części pola bitwy. Było to tak niespodziewane i nagłe, że nikt nie zauważył skąd się wziął; srebrny sztandar w jego lewej ręce - miecz, obnażony i ze śladami zaschniętej krwi, w prawej - twarz odkryta, długie włosy rozwiane na wietrze, cała postać przepełniona natchnionym podnieceniem. Jego nagłe pojawienie się dodało Maurom świeżej odwagi.

– Idą! Idą! – krzyczał głośno, – Bóg Wschodniego Świata oddaje Gotów w wasze ręce! – Od szeregu do szeregu, od jednej linii do następnej, od jednego ogniska bitwy do drugiego, przemykał ten niecodzienny wojownik. Gdy magiczny sztandar powiewał przed rycerzami, wszyscy przymykali oczy i szeptali “niech tak

się stanie!" w odpowiedzi na jego wezwania. Z drugiej strony, okrzyk "Hiszpania i Św. Jakub!", wróżył nieugiętą szarżę chrześcijańskiego wojska.

W tej samej chwili, z dopiero co zdobytej przez Ponce de Leona twierdzy, artyleria otworzyła ogień, siejąc spustoszenie między Maurami. Zawahali się oni na chwilę, ale gdy spostrzegli srebrny sztandar Almamena i jego samego, gdy w pojedynkę, pieszo, rzucał się pomiędzy wroga, obowiązek przemówił do ich sumień. Przyzwyczajeni wierzyć, że losy wojny zależą od zachowania tego magicznego sztandaru, Muzułmanie nie mogli patrzeć bezczynnie i bez wstydu, jak Almamen samotnie ruszał do ataku. Poszli za nim, zacisnęli szeregi, Boabdil osobiście, wymachując mieczem i wznosząc zapalczywe okrzyki, ruszył do walki z pełnym impetem na czele swojej gwardii i Etiopskiego oddziału. Bitwa stała się zażarta i krwawa. Trzykrotnie srebrny sztandar znikał pomiędzy ciasno stłoczonymi szeregami; trzykrotnie, jak księżyc spoza chmur, rozbłyskiwał ponownie - światło i przewodnik mauretańskiej armii.

Godziny mijały; wzgórza rzucały już wydłużone cienie ponad płonącymi gajami i cichą Darro, której wody, w każdym zakolu gdzie zatrzymywały się fale nurtu, czerwieniły się od krwi. Ferdynand, zebrawszy wszystkie rezerwy, zstąpił z wzgórza, z którego przez cały czas obserwował śmiertelne zmagania. Wraz z nim ruszyło trzy tysiące piechoty i tysiąc konnicy, ze świeżymi siłami i z bojowym zapałem, żądnych wzięcia udziału w wydarzeniach tego pełnego chwały dnia. Sam król, który, choć z natury nie znający lęku, z uwagi na interesy i bezpieczeństwo królestwa, rzadko narażał swoją osobę, chroniony w sytuacjach zagrożenia, zdecydował, że nie okaże się gorszy od muzułmańskiego Boabdila; okryty zbroją od stóp do głowy, tak gęsto wysadzaną złotem, że zdawała się cała zbudowana z drogocennego kruszcu, ze śnieżnobiałym pióropuszem powiewającym ponad wąskim diademem, który otaczał jego wysoki hełm, zdawał się

być doskonałym wodzem tych uzbrojonych bohaterów. Tuż za nim puszył się wielki sztandar Hiszpanii, trąby i cymbały oznajmiły jego nadejście. Hrabia de Tendilla jechał u jego boku.

– Señor, – powiedział Ferdynand, – Muzułmanie walczą mężnie; ale są w pułapce, lada moment zamkniemy nad nimi nasze kleszcze. Ale cóż to za kawalkada?

Oddział, który właśnie przykuł uwagę króla składał się z sześciu giermków, niosących, na wojskowych noszach złożonych z tarcz, niewzruszoną postać Hernanda del Pulgar.

– Ach, łajdaki! – wykrzyknął król, gdy rozpoznał bladą twarz rycerza tak kochanego przez całą armię, – czy zamordowali oni najdzielniejszego wojownika, jaki kiedykolwiek służył pod hiszpańskim sztandarem?

– Nie do końca, wasza wysokość! – odparł słabym, ale jeszcze nie zza grobu, głosem ten, którego król wychwalał, – jednak ciężko mnie poranili, psubraty.

– Musiało być ich wielu, jeśli dali radę cię powalić, – powiedział król.

– To była buława Muzy Ben Abil Gazana, za pozwoleniem waszej wysokości, – powiedział jeden z giermków; – ale cios został zadany gdy dobry rycerz był ogłuszony, a zaraz potem jego własne ramię odparło poganina! Bohaterski czyn!

– Pomścimy cię, jak należy, – odparł król zaciskając zęby: – niech nasi medycy zaopiekują się jego ranami! Naprzód! Panowie rycerze! Na chwałę Św. Jakuba i Hiszpanii!

Bitwa toczyła się w najlepsze; Muza i jego kawaleria dołączyli do Boabdila i mauretańskiej piechoty. Z drugiej strony, Villena dostał wsparcie przez oddziały, które niemal we wszystkich innych częściach pola bitwy rozgromiły wroga. Maurowie byli spychani do tyłu, choć wolno, cal po calu; znajdowali się teraz na szerokiej przestrzeni, tuż przed murami, które wciąż były zapełnione pobladłymi twarzami starców i kobiet obserwujących walkę: w każdej chwili, gdy ogień artylerii cichł, głosy,

które mówiły o domu, wznosiły się w to ponure powietrze i docierały do uszu Muzułmanów. Krzyk, który rozbrzmiał wśród chrześcijańskich szeregów, gdy Ferdynand dołączył do walczących, spadł na Boabdila jak wyrok śmierci, pogrążając wszystkie jego nadzieje. Zrozumiał beznadziejność swojej sytuacji, ale krew wojowniczych przodków wrzała w jego żyłach, a pobudzający głos Almamena, którego fanatyzmu nic nie było w stanie ugasić, napełniał go rodzajem nadprzyrodzonego szału.

– Król przeciwko królowi, niech tak się stanie! Niech Wszechmocny zdecyduje, który z nas zwycięży! – wykrzyknął mauretański władca. – Przewiąż tę moją ranę, to nic wielkiego! Rumak dla Almamena! Mój proroku i mój przyjacielu, dosiądź konia i ruszaj przy boku swojego króla, jeśli przyjdzie zginąć, umrzemy razem!

Przez mężne chrześcijańskie szeregi przeszedł dreszcz podziwu, gdy ujrzeli mauretańskiego króla, wyróżniającego się swoim pięknym wierzchowcem z uprzężą ozdobioną klejnotami, który prowadził niewielki oddział, jaki mu jeszcze pozostał, jeszcze raz naprzeciw ich licznych linii.

W tym samym czasie Muza ze swoimi Zegris przypuścił zapalczywy atak; mauretańska piechota, podniecona przykładem swoich dowódców, podążyła za nimi z niezmniejszonym, upartym zapałem.

Chrześcijanie cofnęli się - zostali odparci na pewien dystans: Ferdynand wyskoczył naprzód; zanim obie strony się zorientowały, dwaj królowie starli się pośród panującego zamieszania: cały porządek i dyscyplina, przez ten czas, zgubiła się, generał i król, jak zwykli rycerze, walczyli ramię w ramię. Właśnie wtedy Ferdynand, powaliwszy przed sobą kopią Naima Reduona, ustępującego sławą w Granadzie jedynie Muzie, ujrzał przed sobą straszną postać, która zdawała się chrześcijańskiemu władcy raczej szatanem niż człowiekiem: jego długie, kruczoczarne włosy i broda, splamione krwią, opadały jak węże na twarz, której

rysy, ukształtowane tak, że wyrażały najciemniejsze namiętności, były wykrzywione graniczącą z obłędem wściekłością. Ranny w wielu miejscach, krew przesiąkała przez jego kolczugę; a ponad jego głową powiewał sztandar zapisany tajemniczymi znakami, które Ferdynand interpretował jako oznaki czci dla demonów z innego świata.

– Teraz! Łamiący słowa przysięgi królu Nazareńczyków! – wykrzyknął strasznym głosem Almamen, – w końcu się spotykamy! Już nie jako gospodarz i gość, władca i derwisz, ale mężczyzna z mężczyzną! To ja, Almamen! Walcz, albo giń!

Powiedział a jego miecz tak niespodziewanie i gwałtownie spadł na królewską przyłbicę, że Ferdynand pochylił się pod ciosem aż do łęku siodła. Ale natychmiast doszedł do siebie i mężnie stawił czoło rywalowi; a był to przeciwnik, który umiał wystawić najdzielniejszego rycerza na ciężką próbę. Namiętności, które swoją liczbą, naturą i siłą, nie zagrzewały bardziej do walki żadnego innego rycerza z walczących po obydwu stronach, dawały ramieniowi Almamena nadludzkiej mocy; jego ciosy spadały jak deszcz na pancerz króla; płonące żywym ogniem oczy, połyskujący sztandar tajemniczego obrządku, sztukmistrz, który wymknął się z sali tortur spod nosa Wielkiej Inkwizycji, ojciec córki, którą uważał za straconą, rycerz, który wszedł w sam środek wojsk wroga nie doznając większej rany, którego jedna ręka strawiła pożarem ich obóz, wszystko to napełniło wyniosłe serce Ferdynanda przekonaniem, że walczy z nieziemskim przeciwnikiem. Szczęściem dla króla i całej Hiszpanii było może to, że pojedynek nie trwał długo. Dwudziestu jeźdźców wyrwało się z bitewnego zamieszania, spiesząc z pomocą ozdobionemu pióropuszem diademu: Tendilla przybył pierwszy; siekąc swoim dwuręcznym mieczem. Srebrny sztandar został ścięty ze swojego drzewca i upadł na ziemię. Po stronie Maurów wzniósł się w powietrze dziki i pełen przerażenia okrzyk: okrzyk ten przewędrował z jednego szeregu do drugiego, z jednego końca frontu

w drugi, z jazdy do piechoty; mauretańscy piesi, nacierający silnymi flankami, jak tylko zrozumieli, co się stało, wpadli w panikę. Odwrót okazał się zarówno nagły, jak fatalny. Chrześcijańskie rezerwy, właśnie przybyłe na pole bitwy, ruszyły na nich równoczesnym atakiem. Boabdil, zbyt zajęty walką, aby zauważyć upadek jego świętych insygniów, nagle został na polu bitwy niemal sam, z niedobitkami zaledwie oddziału etiopskiego i garstką kawalerii.

– Poddaj się, Boabdilu el Chico! – wykrzyknął za jego plecami Tendilla, – albo nie ujdziesz żywy!

– Nigdy! – odkrzyknął Boabdil i pognał swojego wierzchowca na ścianę tarcz za nim; i z zaledwie kilkoma ze swojej gwardii, przedarł się przez szeregi, które, być może nie miały śmiałości, aby powalić tak zaszczytnego wroga. Gdy oddalił się od hiszpańskich batalionów, nieszczęsny monarcha wstrzymał na chwilę wierzchowca i spojrzał z dystansu na pole bitwy. Ujrzał swoją armię uciekającą na wszystkie strony, z jednym wyjątkiem, tam gdzie wciąż bielił się turban Muzy Ben Abil Gazana. W momencie, gdy wypatrywał swojego bohatera, Boabdil usłyszał zadyszane nozdrza konia szarżującego tuż za nim i zobaczył nastroszone kopie oddziału wysłanego, aby pojmać go, żywego czy martwego, na rozkaz Ferdynanda.

Ściągnął wodze swojego wierzchowca, rzucił się do ucieczki i pogalopował w stronę miasta - trzy włócznie wbiły się w bramę i zadrżały, gdy muzułmański król znikał w cieniach portalu. Ale ponieważ Muza pozostał na polu bitwy, nie wszystko było jeszcze skończone: Muza powstrzymał panikę piechoty i jazdy, i na czele zebranych oddziałów, pogalopował przez równinę: przybył w czas aby zewrzeć się w walce i rozgromić oddział ścigający Boabdila; potem rzucił się między uciekających Maurów:

– Uciekacie na oczach waszych kobiet i córek? Czy nie wolałyby one raczej widzieć, jak dzielnie umieracie?

Tysiąc głosów odpowiedziało mu:

– Sztandar jest w rękach wroga, wszystko stracone!

Przemknęli obok niego i zatrzymali się dopiero przy bramach miasta.

Ale wciąż jeden, niewielki ale pełen poświęcenia oddział mauretańskiej kawalerii pozostał aby własną śmiercią zyskać wieczną chwałę. U boku Muzy, który był ich duszą i przykładem, walczyli o każdą piędź ziemi. Możemy przeczytać o tym w kronikach: było to tak, jakby zagarniali ziemię własnymi ramionami. Dwukrotnie przypuścili natarcie na siły wroga: kładli trupem ilość podwójnie przewyższającą ich liczbę; ale, zostali okrążeni i zamknięci w hiszpańskich kleszczach. Szwadron za szwadronem, hiszpańska armia łączyła się w jedną całość. Wkrótce byli osaczeni, bez szans na odsiecz, morderczo zmęczeni walką, zalani wrogiem niczym wodami oceanu. Jak dzikie bestie, docierające w końcu do swoich leży, zdołali mimo wszystko uniknąć ostatecznego pogromu. Wykonali pełen desperacji odwrót z twarzami zwróconymi na wroga; pognali w stronę miasta. Gdy Muza, jako jeden z ostatnich, przekroczył bramy - z mieczem złamanym u nasady - zdobywając się na ostatni dech, nakazał zawrzeć wrota i opuścić kraty. Spadł chwilę później ze swojego wierzchowca w nagłym i bliskim śmierci omdleniu. Większą raną była dla niego klęska i wynikający z niej wstyd aniżeli odebrane rany na ciele.

Tak zakończyła się ostatnia bitwa mauretańskiego Króla Granady!

Rozdział 25

Neofitka

W jednej z cel żeńskiego klasztoru, słynnego z pobożności swoich pensjonariuszek i ścisłości swojej reguły, siedziała samotnie młoda neofitka. Wąskie okno umiejscowione było tak wysoko na zimnej szarej ścianie, że pozbawiało mieszkankę celi wszelkiego pocieszenia w smutku i oderwania od religijnej zadumy, którą mógł dać widok zewnętrznego świata. I rzeczywiście, uroczy był krajobraz, który rozciągał się u podnóża; tyle że odgrodzony od młodych i smutnych oczu za żelazną kratą: bo świat tysiącami innych myśli mógłby zakłócić życie, które miało być poświęcone wiecznym sprawom poprzez oddalenie od wszelkich ludzkich więzów. Ale słaby i nieśmiały promień słońca przenikał przez otwór okienny i rozweselał nieco tę ponurą komnatę i ciemną atmosferę pomieszczenia. Młoda neofitka zdawała się nosić w sobie tę walkę przeciwnych emocji, bez których niemożliwe jest wytrwanie w jakimkolwiek postanowieniu: chwilami wybuchała gorzkim szlochem, ale z cichą, opanowaną przykrością, która bardziej świadczyła o przygnębieniu niż żarliwości; chwilami podnosiła głowę z piersi i uśmiechała się patrząc w sufit, albo gdy jej wzrok wędrował na krucyfiks i twarz ukrzyżowanego, który ustawiony był na grubo ciosanym stole, stojącym przy sienniku, na którym siedziała. W całej celi dostrzec można było symbole życia i śmierci, które musiały dostarczać jej źródła dwojakiego pocieszenia.

Pogrążona w zadumie, nagle usłyszała delikatne pukanie do drzwi, po czym do celi weszła przełożona klasztoru.

– Córko, – powiedziała, – przynoszę ci pocieszenie w postaci świętego gościa. Królowa Hiszpanii, której pobożna i matczyna czułość pragnie dla ciebie pełnego zadowolenia w trudnym czasie, przysłała tu świętego brata, zdaniem naszej wspaniałej monarchini znacznie bardziej kojącego w swoich radach niż brat Tomasz, którego żarliwość czasami przeraża tych, których jego szczery duch pragnie jedynie oczyścić wskazując prawidłową drogę. Pozostawię go sam na sam z tobą. Niech święci błogosławią jego radę! – powiedziawszy to, przełożona usunęła się za próg, dając przejście postaci w zakonnej szacie z kapturem okrywającym głowę i twarz. Mnich ukłonił się z szacunkiem, wszedł do celi, zamknął drzwi i usiadł na taborecie, który oprócz stołu i siennika stanowił całe wyposażenie tego ponurego pokoju.

– Córko, – odezwał się po chwili ciszy, – to surowy i smutny los takie wyrzeczenie się świata i wszystkich jego wspaniałych celów i miłych uczuć, gdy ktoś nie jest jeszcze całkowicie przygotowany na poświęcenie. Zaufaj mi, moja siostro; nie jestem strasznym inkwizytorem, czekającym aby wykorzystać twoje własne słowa na twoją zgubę. Nie jestem twardym i ponurym ascetą. Pod tymi szatami wciąż bije ludzkie serce, które umie współczuć ludzkim nieszczęściom. Zaufaj mi bez obaw. Czy nie przeraża cię los, który próbują ci tu narzucić? Czy nie wycofasz się? Czy nie chcesz być wolna?

– Nie, – odpowiedziała biedna neofitka; ale jej usta zadrżały lekko w niepewności.

– Poczekaj, – powiedział mnich, przybierając bardziej stanowczy ton, – poczekaj, jeszcze nie jest za późno.

– Nie, – powiedziała neofitka, zerkając z podejrzliwością na mnicha; – nie, nawet gdybym była tak słaba, odwrócenie się nie jest już możliwe. Czyja dłoń mogłaby otworzyć bramy klasztoru?

– Moja! – wykrzyknął mnich zapalczywie. – Tak, ja posiadam tę władzę. W całej Hiszpanii tylko jeden człowiek może cię ocalić i tym człowiekiem jestem ja.

– Ty! – zająknęła się neofitka, patrząc na dziwnego gościa z mieszaniną zaskoczenia i strachu. – A kim ty jesteś, że mógłbyś się oprzeć swemu zwierzchnikowi, Tomaszowi de Torquemada, przed którym, jak mi mówiono, nawet koronowane głowy Kastylii i Aragonii schylają się nisko?

Mnich wyprostował się pełnym niecierpliwości i niemal hardym ruchem na to pytanie; ale opanował pierwszy odruch i powrócił do siedzącej pozycji, potem odpowiedział głębokim i na pół szeptanym głosem:

– Dziewczyno, posłuchaj mnie! To prawda, że Izabela Hiszpańska (niech ją Miłościwa Matka błogosławi! Bo miłosierne dla wszystkich jest jej nieprzeniknione serce, o ile nie jest to jej sprytna dyplomacja), to prawda, że Izabela Hiszpańska, obawiając się, że ścieżka do twojego zbawienia może być bardziej wyboista niż to konieczne (w głosie mnicha dało się wyczuć nieznaczny odcień ironii), wybrała brata o przekonującej wymowie i łagodnych manierach aby odwiedził cię. Został on wyposażony w listy od królowej do twojej przełożonej. Chociaż pokorny, mnich okazał się przekupny. Nie przerywaj, słuchaj mnie! Uwielbiał zachwycać się wschodzącym słońcem i zawsze pragnął zostać kimś więcej niż zwykłym mnichem, jeśli Kościół posiadałby wyższe godności do nadania. W chrześcijańskim obozie, Leilo, był jeden, który zapłonął miłością do ciebie, którego uwiodło twoje piękno, który, choć byłaś dla niego surowa, pokochał cię jeszcze bardziej miłością, jakiej dotąd nie znał, bo nie mógł cię zdobyć. Dlaczego drżysz, Leilo? Słuchaj do końca. Do tego kochanka, a jest on wysokiego urodzenia, przyszedł ten mnich i jemu odstąpił on swoją misję. Mnich opowie kłamstwo, że został zaskoczony w górach przez uzbrojonych ludzi i okradziony z listów do przełożonej. Kochanek odebrał mu jego szaty i listy i pośpieszył tutaj. Leilo! Kochana Leilo! Zobacz go u twoich stóp!

Mnich podniósł kaptur i, klękając przed nią na kolanach, odkrył twarz Następcy Tronu Hiszpanii.

– Ty! – wykrzyknęła Leila odwracając głowę w przestrachu i na próżno usiłując oswobodzić rękę, którą pochwycił. – To rzeczywiście okrutne. Ty, sprawca tak wielu cierpień, takich oszczerstw, takich hańb!

– Naprawię wszystkie, – powiedział Don Juan żarliwie. – Ja sam, powtarzam, mam władzę, aby cię oswobodzić. Nie jesteś już przecież tą samą naiwną dziewczyną; jesteś jedną z nas; nie ma więcej przeszkód w naszej miłości. Chociaż mój ojciec jest ponurym i budzącym grozę władcą, promując z takim przekonaniem tę nową instytucję w swoich dominiach, dziedzic obojga królestw nie jest tak ubogi we wpływy i przyjaciół, żeby nie być w stanie zaproponować kobiecie, którą kocha schronienie wolne od księży i szpiegów Inkwizycji. Ucieknij ze mną! Zostaw ten ponury grób zanim kamień nie zamknie się nad tobą na zawsze! Mam konie, mam straże pod ręką. Wszystko przygotowane na tę noc. Tej nocy, och, szczęście! Możesz być przywrócona światu i miłości!

– Książę, – powiedziała Leila, która uwolniła się z uchwytu księcia w czasie gdy on przemawiał i usunęła się na bezpieczny dystans. Stała wyprostowana i dumna. – Nalegasz daremnie; a raczej to, co mi oferujesz nie jest już dla mnie pokusą. Podjęłam ostateczną decyzję i pozostanę jej wierna.

– Och! Zastanów się, – nalegał książę głosem szczerej i błagalnej udręki; – przemyśl dobrze konsekwencje twojej odmowy. Jeszcze ich nie dostrzegasz; twoja gorliwość zaślepia cię. Ale, gdy godzina za godziną, dzień za dniem, rok po roku, upłynie ci w przerażającej monotonii tego świętego więzienia; gdy ujrzysz swoją młodość - mijającą bez miłości - twój dojrzały wiek bez szacunku; gdy twoje serce stwardnieje na kamień, w otoczeniu lodowatych zjaw; gdy nic nie będzie rozchmurzać bolesnej nicości zmarnowanego życia oprócz dłuższych postów i sroższych

pokut: wtedy, wtedy twój żal zostanie zwielokrotniony dziesięciokrotnie przez pełną rozpaczy i skruchy świadomość, że twoje własne usta przypieczętowały ten wyrok. Może sobie myślisz, – mówił dalej Juan z niezmienną żarliwością, – że moja miłość do ciebie była z początku płocha i haniebna. Może tak było. Przyznaję, że moja młodość minęła na próżnych zalotach i udawanych uczuciach. Ale po raz pierwszy w moim życiu czuję, że kocham. Twoje czarne oczy, twoje szlachetne piękno, nawet kobieca pogarda, zafascynowały mnie. Ja, nigdy nie odrzucony w swoich zalotach, wyznaję w końcu, że zdobycie serca prawdziwej kobiety musi być triumfem. Och, Leilo! Nie odrzucaj mnie. Nie wiesz jak wielkiej i szlachetnej miłości wyrzekasz się.

Neofitka była poruszona tymi słowami: Don Juan przemawiał teraz do niej tak odmiennym językiem niż wcześniej; szczera miłość, która przenikała jego głos, która wyzierała z jego oczu, poruszyła czułą strunę w jej piersi; przypomniała jej o jej własnej nieprzezwyciężonej i nie dającej się przezwyciężyć miłości do utraconego Muzy. Była poruszona, poruszona do łez; ale jej postanowienie pozostało niewzruszone.

– Och, Leilo! – mówił dalej książę z czułością, opacznie interpretując przyczynę jej wzruszenia i starając się wykorzystać przewagę, którą, we własnym mniemaniu, uzyskał. – Spójrz na tamte promienie słońca, z trudem wpadające do twojej celi przez wąskie okno. Czy nie są one posłańcami szczęśliwego świata? Czy nie potwierdzają moich słów? Czy nie szepczą ci o zielonych polach i wypełnionych śmiechem winnicach, i wszystkich pięknych i hojnych darach ziemi, których pragniesz wyrzec się na zawsze? Czy nie lękasz się, moja miłości? Czy te istoty wokół ciebie, ascetyczne i bez życia, są dla ciebie piękniejsze niż ja? A może wątpisz w moją moc obrony ciebie? Powiem ci, że najdumniejszy szlachcic Hiszpanii stanie pod moim sztandarem, gdy zajdzie konieczność obrony twojej czci silnym ramieniem. A teraz, powiedz tylko słowo - bądź moją - i ucieknę z tobą tam,

gdzie Kościół nie zapuścił swoich przedwiecznych korzeni i, wyrzekając się korony i zaszczytów, będę żył tylko dla ciebie; Ach, powiedz!

– Mój panie, – odparła Leila, spokojnie ale zmuszając się do najwyższego wysiłku, – jestem głęboko i szczerze wdzięczna za zainteresowanie, które okazujesz, za uczucia, które wyznajesz. Ale oszukujesz samego siebie. Rozważyłam dobrze wybór, który podjęłam. Nie żałuję, ani nie ubolewam, i tym bardziej nie zamierzam się cofać. Świat, o którym mówisz, pełen uczuć i szczęścia dla innych, nie ma żadnych więzów, żadnych powabów dla mnie. Pragnę jedynie spokoju, odpoczynku i zbawczej śmierci.

– Czy to możliwe, – powiedział książę blednąc, – że kochasz innego? Bo tylko w takim przypadku moje starania mogą pozostać nadaremne.

Policzek neofitki zarumienił się głęboko, ale kolor szybko ustąpił; wyszeptała sama do siebie, – Dlaczego miałabym się teraz tego wstydzić? – a potem dodała głośno: – Książę, wierzę, że odsunęłam się od świata na dobre; większy ból odczuwam, gdy próbujesz mnie światu przywrócić niż gdy pozostaję wierna swojej obietnicy. Doceń moją szczerość; kochałam innego; w tym niespełnionym uczuciu, jak w urnie, spoczywają prochy moich ziemskich miłości. Ten pierwszy był odmiennej wiary. Pewnie nigdy, nigdy więcej się nie spotkamy na tym świecie, ale jest pewna nadzieja w modlitwie, że spotkamy się po śmierci. Ta pociecha, i te cele klasztorne, są mi droższe niż cały przepych, cała rozkosz świata, o której mówisz.

Książę zatopił się w myślach i przykrywając twarz rękami jęknął głośno, ale nic nie odpowiedział.

– Odejdź więc, Następco Tronu Hiszpanii, – ciągnęła neofitka; – synu szlachetnej Izabeli, Leila nie jest warta jej opieki. Idź, i wypełnij wielkie przeznaczenia, które czekają na ciebie. A jeśli wybaczysz – i zachowasz w pamięci – biedną żydowską neofitkę, staraj się zmiękczyć, ulżyć, złagodzić fatalny i beznadziejny los,

który gnębi mój ginący naród, naród, który porzuciłam dla nowej wiary.

– Niestety! Niestety! – powiedział książę ponuro; – ciebie jedną, być może, z całej twojej rasy, mogę tylko uchronić przed fanatyzmem, który szybko zalewa ten wspaniały kraj, jak niepokonane morskie fale, a ty odtrącasz mnie! Poczekaj, przynajmniej, i zastanów się. Spotkajmy się jutro jeszcze raz.

– Nie, książę, nigdy więcej! Zachowam twój sekret w tajemnicy, ale tylko pod warunkiem, że więcej cię nie zobaczę. Ale jeśli będziesz nachodził mnie w tym przebraniu, co uważam za grzech i wstyd, wtedy, naprawdę, moim obowiązkiem…

– Powstrzymaj się! – przerwał Juan z wyniosłą niecierpliwością, – Nie będę cię więcej nękać i niepokoić. Uwalniam cię od mojej natarczywości. Być może i tak zabrnąłem już za daleko. – Okrył twarz kapturem i podszedł ponuro do drzwi; ale, odwróciwszy się, by jeszcze raz spojrzeć na postać, która tak silnie poruszyła serce skłonne do wzniosłych uczuć, na łagodną i przygnębioną postawę neofitki, jej delikatna młodość, jej ponury los, zmieszał jego chwilową dumę i oburzenie. – Niech cię Bóg błogosławi i pozostań w spokoju, biedna dziewczyno! – powiedział głosem dławionym przez nurtujące go namiętności, a potem drzwi zamknęły się za nim.

– Dziękuję wam, Nieba, że to nie był Muza! – wymruczała Leila, wyrywając się z zamyślenia, w którym zdawała się rozmawiać z własną duszą: – Czuję, że nie umiałabym mu się oprzeć. – Z tą myślą przyklęknęła w pokornej i skruszonej pozie kogoś zasługującego na naganę i poprosiła modlitwą o siłę.

Zanim powstała z klęczek, jej samotność została powtórnie zburzona przez dominikanina Torquemadę, który przebywał w klasztorze, i którego uwadze nie uszły niecodzienne odwiedziny u młodej neofitki. Słuchał od początku namiętnej rozmowy księcia z Leilą.

Ten groźny człowiek, chociaż sprawca okrucieństw budzących odrazę, posiadał trochę ciepłych i szlachetnych uczuć będących

w pewnym sensie rysą na marmurowej twardości jego charakteru; gdy podsłuchana rozmowa ostatecznie przekonała go co do szczerości i gorliwości młodej neofitki, odstąpił od swojej postawy srogiej zajadłości, z jaką wcześniej traktował dziewczynę. Polubił ją może bardziej niż powinien. Cieszył się, gdy mógł użyć swojego daru wymowy aby wspierać ją w trudnych chwilach dzieła nawracania, łagodząc jej wątpliwości. Modlił się za nią i modlił się razem z nią, z pasją i łzami w oczach.

Pozostał długo z neofitką; a gdy opuścił ją, była, jeśli nie szczęśliwsza, to przynajmniej uspokojona i zadowolona. Teraz jej najgorętszym pragnieniem było skrócić okres nowicjatu, który, na jej prośbę, kościelne władze ustaliły na ledwie symboliczny okres próby. Pragnęła wyzbyć się wszelkich wątpliwości i wejść natychmiast na wąską ścieżkę, biegnącą przez wąski, klasztorny korytarz.

Łagodna i skromna pobożność młodej neofitki poruszyła także inne zakonnice; zdobyła serca ich wszystkich. Jej nawrócenie było wydarzeniem, które przełamało letarg jej statecznego życia. Stała się obiektem powszechnego zainteresowania, jawnej dumy, życzliwego współczucia; a życzliwość, jaką jej okazały, dziewczynie, która od kołyski niewiele widziała realnego życia, miała ogromny wpływ na uspokojenie i wyciszenie jej umysłu.

Ale, nocami, jej sny przynosiły przed nią czarną i groźną twarz ojca. Czasami zdawał się on wyrywać ją z bram nieba i pogrążać razem z nią w przepaść ziejącą poniżej. Czasami widziała go obok siebie przed ołtarzem, ale błagającego ją, aby wyparła się Zbawiciela, przed którego krzyżem klęczała. Z rzadka, jej sny nawiedzane były także przez Muzę, ale pod pozorami strachu dostrzegała jego spokojne i melancholijne oczy wpatrzone w nią; a jego głos pytał: – Czy złożyłaś przysięgę, że pamięć o mnie jest grzechem?

Noc, gdy ukojenie i zapomnienie spływało na smutną dziewczynę częściej niż męczące koszmary, była dla niej mniej straszna niż dzień.

Jej zdrowie słabło i słabło coraz bardziej od zmartwień, ale jej umysł wciąż był silny. W bardziej szczęśliwych czasach i okolicznościach, ta biedna neofitka mogłaby stać się wybitną postacią; ale losy sprawiły, że została ona tylko jedną z niezliczonych ofiar, o których świat nie pamięta, której zalety pozostały w niemych zdarzeniach, której zmagania pozostały w samotnym sercu.

O księciu więcej nie słyszała i nigdy więcej go nie zobaczyła. Czasami podejrzewała, z okrężnych i skąpych aluzji, że dominikanin wiedział o przebraniu i wizycie Don Juana. Ale jak wiemy to, czego się dowiedział jedynie zwiększyło uprzejmość, niemal respekt, z jakim Torquemada ją traktował. Z całą pewnością od tego dnia, z takiej, czy innej przyczyny, sposób postępowania zakonnika zmienił się, zwłaszcza, gdy z nią rozmawiał; ten, który rzadko uciekał się do innych metod niż kontrola i prześladowanie, w jej przypadku objawiał uczucia na poły litości, na poły pochwały.

Tak pocieszana i wspierana za dnia - i tak nawiedzana i przerażana nocą, ale wciąż trwająca przy swojej decyzji, Leila widziała, jak czas upływa, przybliżając ją do tego najważniejszego dnia, gdy jej usta miały wypowiedzieć przysięgę, która miała się stać epitafium jej doczesnego życia. Podczas gdy w tym mrocznym i odległym klasztorze upływało życie tej nikomu nie znanej dziewczyny, my wracamy do pałaców gasnącej dynastii aby być świadkami dopełniania się przeznaczenia.

Rozdział 26

Chwila między klęską i kapitulacją

Pogrążony w rozpaczy Boabdil po raz kolejny zaszył się w zakamarkach Alhambry. Czy z powodu udręki, czy też zwątpienia, nikomu nie pozwalano dzielić, albo przynajmniej być świadkiem, jego emocji. Ale szczególnie opierał się dopuszczaniu do siebie swojej dumnej matki, która tego żądała, wiernej Aminy, która o to błagała i Muzy, który na to nalegał; choć pogrążony w smutku, chciał pozostać sam.

O Almamenie więcej nie słyszano w pałacu króla Granady. Uznano, że zginął w bitwie. Był on bowiem człowiekiem tego rodzaju, że tak samo jak skutecznie potrafił zwrócić na siebie uwagę, gdy był obecny, tak był zapominany, podczas swojej nieobecności. I w międzyczasie, gdy Vega była całkowicie spustoszona a wszystkie źródła zaopatrzenia odcięte, głód, który wzrastał każdego dnia, odwracał uwagę każdego dotkniętego cierpieniem Maura od nieuchronnego upadku miasta do jego własnych problemów.

Nowe prześladowania spadły na nieszczęsnych Żydów. Nie wziąwszy żadnego udziału w ostatniej (jak można się było spodziewać po ludziach, którzy stracili albo nigdy nie posiadali majątków w kraju, który nie był ich krajem, a których zbuntowani rodacy odebrali tak surową nauczkę za szaleństwo mieszania się do cudzych spraw), najmniejsze uczucia braterstwa w niebezpieczeństwie nie łagodziły nienawiści i wstrętu, z jakim byli trakto-

wani; ponieważ, w swoim pragnieniu bogacenia się, wielu z nich kontynuowało, pomiędzy agonią i głodem mieszkańców, handel żywnością, której ceny podnoszone były do horrendalnych rozmiarów, co prowokowało nienawiść, a uczucia tłumów wymierzone przeciwko nim, dodatkowo wzmocnione uwolnieniem z wszelkich więzów prawa w obliczu ogólnego chaosu, doprowadzało do przestępstw przekraczających wszelkie wyobrażenie. Wiele domostw Izraelitów było atakowanych przez tłum, plądrowanych, burzonych do fundamentów a ich właściciele torturowani na śmierć, aby wydobyć z nich informacje o wyimaginowanych bogactwach. Nieważne czym handlowali, sam handel traktowany był jak przestępstwo. Ci wynędzniali cudzoziemcy kryli się we wszelkich możliwych miejscach, piwnicach ich domów, jaskiniach w górach, w każdym zakamarku na terenie miasta, wszędzie, gdzie tylko jeszcze mogli przetrwać, przeklinając Muzułmanów, przeklinając swój los, i niemal tęskniąc za jarzmem chrześcijańskiego fanatyzmu.

Tak minęło kilka dni; bezpieczeństwo miasta osadzało się wyłącznie na nagich murach i jego potężnych bramach. Oślepiające światło słońca patrzyło na zamknięte sklepy i wyludnione ulice, z wyjątkiem miejsc, gdzie zbierały się upiorne i wychudzone grupy wygłodzonych biedaków, w nagłym paroksyzmie zemsty lub przerażenia, wokół burzonych i palonych posesji znienawidzonych Izraelitów.

Boabdil w końcu opuścił swoje odosobnione komnaty; Muza, ku swemu zaskoczeniu, został wezwany przed oblicze króla. Zastał Boabdila w jednej z najświetniejszych komnat wspaniałego pałacu.

W Wieży Comares usytuowany jest przestronny pokój, który do dziś nazywany jest salą Ambasadorów. Właśnie w tym pokoju Boabdil sprawował swoje królewskie funkcje. Na bogato zdobionych ścianach wisiały trofea i sztandary, a tu i ówdzie portret jakiegoś brodatego arabskiego władcy. Pod oknami, które wy-

chodziły na najbardziej urocze fragmenty brzegów Llaro, zgromadzili się kapłani i sędziowie, tuż przed głównymi tłumami. Dalej, poza na pół przesłoniętymi kotarami, można było zobaczyć wielki dziedziniec Alberca, którego perystyle były obwieszone kwiatami a przestronny basen w samym centrum otwartego placu, basen, który dał imię całemu dziedzińcowi, odbijał ukośne promienie słońca pofalowaną taflą wody z brzegami obsadzonymi krzakami róż.

W samej sali audiencyjnej baldachim ponad królewskimi kanapami, na których spoczywał Boabdil, ozdobiony był znakami heraldycznymi muzułmańskich królów Granady. Jego straże, jego służba z wachlarzami, jego eunuchowie, jego dworzanie, jego doradcy, jego kapitanowie stali długimi, równymi szeregami po obydwu stronach baldachimu. Był to ostatni przebłysk świetności mauretańskiego imperium, tak pusty i niepotrzebny przepych!

Gdy Muza zbliżył się do władcy, zaskoczyły go zmiany na twarzy króla: młody i piękny Boabdil zdawał się niemal starcem; jego oczy były zapadnięte, twarz poznaczona zmarszczkami a głos łamał się i brzmiał jak pusty dzban w uszach bohaterskiego krewnego.

– Podejdź tu, Muzo, – powiedział; – usiądź przy mnie i słuchaj, bo najlepiej znasz się na rzeczach, o których będzie mowa.

Gdy Muza usiadł na sofie, nieco niżej niż król, Boabdil wskazał na jedną z osób stojącą w tłumie. – Hamet, – powiedział, – zbadałeś stan chrześcijańskiego obozu; jakie wieści przynosisz?

– Światło Wiernych, – odparł Maur, – to już nie jest obóz, to całe miasto. Dziewięć hiszpańskich osad zatrudnionych było przy budowie; kamień zajął miejsce płótna; wieże i ulice pojawiły się jak budowle jakiegoś ducha; a niewierny król przysiągł, że to nowe miasto nie zostanie opuszczone, dopóki jego sztandar nie zostanie zawieszony nad murami Granady.

– Dalej, – powiedział spokojnie Boabdil.

– Kupcy i handlarze przybywają tam każdego dnia; miejsce jest jednym wielkim bazarem; wszystko, co powinno wspierać nasze głodujące miasto ląduje na ich stołach.

Boabdil gestem nakazał Maurowi odejść i jeden z sędziów zajął jego miejsce.

– Dziedzicu Proroka i Skarbie Świata! – zaczął czcigodny dostojnik, – sędziowie i możni Granady błagają cię na kolanach, abyś zechciał wysłuchać ich głosu. Zapytali o radę Ksiąg Wiary; znaleźli znak od samego Proroka dla ciebie; chwała opuściła twój lud i twoją koronę. Upadek Granady jest przesądzony; Wybacz swojemu słudze te gorzkie słowa!

– Moją odpowiedź otrzymasz natychmiast, – powiedział Boabdil, – Abdelmelicu! Zbliż się.

Z tłumu wyszedł wiekowy starzec z siwą brodą, który pełnił funkcję burmistrza miasta.

– Mów, starcze! – rozkazał król.

– Och, Boabdilu! – powiedział weteran drżącym głosem, a łzy spłynęły mu po policzkach. – Synu narodu królów i bohaterów! Niechby twój sługa padł martwy na progu twojego pałacu dzisiejszego dnia, niechby usta mauretańskiego szlachcica nie zostały nigdy skażone słowami, które za chwilę wypowiem! Nasza sytuacja jest beznadziejna; nasze spichlerze są wyschnięte jak piasek na pustyni: nie wyżywią już ani człowieka ani zwierzęcia. Bojowy wierzchowiec, który nosił bohatera, został zabity i spożyty przez głodny lud; mieszkańcy miasta, jednym głosem, domagają się okowów i…Chleba! Skończyłem.

– Wprowadzić ambasadora Egiptu, – powiedział Boabdil, gdy Abdelmelic wycofał się. Zapanowała cisza: jedna z kotar na końcu sali została odchylona i wolnym, zrównoważonym, majestatycznym krokiem, typowym dla wielkiego kraju i narodu, wkroczył czarny i smagły pochód: posłowie egipskiego władcy. Sześciu z pochodu dźwigało drogocenne dary złożone z klejnotów i broni, a całą procesję zamykała czwórka zawoalowanych niewolnic, których pięknem szczyciła się starożytna dolina Nilu.

– Słońce Granady i wszystkich wiernych! – powiedział wódz Egipcjan, – mój pan, Soldan władca Egiptu, Rozkosz Świata i Drzewo Różane Wschodu, w taki sposób odpowiada na listy Boabdila. Żałuje, że nie może przysłać wojsk, o które prosiłeś; zasięgnąwszy informacji o położeniu twoich ziem, uznał, że Granada nie posiada już portu morskiego, przez który jego armia (jaką mógłby wysłać) mogłaby wkroczyć do Hiszpanii. Zaklina cię, abyś położył swoją ufność w Najwyższym, który nie opuszcza raz wybranego narodu i posyła te oto dary w dowód przyjaźni i miłości na ręce mojego pana króla.

– To wspaniała rada i na czasie, – powiedział Boabdil krzywiąc usta; – jesteśmy mu wdzięczni. – Zapadła długa i kompletna cisza, gdy ambasadorowie opuścili salę audiencyjną. Boabdil przerwał tę ciszę unosząc nagle głowę sponad piersi i spoglądając po sali wciąż królewskim i wciąż władczym spojrzeniem: – Niech wejdą posłowie Ferdynanda hiszpańskiego.

Mimowolny jęk wydobył się z gardła Muzy: jak echo rozległ się pomruk dezaprobaty i przerażenia ze strony dzielnych kapitanów, którzy stali nieopodal; ale ten chwilowy wybuch niezadowolenia ucichł, gdy spoza następnej kotary, naprzeciwko królewskiego tronu, wyłoniła się lśniąca, wypolerowana zbroja hiszpańskich rycerzy. Na przedzie tych wyniosłych posłańców, których żelazne ostrogi dzwoniły głośno na czarno-białej jak szachownica podłodze, szedł imponujący i majestatyczny szlachcic, w pełnym uzbrojeniu z wyjątkiem hełmu i w atłasowym płaszczu koloru lazurowego, ze srebrnym krzyżem na piersi, znakiem Świętej Wojny. Na jego mężnej twarzy nie było widać śladu niestosownej pychy czy uniesienia ale raczej rodzaj szlachetnego współczucia jaki waleczni ludzie odczuwają dla pokonanych wrogów. Współczucie to przyćmiewało błysk jego władczego oka i zmiękczało zwykłą mu wyniosłość wojskowej rangi i powierzchowności. Zbliżył się do króla z godnym powitaniem i szacunkiem; a następnie wycofując się, skinął na herolda, który mu towarzyszył, a któ-

rego szata, na piersi i plecach, była ozdobiona godłami Hiszpanii, aby przekazał osobiście swoją misję i słowo króla Hiszpanii.

– Dla Boabdila! – zaczął poseł donośnym głosem, który wypełnił całą komnatę poruszając różnorodnymi emocjami zgromadzonych. – Dla Boabdila el Chico, Króla Granady, Ferdynand Aragoński i Izabela Kastylijska przesyłają królewskie pozdrowienie. Wyznaczono mnie, abym przekazał ich nadzieje, że wojna jest wreszcie zakończona; że proponują Królowi Granady warunki kapitulacji, które król, bez utraty czci, może przyjąć. W zamian za miasto, które Najjaśniejszy Pan Chrześcijan przyłączy na powrót do swojego dominium, co jest sprawiedliwe, ofiarowuje pod twoje władanie, o królu, książęce terytoria w górach Alpuhary, którymi będziesz zarządzał jako zaprzysiężony lennik hiszpańskiej Korony. Wszystkim mieszkańcom Granady, jego Najjaśniejszy Pan obiecuje pełną ochronę ich majątków, życia i wiary, pod zarządem obranego przez nich samych magistratu i na podstawie ich własnych praw; zwolnienie od danin na okres trzech lat; i tak samo innych świadczeń pieniężnych, ustanowionych przez zwyczaj i wysokość ich obecnych ciężarów. Dla tych muzułmańskich mieszkańców, którzy będą niezadowoleni z oferowanych warunków, nasz pan gwarantuje wolny przejazd dla nich i ich rodzin, w celu opuszczenia kraju. W zamian za te dowody królewskiej hojności, jego Najjaśniejszy Pan wzywa Granadę do poddania się (o ile żadne posiłki w międzyczasie nie nadejdą) w ciągu siedemdziesięciu dni. Te warunki zostały uroczyście przedstawione w obecności i za pośrednictwem szlachetnego i sławnego rycerza, Gonzalvo z Cordoby, wysłanego przez Najjaśniejszego Pana Chrześcijan z jego nowo założonego miasta Santa Fe.

Gdy herold zakończył, Boabdil skierował wzrok na swój świetny dwór dostojników. Nie napotkał najmniejszych oznak sprzeciwu, dawało się tylko wyczuć ducha rezygnacji: warunki wychodziły naprzeciw nadziejom oblężonych.

– A jeśli, – zapytał Boabdil z głębokim westchnięciem, – jeśli odrzucimy te warunki?

– Szlachetny książę, – powiedział Gonzalvo z powagą, – nie proś nas, abyśmy ranili twoje uszy opisem rzeczy, których możesz uniknąć. Zastanów się i rozważ naszą propozycję; a jeśli masz wątpliwości, o dzielny królu! Wyjdź na wieże twojej Alhambry, oceń nasze legiony uszykowane pod murami twojego miasta i zwróć swój wzrok na dzielnych mieszkańców, pokonanych nie przez ludzkie męstwo, ale przez głód i niezbadaną wolę Boga.

– Twoi władcy otrzymają naszą odpowiedź, szlachetny Chrześcijaninie, zapewne zanim zapadnie noc. A ty, Panie Rycerzu, który dostarczyłeś posłanie gorzkie do przełknięcia dla królów, przyjmij choć nasze podziękowanie za przedstawienie sprawy w sposób jak najbardziej dla nas łagodny. Nasz wezyr przyprowadzi do twojej komnaty takie oznaki szacunku, jakimi jeszcze władca Granady może się poszczycić.

– Muzo, – podjął król, gdy Hiszpanie opuścili salę, – słyszałeś wszystko. Jaka jest ostatnia rada, którą dasz swojemu władcy?

Zapalczywy Maur z trudnością wyczekał na sposobność wyrażenia takiego zdania, które tylko śmierć mogłaby wygnać z tego niepokonanego serca. Powstał, zszedł z podwyższenia i stanąwszy nieco poniżej monarchy obrócił się twarzą do zgromadzonego tłumu mądrych i dzielnych miasta, którzy jeszcze pozostali w Granadzie i przemówił:

– Dlaczego musimy się poddawać? Dwieście tysięcy mieszkańców wciąż pozostaje w mieście; z tego dwadzieścia tysięcy, co najmniej, to Muzułmanie, którzy mają ręce i broń gotową do użycia. Dlaczego musimy się poddawać? Głód nas doświadcza, to prawda; ale głód, który czyni lwa jeszcze straszniejszym, nie uczyni człowieka bardziej odważnym? Obawiasz się? I słusznie! Obawa u walecznego winna wykrzesać siłę nie do pokonania. Strach zmienia tchórzy w ludzi odważnych: czy dzielność ma utonąć w tchórzostwie? Pozwól nam porwać ludzi; dotychczas

za bardzo polegaliśmy na możnych. Pozwól nam zebrać własne oddziały i wymaszerować na to nowe chrześcijańskie miasto, podczas gdy rycerstwo hiszpańskie zatrudnione jest przy jego nowych zajęciach: projektowaniu i budowaniu. Niczego się nie spodziewają. Posłuchaj mnie, o królu i władco! Wysłuchaj jednego, który nigdy cię nie okłamał! Jeśli Maurowie z Granady posłuchają mojej rady, nie mogę obiecać, że zwyciężymy, ale obiecuję, że za życia nie zaznasz klęski: obiecuję ci przynajmniej niezależność, bo polegli nie znają kajdan! Jeśli nie możemy żyć, zginńmy tak, aby przejść do wieków chwały, które będą trwać dłużej niż królestwa. Królu Granady! To jest ostatnia rada Muzy Ben Abil Gazana.

Książę umilkł. Ale ten, którego najsłabsze słowa dawniej rozpalały ogień w najbardziej ospałych, stracił swojego ducha w zimnej i przegranej sprawie. Nikt nie odpowiedział, nikt się nie poruszył.

Jedynie Boabdil, uczepiając się cienia nadziei, zwrócił się w końcu do zebranych.

– Wojownicy i mądrzy doradcy! – powiedział, – ponieważ rada Muzy jest również pragnieniem waszego króla, powiedzcie słowo, a zanim wybrzmi godzina, dźwięk naszych trąb rozejdzie się po Vivarrambla.

– Królu! Nie walcz z przeznaczeniem! – odpowiedział przewodniczący sędziów.

– Niestety! – powiedział Abdelmelic, – jeśli głos Muzy i twój własny tak zimno na nas spada, jak uda ci się zagrzać do walki tłum, który stracił serce?

– Czy takie jest przeważające zdanie, czy taka jest wasza wola? – zapytał Boabdil.

Jeden wielki pomruk odpowiedział:

– Tak!

– Idź zatem, Abdelmelicu, – powiedział nieszczęsny król; – idź z tymi Hiszpanami do chrześcijańskiego obozu i przynieś

nam najlepsze warunki, jakie uda ci się uzyskać. Korona spadła z głowy El-Zogoybi'ego; Przeznaczenie odcisnęło swoją pieczęć na mojej skroni. Nieszczęśliwie rozpoczęło się moje panowanie - nieszczęśliwy jego koniec. Narada zakończona!

Słowa Boabdila poruszyły i przeniknęły zgromadzonych, którzy teraz patrzyli na niego w inny sposób. Jego wspaniałe zalety, jego solidna edukacja, jego przyrodzone cnoty, wszystko to dodawało mu powagi w tej chwili klęski. Wielu upadło przed nim na twarz, zalewając się łzami i jęcząc; tłum zaczął cisnąć się do władcy by dotknąć rąbka jego szaty.

Muza patrzył na nich z głęboką pogardą, ze splecionymi rękami i dumnie wypiętą piersią.

– Kobiety, nie mężczyźni! – wybuchnął nagle, – płaczecie, jak gdybyście nie mieli krwi do przelania! Pogodziliście się ze stratą wolności, bo powiedziano wam, że nie stracicie nic więcej. Głupcy i okpieni! Widzę, z miejsca, w którym mój duch góruje nad waszym, czarną i ponurą przyszłość, do której czołgacie się na klęczkach: więzy i grabieże - okrucieństwa zbrodniczej zachłanności - prześladowania prawowitej wiary - wasze złoto zostanie wyrwane wam na torturach - wasze rodowe imiona zmiecione z powierzchni ziemi. Bierzcie to i zapamiętajcie mnie! Żegnaj, Boabdilu! Nie lituję się nad tobą bo twoje ogrody wciąż mają truciznę, a twoje straże miecze. Żegnajcie, szlachetni i kapłani Granady! Opuszczam mój kraj, gdy jest wciąż muzułmańskim krajem.

Gdy tylko zamilkł, opuścił salę Ambasadorów. Było to tak, jakby zniknął geniusz Granady.

Rozdział 27

Przygody samotnego jeźdźca

Było rozżarzone, parne południe, gdy przez niewielką dolinę, biegnącą wzdłuż urwistych i stromych wzgórz w odległości wielu mil od Granady, podążał samotny jeździec w pełnej zbroi; zbroja była czarna i pozbawiona ozdób; na hełmie nie powiewał pióropusz. Ale było coś w jego ruchach i wyglądzie, jak również w wyjątkowej urodzie jego czarnego jak węgiel wierzchowca, co jednoznacznie zdradzało wysoką rangę rycerza, rangę, o której z braku giermka i pazia oraz niekompletności uzbrojenia, mógłby powątpiewać niewprawny obserwator. Rycerz jechał bardzo wolno, a jego wierzchowiec, ze swobodą zepsutego ulubieńca, często zatrzymywał się leniwie na spalonej słońcem ścieżce, gdy jakaś kępka roślin albo zwisająca z drzewa gałąź skusiła go swoim zapachem. W pewnej chwili uszu jeźdźca dobiegł hałas, którego źródło znajdowało się w zagajniku rosnącym u podnóża skalistego urwiska; wystraszony koń odskoczył gwałtownie do tyłu, wytrącając jeźdźca z zamyślenia. Rycerz odruchowo spojrzał przed siebie i dostrzegł ludzką postać przemykającą pośród drzew szybkimi i nieregularnymi susami. Była to postać, która doskonale pasowała do ciszy i odosobnienia tego miejsca; człowiek ten mógłby uchodzić za jednego ze zdziczałych wyrzutków, na pół pustelników, na pół rycerzy, którzy, podczas wcześniejszych krucjat, zorganizowali dla siebie domostwa pośród piasków i jaskiń Palestyny. Obcy podpierał swoje kroki długim kijem.

Jego włosy i broda zwisały nisko i plątały się na szerokich ramionach. Zardzewiała zbroja, dawniej świetna, ze zdobiącymi ją arabeskami, chroniła jego pierś; ale luźne ubranie, z rodzaju tartanu, które wystawało spod pancerza, było podarte i wyświechtane. Jego stopy gołe; u pasa miał przewieszony krótki, zakrzywiony miecz, nóż albo sztylet, i pergaminowy zwój, spięty i oprawiony w żelazo.

Gdy jeździec przyjrzał się temu niespodziewanemu intruzowi w tym odludnym miejscu, jego ciało zadrżało z podniecenia, bo rozpoznał znienawidzoną postać; prostując się na koniu wykrzyknął głośno:

– Diable czy kapłanie, kimkolwiek jesteś, czego szukasz w tych samotnych okolicach, z dala od króla, którego zwiodły twoje rady, z dala od miasta zdradzonego kłamliwymi proroctwami i niepoświęconymi czarami?

– Ha! – krzyknął Almamen, bo istotnie był to on; – po tym czarnym wierzchowcu i wyniosłym głosie, poznaję bohatera Granady. Raczej ty, Muzo Ben Abil Gazanie, dlaczego uciekasz z ostatniej twierdzy mauretańskiego imperium?

– Utrzymujesz, że potrafisz przepowiadać przyszłość, a jesteś ślepy na teraźniejszość? Granada skapitulowała przed Hiszpanami. Sam jeden opuściłem kraj niewolników i mam zamiar szukać, wśród naszych przodków w Afryce, jakiegoś miejsca, którego nie skaziły stopy żadnego niewiernego.

– A więc przeznaczenie jednego fanatyzmu się dopełniło, – powiedział Almamen ponuro; – ale przyszłość tego, który zwyciężył może być jeszcze bardziej czarna.

– Podły! – wykrzyknął Muza, chwytając za kopię, – kimże jesteś, że pozwalasz sobie nazywać fanatyzmem jedyną prawdziwą religię?

– Jestem Żydem! – odpowiedział Almamen grzmiącym głosem dobywając swojego miecza: – Pogardzanym, ale i gardzącym Żydem! Chcesz wiedzieć więcej? Jestem synem narodu, który

wydał prawdziwych Królów. To ja byłem największym wrogiem Maurów dopóki nie zrozumiałem, że Nazareńczycy są mi bardziej znienawidzeni niż Muzułmanie; nawet ty nie osiągnąłeś takiej sławy, jak moja. Dalej, jeśli chcesz, jeden na jednego, wyzywam cię!

– Nie, nie, – wymruczał Muza opuszczając kopię; – twoja zbroja jest splamiona hiszpańską krwią, a to ramię nie może walczyć przeciwko pogromcy Chrześcijan. Rozstańmy się bez walki.

– Poczekaj, książę. – Powiedział Almamen zmienionym głosem: – czy twój kraj jest ci wciąż drogi? Czy uśmiech pewnej kobiety nigdy nie zakradł się pod twoją zbroję? Czy twoje serce nigdy nie biło dla łagodniejszych spotkań niż te z wrogiem na polu bitwy?

– Jestem człowiekiem i jestem Maurem, – odparł Muza, – chociaż raz wróżysz prawdziwie; jeśli twoje zaklęcia wyczarowałyby przed mymi oczami jeszcze raz widok ostatniego skarbu, jaki pozostał mi na tej ziemi, uwierzyłbym w skuteczność twoich czarów jak biedny Boabdil uwierzył.

– Czy zatem wciąż ją kochasz, czy kochasz Leilę?

– Czarnoksiężniku, czy przejrzałeś wszystkie moje tajemnice? Jak poznałeś to imię? Ach! Niech uwierzę w twoją mądrość, wyjaw mi miejsce na ziemi, które więzi radość mojej duszy! Tak, – ciągnął Maur z narastającym podnieceniem, unosząc wizjer swojego hełmu, jakby dla zaczerpnięcia powietrza, – tak; gdy wszystko przepadło w Granadzie, pozostaje mi tylko jedno pocieszenie, gdy muszę opuszczać straconą ojczyznę: miałem jedyne pragnienie aby odszukać Leilę; miałem nadzieję znaleźć w mojej tułaczce po odległych krajach tę, której uroda przyćmiewa piękno najurodziwszej kobiety. Ale niepotrzebnie strzępię język. Powiedz mi, gdzie jest Leila i poprowadź mnie do jej stóp!

– Muzułmaninie, zaprowadzę cię do niej, – odpowiedział Almamen patrząc na Muzę z wyrazem dziwnej i strasznej radości w czarnych oczach, – zaprowadzę cię do niej, idź za mną. Do-

piero wczorajszej nocy dowiedziałem się, które mury ją więżą; i od tego czasu przemierzałem góry i pustynię bez odpoczynku i jedzenia.

– Kim ona jest dla ciebie? – zapytał nagle Muza podejrzliwie.

– Wkrótce się dowiesz. Ruszajmy.

Powiedziawszy to, Almamen skoczył do przodu z energią, której podniecenie jego umysłu zastępowało siłę wypoczętego ciała. Muza ze zdumieniem zaciął konia, próbował wciągnąć swojego tajemniczego przewodnika do rozmowy, ale Almamen zupełnie na niego nie zważał. A gdy przełamywał swoje ponure milczenie, to jedynie po to, aby wyrzucić z siebie jakiś krótki i niezrozumiały okrzyk, najczęściej w języku obcym dla uszu jego towarzysza. Odważny Maur, choć odporny na przesądy jego rasy, bardziej z uwagi na swoją lekceważącą wszystko śmiałość aniżeli mądrość uczonego, odczuwał lęk gromadzący się nad nim gdy spoglądał, wśród tych ogromnych skał i samotnych dolin, na nieziemski wyraz i błysk oczu słynnego człowieka; i nie raz szeptał pod nosem te wersy, które miały, według jego rodaków i współwyznawców, chronić przed działaniem złych mocy.

Minęła może godzina tej ich wspólnej podróży, gdy Almamen nagle zatrzymał się.

– Jestem zmęczony, – powiedział słabym głosem; – i, chociaż czas nagli, obawiam się, że siły mnie opuszczają.

– Siadaj więc, ze mną, – odpowiedział Maur i po chwili zwykłego mu wahania dodał: – Chociaż jesteś Żydem, odważę się na takie poniżenie dla dobra Leili.

– Maurze! – wykrzyknął Almamen zapalczywie, – to ja muszę się poniżyć. Przebrzmiałe sprawy, dziś są obiektem bezdennej wzgardy, którą każde serce wierne Dawnym Dniom czuje do takich jak ty i twoich współplemieńców.

– Niech mnie Hiszpan zabije! – wykrzyknął Muza a jego czoło pociemniało, – jeszcze jedno takie słowo i kopyta mojego konia wybiją ci z głowy wszystkie bluźniercze myśli.

– Jestem twoim śmiertelnym wrogiem, to prawda, – odpowiedział Almamen pogardliwie, – ale to raczej ja zachowam najdzielniejszego z Maurów aby był świadkiem czynu godnego potomka Jefata. Ale cisza! Słyszę tętent kopyt.

Muza wytężył słuch; jego czułe ucho wychwyciło odległy odgłos kopyt na twardej i skalistej ziemi. Obrócił się i ujrzał Almamena prześlizgującego się przez gęste krzewy, aż gałęzie ukryły jego postać. Chwilę potem, zza zakrętu szlaku wyłonił się hiszpański rycerz, który dosiadał małego andaluzyjskiego rumaka: jeździec wesoło podśpiewywał jedną z popularnych wówczas ballad; pomny klęski, jaką Hiszpanie zadali Maurom, Muza nie starał się panować nad sobą, gdy jego dumna krew zawrzała, a wąs zadrgał na ustach. – Zmienię ten twój radosny nastrój, – wymruczał Muzułmanin chwytając kopię, gdy, zanim zdążył cokolwiek uczynić, ujrzał Hiszpana raptownie wylatującego z siodła i padającego bez ducha na ziemię. W tej samej chwili Almamen wypadł ze swojego ukrycia, pochwycił konia rycerza, dosiadł go i, zanim Muza ochłonął z zaskoczenia, stał już u boku Maura.

– Jakim cudem, – powiedział Muza skubiąc brodę, – położyłeś tego Hiszpana, przecież nie masz łuku?

– Tak samo jak David pokonał Goliata, kamieniem i procą, – odpowiedział Almamen nonszalancko. – A teraz, ruszajmy stąd, jeśli chcesz zobaczyć swoją Leilę. Odpoczniemy gdzie indziej.

Jeźdźcy przemknęli nad nieprzytomnym Hiszpanem. Drzewa i góry zostawały w tyle; stopniowo dolina znikła i na ich szlaku wyrósł gęsty las. Po odpoczynku, gnali dalej, chociaż gąszcz gałęzi i wyboista droga opóźniała ich pęd; aż, gdy słońce powoli chowało się za horyzontem, wjechali na szeroką i okrągłą polanę, wokół której zwieszały swoje nieruchome i rzucające cień gałęzie najstarsze drzewa. Pośrodku murawy znajdował się nieociosany, stary kamień, przypominający ołtarz jakiejś barbarzyńskiej i wymarłej wiary. Tu Almamen nagle zatrzymał się i wyszeptał coś sam do siebie.

– Co cię tak poruszyło, mroczny cudzoziemcze? – zapytał Maur; – dlaczego tak szepczesz i wpatrujesz się w puste powietrze przed oczami?

Almamen nie odpowiedział, zsiadł tylko z konia, uwiązał wodze do gałęzi uschniętego i pękniętego wiązu i podszedł samotnie do środka polany.

– Straszna, prorocza siło, która jesteś we mnie! – powiedział Almamen na głos, – to jest to miejsce, gdzie, przez sny i wizje, przepowiedziałaś mi jak mam spełnić i utrwalić przysięgę, która pozbawi duszę ostatniej słabości ciała. Noc po nocy przynosiłaś ten obraz przed moje oczy, w ciemności i w czasie snu, pełną powagi samotność, której teraz doświadczam. Niech tak będzie! Jestem przygotowany!

Powiedziawszy to, oddalił się na kilka chwil między drzewa, zebrał suche liście i uschnięte gałązki, które obciążył rozkruszoną gliną i umieścił na kamiennym ołtarzu. Następnie, zwracając się ku wschodowi i wyciągając ręce do góry, wykrzyknął:

– I oto! Na tym ołtarzu, dawniej czczonym, być może, przez dzikich pogan, ostatni śmiały duch twojej upadłej i rozproszonej rasy przeznacza, o Ty Niewypowiedziany! Tę cenną ofiarę, której domagałeś się od człowieka w dawnych wiekach. Przyjmij to poświęcenie!

Gdy Almamen skończył swoje zaklęcia, wyjął jakąś fiolkę ukrytą na piersi i spryskał kilkoma kroplami nagromadzony opał. Nagle zapłonął bladoniebieski płomień i oświetlił to wynędzniałe, ale zacięte oblicze Izraelity. Muza poczuł, że jego mauretańska krew zamarza mu w żyłach i zadrżał, choć nie miał pojęcia dlaczego. Almamen sztyletem, odciął ze swojej głowy jeden z długich loków i wrzucił go do ognia. Patrzył aż dopalił się do końca, wdychając opary; a następnie, ze zduszonym krzykiem upadł na ziemię bez przytomności. Maur pośpieszył aby go podnieść; roztarł jego ręce i skronie; rozpiął guziki na jego piersi; zapomniał zupełnie, że jego towarzysz jest znienawidzonym cu-

dzoziemcem i Żydem, tak bardzo udręka, której był świadkiem, wzbudziła w nim współczucie.

Nie minęło nawet kilka minut, gdy Almamen odzyskał przytomność i ocknął się z głębokim westchnieniem.

– Ach, ukochana. Pani mego serca, – wyszeptał, – czy to na taki los powierzyłaś mi jedyny owoc naszej młodzieńczej miłości? Wybacz mi. Przywrócę ją światu, niesplamioną przez innowiercę. Ponownie zamknął oczy i silne konwulsje wstrząsnęły jego ciałem. Po pewnym czasie konwulsje minęły a Almamen podniósł się jak postać z koszmaru, opanowany i jakby odświeżony tym, co właśnie przeszedł.

Ostatni płomyk upiornego ognia zamierał na tym starożytnym ołtarzu i lekka bryza szumiała pomiędzy drzewami.

– Ruszajmy, książę, – powiedział Almamen spokojnie, odwracając oczy od ołtarza; – nie powinniśmy dłużej zwlekać.

– Nie wytłumaczysz mi tego co robiłeś? – zapytał Muza; – a może to, jak podpowiada mi mój rozum, była tylko zwykła maskarada i kuglarstwo?

– Niestety, niestety. – Odparł Almamen smutnym i zmienionym głosem, – wkrótce dowiesz się wszystkiego.

Rozdział 28

Poświęcenie

Słońce właśnie chyliło się z wolna ku zachodowi, tonąc w masie purpurowych chmur tak typowych dla iberyjskiego nieba, gdy wynurzywszy się z lasu, dwaj wędrowcy ujrzeli przed sobą małą i uroczą równinę, zadbaną niczym ogród. Równe rzędy pomarańczowych i cytronowych drzew podszyte były ciemnozielonym listowiem winorośli; a te z kolei znajdowały oparcie w opasującym je młodniku kasztanowców, dębów i gęstwinie sosen: podczas gdy daleko na horyzoncie rysowało się odległe i niewyraźne pasmo górskie, ledwo odróżniające się na tle stonowanych kolorów nieba. Przez to urzekające miejsce przepływał wąski i mieniący się potok, zbierający swoje wody w okrągłym zbiorniku, ponad którym róże i pomarańcze zwieszały swoje jaskrawe kwiaty.

Na łagodnym wzniesieniu górującym nad tą równiną, czy też ogrodem, wznosiła się do nieba iglica klasztoru; choć było jeszcze całkiem widno, długie i ostro zakończone płonące żagwie oświetlały jego dziedziniec; a gdy jeźdźcy skierowali swoje spojrzenie na potężny gmach, śpiew klasztornego chóru - którego urok i powagę wzmacniała odległość, cisza przedwieczornej pory, niespodziewana i odosobniona uroda tego miejsca, tak doskonale pasująca do wzorowego spokoju klasztornego życia - rozbrzmiał wśród zapachów i jasności otoczenia.

Ale ta scena i ten śpiew, tak dobrze zestawione by uspokoić i załagodzić myśli, zdawały się wprawić Almamena w stan agonii

i pasji. Uderzył się w piersi zaciśniętymi pięściami i wrzeszcząc bardziej niż krzycząc, wyrzucił z siebie:

– Boże moich ojców! Czy przybyłem za późno? – wbił ostrogi do połowy ząbkowanego kółka w boki swojego zdyszanego wierzchowca. Almamen puścił się galopem po murawie, poprzez pachnące krzewy, w poprzek kamienistego i płytkiego potoku, w stronę klasztornego wzniesienia. Muza, zaskoczony i na poły niechętnie, pośpieszył za nim w niewielkim oddaleniu. Śpiew chóru dobiegał coraz czystszy i bliższy; szerzej i bardziej czerwono jarzyły się płomyki świec w wąskich gotyckich oknach strzelniczych: dojechali do przedsionka klasztornej kaplicy; Almamen zeskoczył z konia. Niewielka grupa wieśniaków z miejscowej parafii tłoczyła się w nabożnym skupieniu na progu świątyni.

Przepychając się jak szaleniec przez ten tłum, Almamen dostał się do kaplicy i zniknął w jej wnętrzu.

Minęła minuta. Muza dotarł do wejścia, ale zatrzymał się niepewnie, zanim zsiadł z konia.

– Co to za uroczystość? – zapytał chłopów.

– Pewna mniszka ma złożyć śluby, – odparł jeden z nich.

Z wnętrza dobiegł alarmujący, pełen oburzenia i przerażenia krzyk. Muza nie czekał dłużej: oddał wodze swojego konia stojącym obok, odsunął ciężką kotarę, wiszącą nad progiem i wkroczył do kaplicy.

Przy ołtarzu zgromadziła się zaskoczona i poruszona grupka osób - siostry zakonne z przeoryszą. Przy poświęconej barierce zebrali się tłumnie obserwatorzy, patrzyli z zapartym tchem i w zadziwieniu. Widoczny ponad resztą zebranych, na podwyższeniu świętego miejsca, stał Almamen z dobytym sztyletem w prawej ręce, lewą obejmował ramiona neofitki, której szata, jeszcze nie zastąpiona przez klasztorny serż, zdradzała przeznaczenie dziewczyny do stanu zakonnego; a po prawej stronie dziewczyny, z jedną ręką na jej ramieniu, drugą unosząc w górę święty krzyż, stał srogi, władczy człowiek w białej sutannie dominikańskiej reguły - Tomasz de Torquemada.

– Powstrzymaj się, szatanie! – były to pierwsze słowa, które dobiegły uszu Muzy, stał on cały czas, niezauważony, pośrodku kościelnej nawy: – tutaj twoja magia i twoje sztuczki nie mogą cię ochronić. Zostaw w spokoju dziewczynę poświęconą Bogu!

– Ona jest moja! To moja córka! Żądam od ciebie abyś mi ją zwrócił, żądam jak ojciec, w imię wielkiego Pana Ludzkości!

– Pojmać czarownika! Pojmać go! – wykrzyknął Inkwizytor, gdy nagłym ruchem, Almamen utorował sobie drogę poprzez chaotyczny i oniemiały tłum, i stanął wraz ze swoją córką, na pierwszym stopniu świętego ołtarza.

Nie poruszyła się ani jedna stopa, ani jedna ręka nie uniosła do góry. Słowa, które zostały wykrzyknięte pod adresem napastnika, jedynie wywołały niepomierny strach wśród zgromadzonych ludzi; oni woleliby raczej rzucić się na tygrysa w jego leżach, aniżeli na uniesiony sztylet i dziką postać tego mrocznego cudzoziemca.

– Och, mój ojcze! – odezwał się cichy i drżący głos, który napełnił Muzę przerażeniem, niby głos zza grobu, – nie sprzeciwiaj się wyrokom Nieba. Twoja córka nie została zmuszona do tego ostatecznego wyboru. Pokornie, ale z oddaniem, nawrócona na chrześcijańską wiarę, jej jedynym życzeniem na świecie jest przyjąć święte i wieczne śluby.

– Ha! – jęknął Almamen, zwalniając nagle swój uścisk a jego córka upadła przed nim na kolana, – a więc usłyszałem to, czego najbardziej się obawiałem. Zasłona rozdarta - duch opuścił świątynię. Twoje piękno zbezczeszczone; twoje ciało zaledwie niepoświęconą gliną. Podły! – wykrzyknął bardziej zapalczywie, zwracając spojrzenie na nieruchomą twarz Inkwizytora, – to twoje dzieło: ale nie będziesz triumfował. Tutaj, w twojej własnej świątyni, pluję na ciebie i przeciwstawiam ci się, jak raz wcześniej, w sali tortur twojego nieludzkiego sądu. W ten… Ten… Ten sposób, Żyd Almamen zbawia ostatnią z jego rodu od przekleństwa Galilejczyka!

– Zaczekaj, morderco! – zabrzmiał głos jak piorun; Muza z mieczem w ręku przepchał się przez tłum i stanął na podwyższeniu. Ale było już za późno: ostrze Izraelity trzykrotnie ugodziło niewinną pierś; trzykrotnie suknia poczerwieniała niewinną krwią. Leila upadła w ramiona swojego muzułmańskiego kochanka; jej mętne spojrzenie spoczęło na twarzy Muzy, gdy pochylał się nad nią, z uniesionym wizjerem hełmu, nieśmiały i czuły uśmiech pojawił się na jej ustach zanim zgasła na wieki.

Almamen rzucił jedno pośpieszne spojrzenie na swoją ofiarę a potem, z obłędnym śmiechem, który budził każde echo w ponurych kościelnych nawach, zeskoczył z podwyższenia. Wymachując swoim okrwawionym sztyletem ponad głową, przemknął się poprzez wystraszony tłum i zanim zaskoczony dominikanin odzyskał głos, tętent kopyt wierzchowca Almamena rozbrzmiał w powietrzu; chwilę później wszystko okryło się ciszą.

A nad zamordowaną dziewczyną pochylał się Maur, wciąż nie wierzący w jej śmierć; głowa Leili z długimi, purpurowoczarnymi warkoczami, spoczywała na jego kolanach, jej tracąca ciepło dłoń zacisnęła się na jego ręce a krew spływała strugami po zbroi Muzułmanina. Nikt mu nie przeszkadzał; ubrany był w chrześcijańską zbroję i nic nie zdradzało jego tożsamości; wszyscy, łącznie z Torquemadą, poczuli dreszcz współczucia w nieszczęściu rycerza. Jak się tu dostał, w jakim celu tu przybył - z jakimi nadziejami, ich myśli były pogrążone w zbyt głębokim szoku by szukać odpowiedzi na takie pytania. Niemy i nieruchomy Maur trwał zgięty nad ciałem aż jeden z mnichów podszedł aby sprawdzić puls i potwierdzić, że dla dziewczyny nie ma żadnego ratunku.

Maur początkowo próbował pozbyć się go, ale gdy zrozumiał po co zakonnik podszedł, pozwolił mu ująć ukochaną dłoń. Utkwił w nim swoje czarne i przenikliwe oczy; a gdy mnich opuścił rękę łagodnie potwierdziwszy głową fakt, odwrócił się i głęboki, agonalny jęk był wszystkim co usłyszeli zgromadzeni, jęk

żałości nad tym niewinnym sercem, w którym zatopiło się żelazo zabijające ostatnią nadzieję. Namiętnie ucałował skronie, policzki, usta cichej i anielskiej twarzy i uniósł się.

– Kim jesteś, rycerzu? Co tutaj robisz? I co wiesz o tym krwawym wrogu Boga i człowieka? – Zapytał dominikanin, podchodząc do Maura.

Muza nie odpowiedział. Powolnymi krokami przemierzył kaplicę w stronę wyjścia. Torquemada czuł się upokorzony tym milczeniem, zrobił się czerwony na twarzy, ale zgromadzeni wybuchnęli nagłą prośbą:

– Zostaw go w spokoju! – wykrzyknęli niemal jednym głosem pod adresem surowego Inkwizytora; – on nie ma słów, aby ci odpowiedzieć!

W ten sposób, wśród przygniatającego żalu i współczucia chrześcijańskiego tłumu, nieznany nikomu rycerz doszedł do drzwi, dosiadł konia, a gdy obrócił się raz jeszcze i rzucił pośpieszne spojrzenie na zbezczeszczony ołtarz, stojący najbliżej ujrzeli wielkie łzy toczące się po jego śniadych policzkach.

Powoli, czarny jeździec, odjechał w dół wzniesienia, przekroczył cichy i uroczy ogród i zniknął pomiędzy drzewami. I nigdy więcej o nim nie usłyszano, ani wśród Maurów, ani Chrześcijan. Losy najświetniejszego bohatera Granady pozostały nieznane. Czy dotarł bezpiecznie do wybrzeży swojej ojczystej Afryki i zaczął nowe życie pod nowym imieniem; czy może śmierć, od choroby lub z udręki, zakończyła w zapomnieniu jego pełną chwały, ale krótką karierę; tajemnica, głęboka i nierozpoznana, nawet dla najbardziej zagorzałych z tysięcy bardów wychwalających jego czyny, owinęła wiecznym cieniem losy Muzy Ben Abil Gazana, w tej godzinie, gdy zachodzące słońce rzucało swój słabnący promień na jego wyniosłą postać i hebanowy wąs, niknące pomiędzy nieruchomymi cieniami lasu.

Rozdział 29

Powrót. Bunt. Zdrada. Śmierć

Był wieczór w przeddzień tego fatalnego dnia, kiedy Granada miała być przekazana Hiszpanom, gdy w podziemnej piwnicy pod domem Almamena, wcześniej opisanej, spotkało się trzech starszych judaistycznego wyznania.

– Wierny i wspaniałomyślny Ximenie, – mówił jeden z nich, zamożny i lichwiarski kupiec o iskrzących się, mokrych oczach i obłudnie grzecznej minie, która mimo wszystko nie wystarczała aby ukryć zapalczywość i przebiegłość malujące się na jego niskim czole i ściągniętych wargach, – wierny i wspaniałomyślny Ximenie, – powiedział, – istotnie wiernie nam służyłeś, udostępniając twoim prześladowanym braciom sekretne schronienie. Tu rzeczywiście mogą nas szukać nadaremnie! Doprawdy, krew w moich żyłach znów zaczyna wrzeć; i twój sługa jest głodny i spragniony.

– Jedz, Izaak, jedz; tam jest strawa przygotowana dla ciebie; jedz i nie żałuj sobie. A ty, Eliaszu, nie przysiądziesz się do stołu? Wino jest stare i wyśmienite, orzeźwi cię.

– Popioły i hizop – hizop i popioły, czy czas teraz dla mnie na jedzenie i picie, – odpowiedział Eliasz z namiętną goryczą; – zburzyli mój dom – spalili moje spichlerze – stopili moje złoto. Jestem zrujnowanym człowiekiem!

– Nie, – powiedział Ximen, który spojrzał na niego hardym okiem, gdyż lata i cierpienie wymieszały się z goryczą nawet

w tej bolesnej sprawie tak dokładnie, że pomimo współczucia i bólu nie umiał powstrzymać pewnego wewnętrznego dystansu do nieszczęść, w których dopomagał swoim rodakom i z ich bezsilności, gdy ich chronił, – nie, Eliaszu, masz jeszcze bogactwo w portach morskich wystarczające, aby kupić pół Granady.

– Nazareńczycy zagrabią to wszystko! – wykrzyknął Eliasz; – już widzę je w ich łapach!

– Nie, naprawdę tak myślisz? A z jakiej to przyczyny? – zapytał Ximen poważnie teraz zaniepokojony o własne dobra.

– Posłuchaj mnie tylko! Zaświadczam własnym słowem, poszedłem ostatniej nocy do obozu Chrześcijan. Rozmawiałem z chrześcijańskim królem; a gdy usłyszał moje imię i wyznanie, jego broda skręciła się z wściekłości. "Psie Beliala!" wykrzyknął, "czy twój podły rodak, wielki czarownik Almamen, nie okpił już wystarczająco hiszpańską monarchię? Z jego powodu nie będziesz mieć żadnej własności. Zostań tu jeszcze chwilę, a twoje zwłoki będą powiewać na wietrze! Idź, i przelicz swoje utracone bogactwa; właśnie spisywany jest z nich rachunek; a jeśli ukryłeś chociaż jednego miedziaka, kolację zjesz na tamtym świecie!"

Tak wyglądała moja rozmowa i odpowiedź, którą otrzymałem. Wróciłem do domu po to, aby zobaczyć popioły, które z niego pozostały! O, ja nieszczęsny!

– A zawdzięczamy to Almamenowi, fałszywemu Żydowi! – wykrzyknął Izaak ze swojego samotnego, ale nie bezczynnego miejsca przy stole. – Chciałbym aby ten nóż ugrzązł w jego zakłamanym gardle! – warknął Eliasz, ściskając swój sztylet w długich, kościstych palcach.

– Nie ma na to szans, – wymruczał Ximen; – nigdy więcej nie wróci do Granady. Sępy i robaki wcześniej podzielą między sobą jego resztki; i (dodał ciszej z ohydnym uśmieszkiem) jego dom i złoto przejdzie w ręce starego, samotnego Ximena.

– To dziwna i straszna piwnica, – powiedział Izaak pociągając łapczywie z wielkiego kielicha łyk mocnego wina Vega;

– mogłaby tu Wiedźma z Endor wskrzeszać zmarłych. Tamte drzwi – dokąd one prowadzą?

– Nie znam nikogo, oprócz mego pana, kto by przechodził przez te drzwi. – Odpowiedział Ximen. – Słyszałem, że korytarze, które się za nimi kryją, sięgają do samej Alhambry. Chodź, wielmożny Eliaszu! Trzęsiesz się z zimna: napij się jeszcze wina.

– Cicho! – powiedział Eliasz, kołysząc się z nogi na nogę; – nasi prześladowcy są blisko – słyszę kroki!

Gdy to powiedział, drzwi, które wskazywał Izaak powoli odchyliły się i do piwnicy wszedł Almamen.

Zaiste, jakaś Wiedźma z Endor wyczarowała zmarłego, bo duch Mojżesza nie wystraszyłby i nie przeraził bardziej tego zacnego towarzystwa. Eliasz, chwytając swój nóż, wycofał się do najdalszego kąta piwnicy. Izaak upuścił kielich, który miał zamiar opróżnić i upadł na kolana. Ximen, który sam stał się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej upiorny niż przybysz, odzyskał coś na wzór samoopanowania i wyszeptał pod nosem: – On żyje! Więc jego złoto nie jest moje! Niech będzie przeklęty!

Najwidoczniej nieświadomy tego, jacy goście przebywają w jego sanktuarium, Almamen wszedł z nieobecnym wzrokiem, jak lunatyk.

Ximen podniósł się - cicho odemknął drzwi, które prowadziły na wyższe piętra domu i gestem dał znak swoim towarzyszom, aby skorzystali z okazji opuszczenia piwnicy, ale gdy Izaak, który pierwszy zrozumiał sytuację, zaczął się skradać, Almamen wbił w niego swoje przeszywające oczy i jakby natychmiast wracając do rzeczywistości, wykrzyknął:

– Ty niegodziwcze, Ximen! Kogo śmiałeś przyprowadzić do tajemnych piwnic twojego pana? Zamknij drzwi - ci ludzie muszą umrzeć!

– Wielmożny panie. – Powiedział Ximen spokojnie. – Czy twój sługa źle uczynił, wierząc w pogłoski głoszące twoją śmierć? To ludzie naszej świętej wiary, których ocaliłem od prześladowa-

nia przez bezbożny i oszalały tłum. Tylko to miejsce wydawało się bezpieczne przed panującym szaleństwem.

– Jesteście Żydami? – zapytał Almamen. – A, tak! Teraz poznaję – kupcy z targu i bazaru. Och tak, jesteście Żydami, rzeczywiście! Odejdźcie, odejdźcie! Zostawcie mnie!

Nie czekając na dalsze zachęty, cała trójka zniknęła w mgnieniu oka; ale Eliasz, zanim opuścił piwnicę, rzucił Almamenowi (który ponownie pogrążył się w letargu) nienawistne żądne zemsty spojrzenie.

Almamen pozostał sam.

W niecały kwadrans, Ximen powrócił do swojego pana, ale zastał piwnicę pustą.

Na ulicach Granady panowała północ - północ, ale nie spokój. Tłumy, wzburzone jednym z napadów gniewu i żalu, w świadomości, że już jutro staną się podwładnymi chrześcijańskiego monarchy, wylały się na ulice w liczbie sięgającej dwudziestu tysięcy. Była to dzika i burzliwa noc; te straszne porywy wiatru, które czasami zrywają się przynosząc nagłą zimę z ośnieżonych szczytów Sierra Nevada, zawodziły teraz poprzez rozkołysane zagajniki i wzdłuż krętych uliczek. Burza zdawała się wzmagać, jak gdyby żywioły współczując wspierały zamieszki wzniecane przez ludzi. Maurowie wymachujący rękami i pochodniami, wychudzeni głodem, ciemne rozwścieczone kształty, przypominali bardziej duchy i zjawy, aniżeli żywych ludzi; bez żadnej widocznej przeszkody, nie licząc ich własnych objawów zaniepokojenia, ekscytacji, lęków, przemierzali wyludnione ulice w stronę pałacu.

Na przestronnym placu w Vivarrambla tłum zatrzymał się, niepewny wszystkiego, gdy w końcu mieszkańcy zadecydowali, że coś jeszcze dla Granady można zrobić. Większość z nich uzbrojona była na modłę mauretańską; ale pozbawieni byli przywódców; żadnych książąt, żadnych miejskich radców, oficerów, którzy nawet nie śnili, aby przeciwstawiać się traktatowi z Ferdynandem. Był to zaledwie tumult mieszkańców - szaleństwo

tłumu; ale straszne w nim było to, że był to wschodni tłum, tłum z mieczem i włócznią, z tarczą i zbroją, tłum który wznosił i obalał orientalne Imperia! Tam, w tym pięknym miejscu, które było świadkiem gier i turniejów arabskiej i afrykańskiej kawalerii, tam, gdzie przed wieloma wspaniałymi monarchami defilowały oddane i żądne podbojów armie, zgromadził się ten pełen desperacji tłum; głośny wiatr potrząsał ich rozkołysanymi żagwiami, które płonęły jasno w tę bezksiężycową noc.

– Uderzmy na Alhambrę! – krzyczał jeden z zebranych: – porwijmy Boabdila i postawmy go na czele; uderzmy na Chrześcijan, zburzmy ich dumny odpoczynek!

– Lilie, lilie! Klucze i Półksiężyc! – skandował podekscytowany tłum.

Krzyk zamarł nagle i na końcu placu dał się słyszeć dobrze znajomy i budzący dreszcz głos.

Maurowie, którzy usłyszeli ten głos, obrócili się w zadziwieniu i trwodze; dostrzegli, stojącą na kamieniu, z którego posłańcy i heroldzi ogłaszali królewskie rozporządzenia, postać Almamena, wielkiego czarnoksiężnika, którego uważano za poległego.

– Maurowie, mieszkańcy Granady. – Powiedział stanowczym, ale jakby nieobecnym głosem, – wciąż jestem tu z wami. Wasz król i wasi bohaterowie opuścili was, ale ja jestem z wami do końca. Nie nacierajmy na Alhambrę: twierdza jest nie do zdobycia, warty wierne. Noc zostanie stracona a dzień sprowadzi na was chrześcijańską armię. Maszerujmy do bram; ruszajmy w stronę Vega; uderzmy natychmiast na wroga!

Powiedział i wyjął swój miecz, który zabłysnął w świetle pochodni. Maurowie skłonili swoje głowy z fanatycznym oddaniem – czarownik zeskoczył z kamienia i przedostał się w sam środek tłumu.

Wtedy podniósł się radosny okrzyk, jaki słyszano tu wiele razy wcześniej. Tłumy znalazły godnego ich entuzjazmu przywódcę; w regularnych szykach, które szybko uformowano, ruszyli przez wąskie ulice w stronę bram miasta.

Zasilani przez liczne rozrzucone bezładne grupy maruderów (zbójów i wyrzutków z miasta), Maurowie byli zaledwie kilkaset metrów od wielkiej bramy, z której zwykle wyruszali na wroga. A potem, być może, przeszliby te bramy i dotarli do chrześcijańskiego obozu, faktycznie pogrążonego w spokojnym śnie, niepodejrzewającego, że dzika armia dwudziestu tysięcy zdesperowanych wojowników nadciąga aby ocalić Granadę; aby wyrwać z rąk Hiszpanów ten ostatni cywilizowany skrawek lądu, jaki pozostał z mauretańskich podbojów w Europie.

Ale zła gwiazda Boabdila jeszcze raz wzięła górę. Wieści o powstaniu w mieście dotarły do niego bez opóźnienia. Dwóch starszych ludzi z dolnego miasta przybyło do Alhambry - żądając i uzyskując audiencję; a efekt tej audiencji był natychmiastowy. W buncie mieszkańców widział jedynie słuszny pretekst dla chrześcijańskiego króla do złamania warunków kapitulacji, zburzenia miasta i wymordowania ludności. Poruszony wielkodusznym współczuciem dla swoich poddanych i nie mniej działając pod wpływem silnego poczucia królewskiego honoru, który nakazywał mu zachować warunki kapitulacji, do czego uroczyście się zobowiązał, raz jeszcze dosiadł swojego kremowo-białego wierzchowca i na czele swojej gwardii wyruszył z Alhambry z dwoma ze starszyzny u swojego boku. Dźwięk jego trąbek, tętent kopyt, głos heroldów jednocześnie dotarł do tłumów; zanim zdążyli wyjść poza bramy, król znalazł się pośród nich.

– Cóż to za szaleństwo, co za ta armia? – wykrzyknął Boabdil wdzierając się konno w sam środek tłumu, – dokąd zamierzacie iść?

– Na Chrześcijan! Na Gotów! – odpowiedziało tysiące głosów. – Prowadź nas! Czarownik powstał z martwych i będzie walczył po twojej prawicy!

– Niestety! – odpowiedział król, – chcecie iść przeciwko chrześcijańskiemu królowi? Nie zapominajcie, że nasi zakładnicy są w jego rękach: pamiętajcie, że nie pragnie on lepszej wymówki,

aby zrównać Granadę z ziemią a was i wasze dzieci oddać pod miecz. Podpisaliśmy traktat, jakiego jeszcze nigdy nie podpisało dwóch wrogów. Wasze życie, prawa, majątki - wszystko jest ocalone. Nic nie zostało stracone, z wyjątkiem korony Boabdila. Ja jestem jedyną ofiarą. I niech tak zostanie. Moja zła gwiazda sprowadziła na was ten los: beze mnie, będziecie mogli się odrodzić i na powrót stać się suwerennym narodem. Zdajcie się na wiarę dziś, a jutro będziecie mogli odebrać jej najdumniejszą nagrodę. Poddać się to nie znaczy zostać podbitym. Ale idźcie na Chrześcijan i chociaż wygracie jedną bitwę, to wywołacie tylko jeszcze straszniejszą wojnę; jeśli przegracie, nie będzie już honorowej kapitulacji ale pewna zagłada, do której sami zmierzacie! Bądźcie rozsądni i posłuchajcie ostatni raz waszego króla.

Tłum był poruszony, zmiękczony, na pół przekonany. Zwrócili się w milczeniu w stronę przywódcy; a Almamen nie cofnął się ze swoim wezwaniem; ale stanął wyprostowany naprzeciw króla.

– Królu Granady! – wykrzyknął głośno, – spójrz na swojego przyjaciela - na swojego wróżbitę! Spójrz! Ja gwarantuję ci zwycięstwo!

– Zamilcz! – przerwał mu Boabdil; – okłamywałeś mnie i zdradzałeś zbyt długo! Maurowie! Czy znacie tego fałszywego czarownika? On nie jest muzułmańskiej wiary. Jest Izraelitą, który sprzeda was temu, kto więcej zapłaci. Kara śmierci dla niego!

– Ha! – krzyknął Almamen, – a któż jest moim oskarżycielem?

– Twój sługa, pokażcie go! – na te słowa królewskie straże uniosły pochodnie, których czerwonawe światło padło na trupioblade oblicze Ximena.

– Najjaśniejszy panie! Są jeszcze inni Żydzi, którzy go znają, – powiedział starzec.

– Czy zgodzicie się na to, żeby waszym przywódcą był Żyd, narodzie Półksiężyca? – wykrzyknął król.

Tłum stał zmieszany i oszołomiony. Almamen poczuł, że jego godzina wybiła; pozostał niemy, z opuszczonymi rękami i podniesionym czołem.

– Czy wśród tłumu jest ktoś ze szczepu Mojżeszowego? – krzyknął Boabdil wykorzystując chwilę; – jeśli tak, niech podejdą i wyznają, co wiedzą.

Nie spośród tłumu, ale z orszaku Boabdila, wysunął się stary Izraelita - Eliasz.

– Wypieramy się pokrewieństwa z tym człowiekiem i z jego oszustwami, – powiedział Eliasz, kłaniając się do samej ziemi; – ale nie zaprzeczamy, że jest on naszej wiary.

– Mów, fałszywy kapłanie! Czy straciłeś mowę? – wykrzyknął król.

– Bądź przeklęty, ślepy głupcze! – odparł Almamen z zapałem ale spokojnie. – Cóż za różnica kto pomoże ci odzyskać tron? Tak! Ja, ten, który przewodził ci w radzie, który wiódł twoje armie, jestem z rodu Jozuego i Samuela - Wszechmocny jest Bogiem Almamena!

Dreszcz przebiegł zgromadzonych; ale spojrzenie, postawa i głos Almamena, który w ich oczach był groźnym czarownikiem, trzymał nad nimi swój urok i nikt nie podniósł przeciwko niemu miecza. Mógłby nawet w tych okolicznościach przejść przez tłum bez szkody; mógłby zanieść do innych krajów swoją płomienną pasję i swoją grozę; ale pragnienie życia opuściło go; jedyne pragnienie, które pozostało, to żądza przeklęcia i unicestwienia swoich wrogów i pożegnania się z tym światem. Milczał, rozejrzał się dookoła i nagle wybuchnął szyderczym śmiechem, tak przeszywającym i pełnym pogardy, jakby chciał być usłyszany w piekle.

– Tak, – wykrzyknął, – to właśnie ja! Wasz wzór i wasz przywódca. Mogę zostać waszą ofiarą, ale zmarły, będę waszym pogromcą. Chrześcijanie i Muzułmanie są jednakowo moimi wrogami, chciałbym podeptać obie rasy. Ale Chrześcijanin, mądrzej-

szy od was, uwiódł mnie słowami; więc sprzedałem was pod jego władzę; bardziej fałszywy niż wy, oszukał mnie; pokonałbym go, gdybym mógł dalej oszukiwać i rządzić kukłami, których nazywacie waszymi książętami. Ale ci, dla których harowałem, działałem i grzeszyłem, dla których porzuciłem pokój i spokojne życie, tak, dla których poświęciłem własną córkę i jej życie, zdradzili mnie i oddali w wasze ręce, niech więc będą przeklęci po wiek wieków - Amen! Przebranie zostało odkryte: Almamen, czarownik, jest synem Żyda Issachara!

Może powiedziałby jeszcze więcej, ale mowa została przerwana. Z szaleńczym zawodzeniem, te żywe fale tłumu rzuciły się na zajadłego fanatyka; sześć ciosów mieczem przeszyło jego ciało, ale on nie padł: dopiero siódmy cios powalił go trupem. Wgnieciony w glinę ziemi, stał się pastwą dla swoich oprawców, poćwiartowano jego zwłoki, zaledwie szczątki ludzkiego ciała pozostały na rozchlapanej i zalanej krwią ziemi.

Jedna ofiara wystarczyła jedynie do rozbudzenia wściekłości tłumu. Stłoczyli się jak dzikie bestie, których głód trwał zbyt długo, wokół swojego monarchy, na próżno usiłującego powstrzymać w nich żądzę zemsty a który teraz, blady i bez tchu, cofał się przed pasją, której sam dał początek. Wyrzucił z siebie kilka słów upomnienia i nawołując do spokoju, obrócił swojego wierzchowca i pognał do pałacu.

Tłum rozproszył się, ale nie po to by udać się do domów. Zbrodnia Almamena obróciła się jeszcze raz przeciwko całemu narodowi. Niektórzy pośpieszyli do dzielnicy żydowskiej, którą podpalili; inni w kierunku odosobnionego domostwa Almamena.

Ximen, opuściwszy króla, popędził przed tłumem. Nie przewidując, że sprawy przybiorą taki obrót, biegł co sił do domu, który teraz wreszcie mógł uważać za swój. Zdążył dotrzeć do skarbca swojego zmarłego pana, zdążył rzucić okiem na ciężkie sztaby złota i połyskujące klejnoty, w chytrości swojego serca zdążył wykrzyczeć, “Wszystko to moje!” gdy usłyszał wrzask

tłumu pod murami, zobaczył płomienie ich pochodni w otworach strzelniczych. Na próżno starał się przekrzyczeć tłum, powtarzając, "Ja jestem tym, który wydał wam Almamena!" dziki wiatr zagłuszał jego słowa, które nie docierały do tłumów. Wygoniony z komnaty przez dym i płomienie, obawiając się wyjść na zewnątrz, nieszczęsny obładował się bogactwami, najcenniejszymi, jakie zdołał pochwycić: wszedł na schody prowadzące do sekretnej piwnicy, gdy nagle stopnie, naruszone przez płomienie, zapadły się pod nim i płomienie wystrzeliły w górę z jeszcze większą gwałtownością, a krzyk konającego przedarł się przez ten śmiertelny całun.

Takie były najważniejsze zdarzenia ostatniej nocy panowania mauretańskiej dynastii w Granadzie.

Rozdział 30

Zakończenie

Nad Granadą budził się kolejny dzień: motłoch dawno już rozszedł się do swoich domów i na ulicach zapanował kompletny spokój, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie, w pożarach wznieconych na samym końcu, słychać było jeszcze walące się dachy albo trzask ognia i zapach drewna palącego się w tych pogorzeliskach. Sposób, w jaki domostwa Granady były budowane, każde oddzielone od reszty przez rozległe ogrody, szczęśliwie zapobiegł rozprzestrzenieniu się ognia. Mieszkańcy niewiele więc przejmowali się takim niebezpieczeństwem i żadne straże nie pozostały aby dopilnować wygaszania pożarów. Tu i ówdzie, jakieś wynędzniałe postacie w poszarpanym ubraniu, pokazywały się skulone nad ruinami swojego domu, jak te dusze, które według Platona, strzegą w kostnicach swoich martwych ciał. Dzień wstawał i promienie zimowego słońca rozganiały chmury minionej nocy, połyskując radośnie na szumiących falach rzek Xenil i Darro.

Samotnie, na balkonie z widokiem na ten okazały krajobraz, stał ostatni z mauretańskich królów. Usiłował znaleźć dla siebie oparcie we wszystkich radach filozofii, którą wyznawał. – Kimże jesteśmy? – myślał zadumany król, – że próbujemy wypełnić cały świat samymi sobą – monarchowie, władcy! Ziemia odbija echem dźwięk upadku mego tronu: echo to przetrwa dla uszu nienarodzonych jeszcze pokoleń. Ale co takiego straciłem? Nic

właściwie, co byłoby konieczne dla mojego szczęścia, spokoju; nic z wyjątkiem źródła moich wszystkich nieszczęść, Zmorę mojego życia! Czy mniej będę się cieszył z nieba i ziemi, albo z myśli czy działania, albo z wystawnego jedzenia i wygodnego snu - zwykłych i tanich pragnień wszystkich ludzi? Obudź się więc, moje serce! Jeszcze wiele głębokich wzruszeń przykrości lub radości pozostało by urozmaicić nudę tego żywota.

Przerwał; w oddali, jego wzrok spostrzegł samotne minarety odległego i opuszczonego pałacu Muzy Ben Abil Gazana.

– Więc to ty miałeś rację, – ciągnął król, – ty miałeś rację, dzielny druhu, nie żałuj Boabdila: tylko śmierć była w jego władaniu; dusza człowieka jest większa niż jego przeznaczenie, i jest majestat w życiu górującym nad ruinami zaścielającymi jego ścieżki.

Odwrócił się i jego policzki nagle pobladły, usłyszał bowiem na dziedzińcu poniżej odgłos kopyt i krzątaninę przygotowań: była to godzina jego wyjazdu. Jego filozofia znikła, żal i ból po stracie powrócił: jęknął głośno i wszedł do pokoju w chwili, gdy wezyr i dowódca gwardii przerwali jego samotność.

Stary wezyr próbował przemówić, ale głos zamarł mu w gardle.

– Więc nadszedł czas wyjazdu, – powiedział Boabdil spokojnie; – niech tak będzie: przekaż zwycięzcy pałac i twierdzę, dołącz do swojego przyjaciela, nie władcy, w podróży do jego nowego domu.

Nie czekał na odpowiedź: pośpiesznie zszedł na dziedziniec, wskoczył na swojego wierzchowca i z małym, smutnym oddziałem, przekroczył bramę, którą tak wiele razy wcześniej przekraczał, pojechał wzdłuż poczerniałej i nadwyrężonej w walkach wieży porośniętej winoroślą i bluszczem; poprzez ogrody, teraz zmieniane na modłę zwycięskiej wiary, rozpoczął swoją żałosną podróż, król pozbawiony armii. Gdy był w połowie wzgórza, które wyrasta ponad tymi ogrodami, stal Hiszpańskiej zbroi bły-

snęła przed nim, gdy oddział wysłany do przejęcia pałacu maszerował przez szczyt w równych szykach i kompletnej ciszy.

Na czele tego przedniego oddziału, na śnieżnobiałym rumaku, jechał biskup Avili, wiodący za sobą długi szereg bosych mnichów. Zatrzymali się, gdy Boabdil nadjechał i poważny biskup pozdrowił go z miną tego, kto zwraca się do niewiernego i podlejszego. Z poczuciem własnej godności, zwykłym dla ludzi wysokiego urodzenia, a jeszcze bardziej powszechnym wśród pokonanych, Boabdil odczuł, ale bez oburzenia, dumę duchownego.

– Dalej, Chrześcijaninie, – powiedział łagodnie, – bramy Alhambry są otwarte, a mój wezyr przekaże pałac i miasto dla waszego króla: niech jego męstwo przyćmi błędy Boabdila! – to mówiąc i nie czekając na odpowiedź, odjechał, nie patrząc ani na lewo, ani na prawo. Hiszpanie również ruszyli w swoją drogę. Słońce wznosiło się już nad górami, gdy Boabdil i jego skromny oddział ujrzeli, z wysokości, na której się znajdowali, całą hiszpańską armię; w tej samej chwili, głośniej niż tętent końskich kopyt, albo szczęk oręża, rozległa się wyraźna i podniosła pieśń *Te Deum*, która poprzedzała widok rozłożonych, strzelistych sztandarów. Boabdil, wciąż w milczeniu, słuchał westchnień i okrzyków swoich rycerzy; odwrócił się, aby ich pocieszyć albo uciszyć, gdy zobaczył, na wieży strażniczej, w świetle słońca, padającego na jego czystą i błyszczącą powierzchnię, odbijający promienia słońca srebrny krzyż Hiszpanii. Jego Alhambra była już w rękach wroga, a obok tego symbolu Świętej Wojny, powiewała barwna i napuszona flaga Św. Jakuba, błogosławionego Rycerza i patrona hiszpańskiej kawalerii.

Na ten widok serce w piersi króla ścisnęło się z żalu: ściągnął wodze swojego wierzchowca, chcąc jak najszybciej uciec od tego widoku i nie zwolnił tempa, dopóki nie zbliżył się na odległość strzału z łuku do pierwszych szeregów armii. Nigdy jeszcze chrześcijańska wojna nie przyniosła większej chwały i imponującego zwycięstwa. Daleko, jak oko mogło sięgnąć, roz-

ciągały się połyskujące i wspaniałe szeregi hiszpańskiego rycerstwa, świecące odbijającymi słońce tarczami i złoconymi chorągwiami; a wzdłuż nich szumiała i promieniowała radością i tańczyła srebrna i roześmiana Xenil, niedbała o to, który król posiądzie na swój krótki żywot, brzegi żyjące swoim obojętnym nurtem. Przed niewielkim meczetem zatrzymał się kwiat armii. Otoczony przez najwyższych kościelnych dostojników, parów i książąt dworu, którzy mogliby równać się z Rolandami Karola Wielkiego, widoczna była majestatyczna postać Ferdynanda z Izabelą po jego prawej ręce i wysoko urodzonymi damami Hiszpanii, których suknie w wesołych kolorach i błyszczące klejnoty, podkreślały dostojny przepych hełmów z pióropuszami i wypolerowanych pancerzy.

W zasięgu wzroku królewskiej świty, Boabdil zatrzymał się - przybrał minę, która najlepiej ukrywała cierpienia jego duszy - i, trochę wyprzedzając swój niewielki orszak, ale wciąż w majestacie, więcej niż król, syn Abdullacha, wyszedł na spotkanie swemu dumnemu pogromcy.

Na widok jego książęcego oblicza i złotych włosów, jego nieprzeciętnej i władczej dostojności, którą jeszcze bardziej podkreślał młody wiek, dreszcz współczucia i podziwu przebiegł przez tę świtę dzielnych i wspaniałych.

Ferdynand i Izabela powoli podjechali aby powitać ich niedawnego rywala, a teraz nowego lennika; gdy Boabdil zsiadł z konia, hiszpański król położył dłoń na jego ramieniu.

– Bracie i książę, – powiedział, – zapomnij swoje przykrości; niech nasza przyjaźń od tej pory wzmacnia cię pomimo różnic przeciwko którym walczyłeś jako bohater i człowiek opierający się woli króla, by ostatecznie poddać się Bogu.

Boabdil nie próbował odpowiedzieć na tą dosadną choć mimowolną ironię ukrytą w komplemencie. Skłonił głowę i przez chwilę pozostał w milczeniu; potem skinął w stronę swojego orszaku i czterech oficerów podeszło i klęknęło przed Ferdynandem, przekazując mu, na srebrnej tarczy, klucze miasta.

– O, królu, – powiedział Boabdil, – przyjmij te klucze do ostatniej twierdzy, która opierała się Hiszpanii. Imperium Mauretanii w Hiszpanii przestało istnieć. Twoje jest miasto i mieszkańcy Granady - wychwalając twoje męstwo, poddają się twojej wspaniałomyślnej władzy.

– Słusznie czynią, – odparł król; – nasze obietnice będą dotrzymane. Ale, ponieważ znamy rycerskość mauretańskiej kawalerii, nie w nasze, ale we wdzięczniejsze dłonie winny być oddane klucze Granady.

Mówiąc to, Ferdynand podał klucze Izabeli, która chciała wypowiedzieć jakieś kojące komplementy Boabdilowi, ale emocje i ekscytacja były zbyt duże dla jej wrażliwego serca, choć była dumną i bohaterską królową; gdy podniosła wzrok na spokojną i bladą twarz upadłego monarchy, nieopanowane łzy popłynęły z jej oczu a głos zamarł w szepcie. Lekki rumieniec wystąpił na twarz Boabdila i przez chwilę panowało małe zakłopotanie, które Maur przerwał pierwszy.

– Wspaniała królowo, – powiedział z poważną i patetyczną wzniosłością; – umiesz czytać w sercu, które twoje szlachetne współczucie porusza i podbija: to twój nie pierwszy i nie ostatni chwalebny podbój. Ale pozwolę sobie cię powstrzymać: niech moja sytuacja nie zachmurzy twojego triumfu. Pozwól, że cię pożegnam.

– Czy nie jest to najlepsza chwila, aby wspomnieć o nawróceniu? – wyszeptała przez łzy pobożna królowa do swojego królewskiego małżonka.

– Nie teraz - nie teraz, na Św. Jakuba. – Odparł Ferdynand energicznie i tak samo przyciszonym głosem, pragnąc jak najszybciej zakończyć tę przykrą rozmowę.

Potem dodał na głos:

– Idź, mój bracie, i niech szczęście ci sprzyja. Zapomnij o przeszłości.

Boabdil uśmiechnął się gorzko, oddał cześć królewskiej parze z głębokim i cichym szacunkiem i ruszył wolno przed siebie, pozostawiając w dolinie armię, gdy wjeżdżał na drogę, która wiodła do jego nowej posiadłości poza górami Alpuhary. Gdy drzewa skryły widok mauretańskiego orszaku przed oczami króla, Ferdynand rozkazał armii wznowić marsz; trąbki i cymbały natychmiast rozpoczęły muzykę, która dotarła do uszu odjeżdżających Muzułmanów.

Boabdil popędził galopem swojego wierzchowca aż ciężko dyszący rumak zatrzymał się w małej osadzie, gdzie matka Boabdila, jego niewolnicy i wierna Amina (wysłani tam wcześniej) oczekiwali go. Dołączywszy do nich, bez zwlekania razem ruszyli w dalszą drogę.

Wjechali na wzniesienie, które jest granicą łączącą równinę z pasmem Alpuhary. Z jego wysokości, dolina, rzeki, iglice i wieże Granady ukazały się w pełnej chwale przed oczami niewielkiego oddziału. Zatrzymali się odruchowo i nagle; wszystkie oczy były zwrócone na ukochany widok. Pełen dumy wstyd pokonanych wojowników, czułe wspomnienie domu - dzieciństwa - ojczyzny, przepełniło każde serce i wylało się ze wszystkich oczu. Nagle, odległy grzmot artylerii rozległ się z cytadeli i potoczył po słonecznej dolinie i krystalicznej rzece. Powszechny płacz rozbrzmiał wśród wygnanych. Uderzył - wziął w swoją moc serce króla urodzonego pod złą gwiazdą, na próżno usiłującego przybrać się w orientalną dumę albo stoicki spokój. Łzy popłynęły z jego oczu i zakrył twarz dłońmi.

Wtedy odezwała się jego dumna matka, patrząc na niego twardym i lekceważącym wzrokiem, wypowiadając z wyrzutem słowa, które zapamiętała historia:

– Tak, płacz jak kobieta po tym, czego nie umiałeś obronić jak mężczyzna.

Boabdil uniósł twarz w majestatycznym oburzeniu, gdy poczuł czuły uścisk na swojej dłoni, a gdy obrócił się, ujrzał Aminę u swojego boku.

– Nie zważaj na nią. Nie zważaj, Boabdilu. – Wyszeptała niewolnica; – nigdy nie byłeś dla mnie bardziej szlachetnym niż w tym bólu. Byłeś bohaterem będąc królem; ale pozostań, światło dla moich oczu, łagodny jak kobieta dla swoich ludzi.

– Nie wszyscy więc opuścili mnie, – powiedział Boabdil, – twoje usta, które nigdy nie skalały się pochlebstwem, gdy byłem królem, nie wymawiają nagany w nieszczęściu pokonanego.

Powiedział i uśmiechnął się do Aminy. Była to godzina jej triumfu.

Orszak powoli przesuwał się przez opustoszały wąwóz; miejsce, gdzie król płakał, a kobieta koiła jego ból, wciąż nazywane jest *El, ultimo suspiro del Moro* - Ostatnie westchnienie Maura.

KONIEC

Spis treści

KSIĘGA PIERWSZA **2**

1 Czarownik i rycerz **2**

2 Król w swoim pałacu **7**

3 Kochankowie **18**

4 Ojciec i córka **23**

5 Ambicja zepsuta przez prawo **28**

6 Lew w sieci **37**

KSIĘGA DRUGA **42**

7 Namiot króla Hiszpanii. Król i Dominikanin. Gość i zakładnik **42**

8 Zasadzka, walka i pojmanie **55**

9 Bohater w mocy marzyciela **69**

10 Pełniejszy obraz charakteru Boabdila. Muza w ogrodach swojej kochanki **80**

11 Pojednanie Boabdila z narodem **87**

12 Leila i jej nowy wielbiciel. Portret Pierwszego Inkwizytora Hiszpanii **90**

13 Trybunał i magia **100**

KSIĘGA TRZECIA **108**

14 Izabela i Leila **108**

15 Nawracanie Leili. Opowieść przechodzi ze spraw zewnętrznych na wewnętrzne 113

16 Godzina i człowiek 123

KSIĘGA CZWARTA 129

17 Leila w zamku. Oblężenie 129

18 Propozycja Almamena. Trzech Izraelitów. Okoliczności sprawiają, że różni ludzie umierają różną śmiercią 137

19 Uciekinier i spotkanie 142

20 Almamen słyszy i widzi, ale nie wierzy. Gdy przemęczony umysł pochmurnieje nawet w obliczu największej serdeczności 148

21 W zawierusze wielkich wydarzeń budzą się najgorsze uczucia 155

22 Powrót Boabdila. Zmiany w Granadzie 162

23 Pożar. Majestat samotnej namiętności pośrodku wrogich tysięcy 165

KSIĘGA PIĄTA 171

24 Walna bitwa 171

25 Neofitka 184

26 Chwila między klęską i kapitulacją 193

27 Przygody samotnego jeźdźca 202

28 Poświęcenie 209

29 Powrót. Bunt. Zdrada. Śmierć 214

30 Zakończenie 224